Dziedzictwo papieża Franciszka ▪ W co Trump gra z Ukrainą
Milenialsów nie ma ▪ Pornografia zmienia mózg ▪ 25 lat Simsów

STRONY SPECJALNE
ZDROWA STAROŚĆ
▪ KS. BONIECKI: JAK ZOSTAĆ SENIOREM
▪ CO I GDZIE LECZYĆ
▪ OPIEKA DLA BLISKICH

Kraków 26 lutego – 4 marca 2025 nr 9 (3947) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

TWÓRCA INPOST O WSPÓŁPRACY Z RZĄDEM

Rafał Brzoska: Nie jestem Elonem Muskiem

EKSTRA HISTORIA
CYRYL RATAJSKI I JEGO POZNAŃ

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

KIEDY NIE DA SIĘ JUŻ NIC, MY ROBIMY WSZYSTKO

caritas POLSKA

Dla wielu ciężko chorych hospicjum to jedyna nadzieja na życie bez bólu i samotności. Tu każdy dzień ma znaczenie, a troskliwe ręce lekarzy, pielęgniarek, opiekunów, fizjoterapeutów, kapelanów i wolontariuszy przynoszą ulgę tam, gdzie cierpienie wydaje się nieuniknione.

Caritas prowadzi niemal 250 placówek opieki długoterminowej w całym kraju, otaczając chorych i ich rodziny troską i profesjonalną pomocą. Jednak utrzymanie tych miejsc to ogromne wyzwanie – koszty leków, środków opatrunkowych, specjalistycznego sprzętu i paliwa nieustannie rosną. Aby skutecznie pomagać, hospicja Caritas potrzebują wsparcia.

1,5%

PODATEK

przekaż 1,5% podatku Caritas Polska, **KRS: 0000198645**

STRONA

dokonaj wpłaty na stronie **caritas.pl/hospicja**

KONTO

wpłać dowolną kwotę na konto **PL 77 1160 2202 0000 0000 3436 4384** z dopiskiem: **Hospicja**

blik

TELEFON

zrób przelew BLIK na telefon +48 **668 070 000** o tytule: **Hospicja**

KS. ADAM

Boniecki: *Porządek miłości*

Ciekawy i zasadniczy jest obecny spór papieża Franciszka z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych J.D. Vance'em, o którym pisze w tym numerze Andrzej Kohut. I w dodatku bardzo przypomina nasze ostatnie spory. Chodzi o imigrantów. Dla Vance'a „miłość chrześcijańska jest koncentryczną ekspansją interesów, które stopniowo rozszerzają się na inne osoby i grupy". Tak wiceprezydent rozumie chrześcijańskie *ordo amoris* – porządek miłości. Aplikacje polityczne nauki Chrystusa bywają czasem trudne do pojęcia i oczywiście trudne do przyjęcia. Bywają też niesłychanie trudne do zastosowania. Dlatego reakcja papieża Franciszka jest słuszna i z pewnością potrzebna.

Ordo amoris według Ewangelii obowiązuje wszystkich i zawsze. Owszem, obowiązuje inaczej ludzi z dużymi możliwościami finansowymi i politycznymi, a inaczej wdowę, która ofiarowała ostatni grosz, bo nic więcej nie miała. Ale obowiązuje wszystkich. Tak myślimy o ludziach, którzy pomagają w lasach nieszczęsnym imigrantom przerzuconym przez granicę: spełniają obowiązek ludzki i chrześcijański. Możliwe, że z punktu widzenia litery prawa są nie w porządku, ale instynkt moralny każe im iść z pomocą do ludzi w ekstremalnej biedzie. Trzeba chronić nasze granice, ale też nie wolno pozostawiać w lesie ludzi, którzy mogą umrzeć z głodu, zimna i wyczerpania. Nie można dokładać własnego okrucieństwa do tego, co wymyślili inni ludzie bez sumienia. Także z naruszeniem aktualnego prawa. Nikt też nie twierdzi, że to dobro ma być świadczone kosztem naszych najbliższych, choć chrześcijaństwo jednak wymaga od nas wyrzeczenia się jakiegoś dobra, jeśli tego wymaga sytuacja bliźniego.

Tak, wskazania ewangeliczne są czasem sprzeczne z naszymi przepisami i prawem. Myślę o tych ludziach, którzy w lasach szukali bezradnych bliźnich. Szukali i znajdowali. Pomagali im, nieraz ratując ich życie i ryzykując własny konflikt z prawem. Podziwiam ich i wiem, że to ich w przyszłości będziemy czcili jako bohaterów, choć dziś wielu boi się pisać o nich i o tym, co robią. Operacja nielegalnego przerzutu ludzi przez granicę była organizowana z chłodnym namysłem cynicznych dyktatorów i odniesienie się do niej nie mogło być takie, jakby nic się nie stało. Ale ofiary tej operacji, ludzie umierający w lesie z głodu i wyziębienia...

J.D. Vance chyba czegoś w chrześcijaństwie nie dostrzegł, jak zresztą wielu z nas, katolików starej daty: mianowicie tego elementu szaleństwa, daru bezwarunkowej miłości bliźniego, bez którego nie ma chrześcijaństwa. Nie byłoby go, gdyby nie ci niedostosowani, męczennicy, wygnańcy, „ludzie nie z tej epoki" – jak się zwykło o nich mówić. Bo miłość bliźniego to w pierwszym rzędzie współczucie, a nie osąd. Miłość każe najpierw podać jadło, ogrzać, ubrać, a potem roztrząsać sytuację prawną, legalność itd. Oczywiście, jest tu możliwy konflikt z zarządzeniami państwa. Chyba można by je skorygować, choć może nie jest to realne. Tak czy inaczej, akcja podejmowana przeciw aktom godzącym w miłość bliźniego – nawet nielegalnie – nie może być traktowana tak jak inne rodzaje łamania prawa.

Zasady Ewangelii czasem może nie są całkiem jasne, jednak te, które dotyczą miłości bliźniego, są klarowne. Porządek miłości w żaden sposób nie rozgrzesza z egoizmu, z egoistycznej miłości własnej, z obojętności na los brata czy siostry w człowieczeństwie. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

MAREK RABIJ
sprawdza polski fenomen diet pudełkowych i wyjaśnia, co korzystanie z nich mówi o nas

ZACZYNAMY CYKL ROZMÓW NA WIELKI POST
o dyscyplinie, wyrzeczeniach i pracy nad sobą. W najbliższym numerze Bartłomiej Topa

ZIEMOWIT SZCZEREK
robi przegląd lokalnych i globalnych końców świata, które już w historii następowały

To rocznica bolesna i haniebna dla całej ludzkości” – napisał w liście ze szpitala ciężko chory **PAPIEŻ FRANCISZEK**. Minęły trzy lata od pełnoskalowej napaści Rosji na Ukrainę. Papież – być może zdając sobie sprawę, że niektórym jego wypowiedziom z przeszłości brakowało wyraźnego wskazania, kto jest tu ofiarą, a kto katem – podkreślił „bliskość z umęczonym narodem ukraińskim”.

Wtedy, 24 lutego 2022 roku, nasz szef działu Świat **WOJCIECH PIĘCIAK** tak napisał na tygodnikowej stronie internetowej: „Celem rosyjskiej propagandy jest w tym momencie wywołanie szoku i przerażenia, psychiczny paraliż jej odbiorców. Na ile to możliwe, trzeba podchodzić do tego wszystkiego spokojnie, nie powiększać zamieszania i robić swoje. W pierwszym rzędzie musimy robić to, co do nas należy, cokolwiek by się działo”. Te słowa wyznaczyły naszą redakcyjną linię w pisaniu o wojnie: nie straszymy, nie cytujemy propagandy, opisy wydarzeń umieszczamy w kontekście. Świat trzeba rozumieć, a nie się go bać.

Tymczasem lęk zagościł w naszym społeczeństwie na dobre, cynicznie podsycany przez portale, wybijające do clickbaitów wypowiedzi Putina – a obecnie też Trumpa – pozbawione interpretacji. Publicysta i influencer Miłosz Wiatrowski-Bujacz po niedawnym spotkaniu dyplomatów amerykańskich i rosyjskich w Arabii Saudyjskiej zaprosił na Instagramie do tury Q&A. Niedługo potem przyznał, że w krótkim czasie spłynęło 60 pytań o to, „czy będzie wojna”.

W rozmowie z Patrycją Bukalską **ADAM EBERHARDT**, ekspert ds. międzynarodowych, mówi m.in.: „Nie jest wcale pewne, że formułowane dziś amerykańskie stanowisko w jakiejś konkretnej sprawie będzie dominować w czasie całego procesu negocjacyjnego. Trump zmiennym jest”. „Nie spodziewam się, że prezydent Trump pójdzie na wszelkie możliwe ustępstwa wobec Rosji, bo jest to administracja bardzo wrażliwa na krytykę”. „UE dysponuje potencjałem, by wspierać Ukrainę również w obliczu braku zaangażowania Stanów Zjednoczonych. Różnica w PKB Unii Europejskiej i Rosji jest ośmiokrotna”.

Takie materiały działają jak „uziemienie”. Zachęcam, by lekturę dzisiejszego numeru zacząć od tego wywiadu. ©℗

MACIEJ MÜLLER
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz działu Wiara, piszący również na tematy historyczne oraz dotyczące zdrowia. Autor kilku książek, m.in. „Żywych pochodni” o początkach chrześcijaństwa.

ZDROWA STAROŚĆ

42 Więcej spokoju
ROZMOWA Z KS. ADAMEM BONIECKIM:
Starość jest nowym sposobem istnienia. Trzeba się w nim odnaleźć i doistnieć.

36 Święta rzeka
MARTA ZABŁOCKA
Hinduskie Wielkie Święto Dzbana gromadzi miliony mieszkańców Indii. Dlaczego Ganges przyciąga Indusów?

88 Po swojemu
MONIKA OCHĘDOWSKA
W finale polskich kwalifikacji do Eurowizji zajęli miejsce drugie, ale dzięki występom w telewizji wiele wygrali dla języka podlaskiego oraz nowoczesnej muzyki klubowej.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // GRAŻYNA MAKARA // PRABHAT KUMAR VERMA / ZUMA PRESS / FORUM // ALINA MAZOVETS / MATERIAŁY PRASOWE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Cele Trumpa
ROZMOWA Z ADAMEM EBERHARDTEM, EKSPERTEM DS. MIĘDZYNARODOWYCH

8-11 Komentarze i informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Czy pan to dowiezie
ROZMOWA Z RAFAŁEM BRZOSKĄ: *Tak długo, jak projekt deregulacji firmuję swoją twarzą, będę dążyć do równoważenia interesów biznesu i społeczeństwa*

24 Pokolenie aspiracji
MARCIN KĘDZIERSKI *pyta, czy milenialsi istnieją*

27 Premier przejmuje ster
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Resort nauki nadzoruje lewica, ale Donald Tusk ma już dość afer i zabiera się osobiście za porządki*

■ ■ WIARA

30 Katolicy od Trumpa
ANDRZEJ KOHUT: *Dlaczego ambitni katolicy zdobyli zaufanie Trumpa i zmieniają politykę USA?*

34 Wiatr konklawe
EDWARD AUGUSTYN: *Niepokojące informacje o stanie zdrowia papieża uruchomiły lawinę spekulacji co do wyboru jego następcy*

36 Święta rzeka
MARTA ZABŁOCKA

■ ■ ŚWIAT

56 Mandarynki i gruz
JOANNA SARNECKA: *Codzienność Palestyńczyków żyjących na Zachodnim Brzegu Jordanu to ciągłe szykany, a przede wszystkim bezprawie*

TEMAT TYGODNIKA

EWA PIEKUT / ARCHIWUM PRYWATNE

12 Pornografia zmienia mózg

ROZMOWA Z MATEUSZEM GOLĄ, PSYCHOLOGIEM I NEUROKOGNITYWISTĄ: Z naszych badań wynika, że najlepszym czynnikiem, który pozwala dziecku uniknąć w przyszłości nałogowych zachowań seksualnych, jest możliwość rozmowy z rodzicami na temat seksualności.

■ ■ STRONY SPECJALNE ■ ■

41 ZDROWA STAROŚĆ
67 CYRYL RATAJSKI I JEGO POZNAŃ

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI **39** ZUZANNA RADZIK
55 ELIZA KĄCKA
92 OLGA DRENDA **93** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: RAFAŁ BRZOSKA
FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK / FORUM

59 Polityka nieamerykańska
ROZMOWA Z HAROLDEM HONGJU KOHEM: *Wysyłanie tysięcy imigrantów do Guantanamo to szaleństwo*

62 Higiena dla myśli
AGNIESZKA ZIELIŃSKA *o Hiszpanii kilka miesięcy po wielkiej powodzi*

65 Nie zginęli na darmo
ROZMOWA Z KATARÍNĄ NAGY PÁZMÁNY: *Mija siedem lat, od kiedy zastrzeleni zostali słowacki dziennikarz Ján Kuciak i jego narzeczona Martina Kušnírová*

■ ■ NAUKA

76 Co się stało 66 mln lat temu
WOJCIECH MIKOŁUSZKO: *Co właściwie przypieczętowało los dinozaurów?*

■ ■ KULTURA

80 Skandalista mimo woli
ANITA PIOTROWSKA: *„Emilia Pérez", mając na koncie aż trzynaście nominacji do Oscara, w tym dla najlepszego filmu, jest krytykowana jak mało który oscarowy tytuł*

84 Tańczący w sieci
ROZMOWA Z MICHAŁEM LIMBOSKIM, MUZYKIEM: *W moim wymarzonym świecie artysta mógłby robić to, co robi, i nie wypowiadać się na inne tematy, poza swoją sztuką*

87 Ostatnie spotkanie
LEKTOR *o książce Marii Poprzęckiej „Śmierć przed obrazem. O sztuce, starości i znikaniu"*

88 Po swojemu
MONIKA OCHĘDOWSKA

90 Piękna katastrofa
DOROTA KOZIŃSKA: *Rodzima opera po raz kolejny proponuje realizowane ogromnym nakładem sił i środków widowisko bez pojęcia*

■ ■ ZMYSŁY

94 Było sobie życie
WOJCIECH BRZEZIŃSKI *o 25-leciu gry „The Sims"*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ...
... PROSTO DO SWOJEJ SKRZYNKI STR. 66

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

CELE TRUMPA

PATRYCJA BUKALSKA: O co właściwie chodzi Donaldowi Trumpowi?

ADAM EBERHARDT: O podkreślenie własnej sprawczości i wyróżnienie się na tle poprzedniej administracji. Drugorzędne jest to, kto w wojnie rosyjsko-ukraińskiej okaże się zwycięzcą, a kto pokonanym: wojna ma się zakończyć, a on ma otrzymać za to Pokojową Nagrodę Nobla.

Amerykańskiej administracji przyświeca też cel normalizacji relacji z Rosją. Trump liczy, iż reset pomoże mu odciągnąć Rosję od Chin i uzyskać sojusznika w tej głównej rywalizacji, która w najbliższych dekadach czeka Stany Zjednoczone. Co oczywiście się nie spełni: moskiewska elita jest świadoma olbrzymiej dysproporcji w potencjale Rosji i dziesięciokrotnie potężniejszych gospodarczo Chin. Rosjanie nie pójdą na konfrontację z potężnym sąsiadem. Wręcz odwrotnie – kraje te łączy nieformalny sojusz, którego najważniejszym celem jest osłabianie globalnej dominacji USA.

Ale Trump nie pójdzie na wszelkie możliwe ustępstwa wobec Rosji, bo jego administracja jest wrażliwa na krytykę. Będzie chciał uniknąć wrażenia słabości wobec Putina. Natomiast jeśli Rosji i Ukrainie będzie trudno osiągnąć porozumienie – a z pewnością będzie trudno – to zrzuci winę na rzekomo nadmiernie asertywną i niechcącą pokoju Ukrainę. To wynika z podstawowej kalkulacji, o której mówiliśmy – Trump wiąże z Rosją długofalowe nadzieje na przemodelowanie światowej architektury bezpieczeństwa.

Ale jest jeszcze jeden powód. Prezydent USA jest przywiązany do realistycznego postrzegania polityki, w której silny ma zawsze rację. Widzieliśmy to w jego wypowiedziach odnoszących się do Panamy, Grenlandii czy nawet Kanady. Zgodnie z tą logiką jest dla niego oczywiste, że Rosja ma prawo postrzegać Ukrainę jako swoją strefę wpływów.

ADAM EBERHARDT, EKSPERT DS. MIĘDZYNARODOWYCH:

Agresywne wypowiedzi amerykańskiej administracji mogą wynikać z cynicznie postrzeganej taktyki negocjacyjnej.

POWYŻEJ: Donald Trump podczas przemówienia w swoim kurorcie Mar-a-Lago w Palm Beach na Florydzie, 18 lutego 2025 r.

Ukraina została oskarżona przez Trumpa o to, że zaczęła tę wojnę...

Takie agresywne i nieżyczliwe wypowiedzi to nie tylko wyraz jego postrzegania rzeczywistości, ale też typowe przygotowywanie pola negocjacyjnego. Chce Kijów rozmiękczyć i zastra-

szyć, żeby ostatecznie wymusić od niego jak najwięcej ustępstw.

Uważam, że powinniśmy być wstrzemięźliwi w ocenianiu konkretnych, jednostkowych wypowiedzi, rzucanych przez amerykańską administrację. Mogą one wynikać albo z czystej niekompetencji, albo właśnie z cynicznie postrzeganej taktyki negocjacyjnej. Nie jest wcale pewne, że formułowane dziś stanowisko w jakiejś konkretnej sprawie będzie dominować w czasie całego procesu negocjacyjnego. Trump zmiennym jest. Z kolei Rosjanie mają tendencję do nadmiernej roszczeniowości, co może obrócić się przeciwko nim.

Czy to, co w zamyśle Trumpa miało rozmiękczyć Ukrainę, nie skonsoliduje jednak Europy?

UE dysponuje potencjałem, by wspierać Ukrainę również w obliczu braku zaangażowania USA. Różnica w PKB Unii i Rosji jest ośmiokrotna, a jeżeli dodać Wielką Brytanię – dziesięciokrotna. Europie nie brakuje pieniędzy, a za pieniądze można kupić broń.

Pytanie tylko, czy Unia będzie umiała wykrzesać wolę polityczną do wspierania Ukrainy bez, a szczególnie wbrew USA. W takim scenariuszu coraz trudniej będzie o jednolite stanowisko wewnątrzeuropejskie w sprawie sankcji na Rosję czy kontynuowania pomocy Ukrainie. Asertywność państw nieżyczliwych względem Kijowa, jak Słowacja czy Węgry, wzrośnie.

Jak to wszystko wpływa na przyszłość NATO?

Budzimy się w nowej rzeczywistości, gdzie zainteresowanie Stanów utrzymywaniem relacji sojuszniczych z Europą maleje. Na tym etapie nikt nie deklaruje likwidacji NATO, ale może nas czekać obumieranie powiązań sojuszniczych. Tym bardziej że rządy państw europejskich, w obliczu własnych wyzwań wewnątrzpolitycznych i ze strachu przed amerykańską konserwatywną kontrrewolucją mogą podchwycić konfrontacyjny ton wobec Waszyngtonu. Na domiar złego, majaczy na horyzoncie europejsko-amerykańska wojna handlowa.

Jak w tym wszystkim powinna zachować się Polska?

Powinniśmy pielęgnować relacje transatlantyckie, ratować, co się da. Wynika to z wyzwań dla bezpieczeństwa naszego regionu. Przekonywałbym naszych europejskich sojuszników, niechętnych do ponoszenia wydatków na obronność w skali uzgodnionej na forum NATO, czyli co najmniej 2 proc. PKB, że jeśli Ameryka się od nas odwróci, to trzeba będzie na ten cel wydawać znacznie więcej. Przypomnijmy, że Rosja na zbrojenia przeznacza 9 proc. PKB, aż 40 proc. wydatków budżetowych.

Polska przeznacza na obronność – w kategoriach PKB – największej ze wszystkich państw Sojuszu: w ubiegłym roku ponad 4 proc., w tym roku jeszcze więcej.

Wyzwania dla bezpieczeństwa Polski składają się z dwóch elementów. Po pierwsze, w naszym interesie leży, żeby Ukraina utrzymała się jako niezależne państwo, które jest w stanie powstrzymywać rosyjski imperializm. Po drugie, musimy powstrzymać Rosję przed działaniami destabilizującymi wschodnią flankę NATO. Często zapominamy, że w ramach Sojuszu jesteśmy nie tylko odbiorcami, ale również gwarantami bezpieczeństwa. Jakiekolwiek działanie agresywne wymierzone w Łotwę czy Estonię uruchamia sojusznicze zobowiązanie Polski. Nasz los jest zatem powiązany z losem najsłabszego ogniwa systemu sojuszniczego.

Co z samą Ukrainą?

Tu warto cofnąć się do historii rozbiorów Rzeczypospolitej: między pierwszym a trzecim minęło blisko ćwierć wieku. Rosyjska strategia niszczenia Ukrainy jest również podzielona na etapy. Pierwszy etap to 2014 r., kiedy Rosja zagarnęła Krym i część Donbasu. Teraz jesteśmy w przededniu rozstrzygnięć, które pozwolą jej zwiększyć zdobycze terytorialne, ale sądzę, że priorytetem Moskwy na tym etapie jest utrzymanie instrumentów, które dadzą jej możliwość wpływania na politykę ukraińską. Żeby po drugim rozbiorze, ten trzeci stał się nieunikniony.

Rosyjski cel na dziś to osłabienie Ukrainy w wymiarze militarnym: wymuszenie upokarzających ustępstw, które zdestabilizują jej sytuację wewnętrzną, oraz uniemożliwienie nadania jej jakichkolwiek gwarancji bezpieczeństwa od państw zachodnich. Moskwa będzie też sabotować obecność zachodnich wojsk na terytorium Ukrainy. Chce w ten sposób zyskać narzędzia do stopniowego likwidowania jej państwowości, częściowo przez kolejne aneksje, a częściowo przez narzucenie modelu wasalnego.

Rzekoma troska Putina o ukraińską demokrację, w tym polityczną legitymizację prezydenta Zełenskiego, przypomina obronę złotej wolności szlacheckiej przez carycę Katarzynę. Różnica jest taka, że Ukraina wciąż posiada potężną armię, która od trzech lat skutecznie powstrzymuje rosyjską agresję. ©

VLADYSLAV MUSIIENKO / PAP

DR ADAM EBERHARDT,
ekspert ds. międzynarodowych, wiceszef Studium Europy Wschodniej UW. W latach 2016-22 szef Ośrodka Studiów Wschodnich.

Pożegnani z bronią

Deklaracje przedstawicieli nowej amerykańskiej administracji powinny podziałać trzeźwiąco na Europę także w kwestii jej zdolności do produkcji uzbrojenia i amunicji. Jak twierdzi „Rzeczpospolita", polski rząd w ub. tygodniu zgodził się wreszcie na to, by wszystkie fundusze Europejskiego Funduszu Obronnego EDIP szły na zakup uzbrojenia europejskiego. Dotychczas Warszawa domagała się, aby 35 proc. funduszu pozostawało otwarte na zakupy spoza UE, głównie z USA. Z Niemiec też płyną krzepiące doniesienia, jakoby tamtejsza klasa polityczna powoli godziła się z koniecznością zaciągnięcia wspólnego europejskiego długu na rozbudowę zdolności produkcji uzbrojenia przez koncerny militarne z UE.

PROTOKÓŁ NIEZGODNOŚCI. Bez zacieśnienie współpracy i dofinansowania się nie obejdzie. Europejski przemysł zbrojeniowy nie jest dziś w stanie podjąć zadania szybkiego doposażenia armii krajów Wspólnoty, nawet gdyby liderzy polityczni błyskawicznie uruchomili niezbędne do tego pieniądze (wspomniany fundusz EDIP w ostatnim rozdaniu na lata 2025-27 to raptem 1,5 mld euro). Europejskie koncerny zbrojeniowe, poza kilkoma wyjątkami, są nastawione na konkurowanie ze sobą, nie na współpracę. Komisja Europejska nie zgadza się nawet w ocenie mocy produkcyjnych krajów członkowskich, raz szacując je na 1,7 mln sztuk pocisków 155 mm rocznie, raz na 1,4 mln.

ZA ROSJĄ. Według nieoficjalnych informacji Polska Grupa Zbrojeniowa jest w stanie w ciągu roku wyprodukować około 50 tys. pocisków artyleryjskich 155 mm. Dla porównania, armia ukraińska na froncie zużywa co miesiąc ok. 90 tys. sztuk takiej amunicji. Rosja w ub. roku zwiększyła produkcję amunicji artyleryjskiej do 4,5 mln sztuk rocznie. ©℗ MAREK RABIJ

ROBERTO SCHMIDT / AFP / EAST NEWS

Niezręczności szefowej CBA

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Dymisja Agnieszki Kwiatkowskiej-Gurdak właściwie nie powinna dziwić. Szefowa CBA zeznając przed komisją śledczą, bardzo szeroko zinterpretowała prawo do zasłaniania się tajemnicą państwową, a dodatkowo zeznawała w obcesowy sposób, ujawniając tym samym swój stosunek do komisji. Premier nie bardzo miał więc wybór, mógł albo odciąć się od niesfornej pani oficer, albo zdezawuować komisję, która jest wszak filarem rozliczeń PiS.

ANITA WALCZEWSKA / EAST NEWS

Sprawa ma jednak również inny aspekt. Wiele wskazuje na to, że zachowanie szefowej CBA to wyraz protestu przeciwko pomysłowi rozwiązania biura w dotychczasowej formie i stworzenia nowej, znacznie słabszej służby, już w strukturach policji.

Zamiarom likwidacyjnym trudno się dziwić. CBA ma wyjątkowo silnie obciążoną hipotekę, dała się poznać jako partyjna policja polityczna PiS. Czy powinna zostać zamknięta, trudno się wypowiadać bez fachowej wiedzy. Faktem jest jednak, że służby mają tendencję do ulegania zachowaniom dworskim, sprzyjającym aktualnie rządzącym. Dlatego ci nieliczni, którzy się z tego sposobu zachowania wyłamują, mogą być cenni jako źródło sygnałów ostrzegawczych. Podobnie myślał Donald Tusk, gdy w 2007 r. po raz pierwszy został premierem. Zostawił wtedy na czele CBA Mariusza Kamińskiego, choć ten ostatni okazał się potem przede wszystkim politykiem opozycji. Można więc zrozumieć, że premier nie chce drugi raz popełniać tego samego błędu i woli zlikwidować służbę przesiąkniętą PiS-owską kadrą.

Lecz na korzyść obecnego kierownictwa CBA może świadczyć to, że ludzie ci pomogli ujawnić przypadki nadużycia Pegasusa, i to jeszcze w czasach PiS. Akurat ten fakt może być rękojmią ich odporności na polityczne naciski, co w przypadku służby mającej badać przypadki korupcji w elicie władzy jest pożądaną cechą.

Może więc w mało wyrafinowanym zachowaniu byłej już szefowej CBA jest jednak jakiś aspekt pozytywny, a obecny rząd powinien rozważyć, czy likwidacja tej służby nie jest w dłuższej perspektywie niekorzystna dla państwa. ©

NA PUNKTY

WIERSZ

20 tys. zł kary od prezydium Sejmu otrzymał poseł PiS Edward Siarka, który wykrzyknął „kula w łeb!" w chwili, gdy jego klubowy kolega Zbigniew Ziobro wspomniał z mównicy nazwisko Donalda Tuska (Siarka tłumaczył potem, że tylko cytował „Bagnet na broń!" Władysława Broniewskiego).

OŚWIADCZENIE

„Starałem się sumiennie wykonywać obowiązki posła, ale przegrywam z chorobą alkoholową" – oświadczył poseł Konfederacji Ryszard Wilk, deklarując, że zamierza poddać się terapii. Podczas ostatniego posiedzenia Sejmu Wilka trzeba było wyprowadzić z sali obrad; w jego przypadku kara od prezydium wyniosła 4 tys. zł.

KOMUNIKAT

Na terytorium Polski spadły szczątki rakiety Falcon 9 firmy SpaceX. O możliwości takiego zdarzenia uprzedziła rząd Polska Agencja Kosmiczna, ale stosowny komunikat wysłała na nieaktualny od pół roku adres e-mail. Tutaj na razie obyło się bez kar: Agencja, na polecenie ministra rozwoju i technologii, przystąpiła do dokonania „przeglądu systemu dystrybucji raportów i komunikatów". ©℗

Czy Mentzen zagrozi Polsce 2050

MAREK KĘSKRAWIEC

Gdy w połowie stycznia Karol Nawrocki zbliżał się w sondażach do Rafała Trzaskowskiego na 4 punkty proc., w obozie PiS zaczęto marzyć o zwycięstwie. Dziś z tego snu o potędze nie zostało prawie nic. Popularność Nawrockiego zjechała z niemal 32 proc. do 22-24 proc., a kandydat ma kłopot, by przekonać do siebie nawet część wyborców PiS. Jego sztab się pogubił i nie umie narzucić nowych tematów, sam Nawrocki zaś okazał się przeciętną osobowością i bardziej zanudza własny elektorat, niż go mobilizuje.

Spora grupa obywateli odpłynęła w stronę Sławomira Mentzena, który w niektórych sondażach osiąga 16 proc. Zbiera oczywiście nie tylko rozczarowany elektorat PiS-u, ale także Trzeciej Drogi. Poparcie dla Szymona Hołowni wynosi dziś 5-7 proc. i może być zapowiedzią klęski, która od środka zniszczy Polskę 2050.

Ekspansja Mentzena pokazuje, że dziś można budować konkretną siłę w oparciu o media społecznościowe i bezpośrednie spotkania z wyborcami. Brak zainteresowania głównych mediów o niczym tu nie przesądza. Radio i telewizja też się zresztą pojawią, w oficjalnych programach wyborczych, a na razie pozostaje Mentzenowi życzliwość TV Republika, budząca zresztą wściekłość w otoczeniu Jarosława Kaczyńskiego.

Na korzyść kandydata Konfederacji gra też ogólny zwrot na prawo w polskim społeczeństwie, obawiającym się imigracji i finansowych skutków surowej polityki klimatycznej.

Nasza wspólnota stała się po części „konfederacka". A będzie taka jeszcze mocniej, gdy Trzaskowski z Nawrockim zaczną przed drugą turą wić się przed kamerami, by zaskarbić sobie sympatię takich wyborców. Na końcu tej niebezpiecznej gry może być prezydentura dla oryginału – konfederaty – za pięć lat. I nie będzie nim Mentzen, ale Krzysztof Bosak. ©℗

Kościół się uczy

ARTUR SPORNIAK

Paweł M., któremu wiele kobiet zarzuciło przemoc seksualną, fizyczną i psychiczną, został wydalony z kapłaństwa i zakonu. Poinformowali o tym polscy dominikanie w obszernym komunikacie. Jak się okazuje, były zakonnik został usunięty ze stanu kapłańskiego już w marcu 2024 r. w wyniku kościelnego procesu karnego. Obecnie generał dominikanów wraz ze swoją Radą zdecydował o wydaleniu Pawła M. z zakonu.

Dominikanie przypominają, że były zakonnik we wrześniu 2022 r. został skazany przez sąd za przestępstwa seksualne dokonane wobec jednej ze skrzywdzonych przez niego osób na cztery lata pozbawienia wolności (zmienione przez sąd apelacyjny na trzy lata więzienia). W maju 2024 r. sąd podjął decyzję o warunkowym zwolnieniu. Do chwili wydalenia z zakonu Paweł M. przebywał w odosobnionym miejscu i kontaktował się tylko z osobami wskazanymi przez prowincjała.

Historia przestępstw dominikanina została po raz pierwszy opisana w marcu 2021 r. przez Paulinę Guzik na portalu „Więź". Tekst ukazywał metody psychomanipulacji, które w latach 1996-2000 stosował cieszący się dużą popularnością charyzmatyczny zakonnik, uzależniając od siebie młode kobiety (m.in. bił je i gwałcił). Zakonni przełożeni wiedzieli o tych wydarzeniach i reagowali w sposób nieadekwatny. Symboliczne kary nie były egzekwowane, umożliwiło to dalsze działanie Pawła M., który w latach 2011 i 2018 zgwałcił zakonnicę (jedynie ta sprawa nie przedawniła się i doprowadziła do skazania dominikanina).

Dziennikarskie śledztwo sprawiło, że prowincjał dominikanów powołał pierwszą w polskim Kościele niezależną komisję do zbadania przestępstw popełnianych w ramach duszpasterstwa.

Jej przewodniczącym został Tomasz Terlikowski. Opublikowany 15 września 2021 r. raport komisji opisywał sposób działania Pawła M., krzywdę, jaką doznały jego ofiary, wieloletnie zaniedbania prowincji oraz przedstawiał sugestie reform. Ubiegłotygodniowy komunikat dominikanów zdaje sprawę z realizacji tych postulatów (m.in. zawarte zostały ugody finansowe ze skrzywdzonymi osobami).

Bulwersująca historia, która właśnie dobiegła końca, nauczyła wiele dominikanów i Kościół w Polsce. Nauka trwała długo, a była możliwa jedynie dzięki odwadze skrzywdzonych przez Pawła M. kobiet, które zdecydowały się opowiedzieć o doznanym cierpieniu. ©℗

Powrót zakładników

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Obrót spraw wokół zwrotu ciał rudowłosych braci Ariela i Kfira Bibasów oraz ich matki Sziri przypieczętował w Izraelu poczucie bezradności, wściekłość na nieudolność własnego rządu i jednoczesną chęć odwetu na Hamasie.

Rodzina Bibas została porwana z kibucu Nir Oz rankiem 7 października 2023 r. Matkę z dwójką małych dzieci (Kfir miał 9 miesięcy, Ariel 4 lata) i ojca Jardena rozdzieliły i przetrzymywały w Gazie w osobnych miejscach dwa różne ugrupowania terrorystyczne. W ataku zamordowano też mieszkających w tym samym kibucu rodziców Sziri. Przed atakiem Hamasu Bibasowie rozważali wyprowadzkę z regularnie ostrzeliwanego Nir Oz.

Jarden wrócił do Izraela 1 lutego w ramach czwartej rundy uwalniania zakładników. Losy Sziri i dzieci pozostawały nieznane, choć już pod koniec 2023 r. Hamas utrzymywał, że trójka zginęła w izraelskich nalotach. 20 lutego terroryści wydali Izraelowi cztery trumny: w trzech miały znajdować się ciała Bibasów, w czwartej – ciało Odeda Lifshitza, Izraelczyka z polskim obywatelstwem. Badania przeprowadzone w zakładzie medycyny sądowej potwierdziły, że w trumnach znajdują się szczątki Odeda i dzieci. Izraelczycy poinformowali, że dzieci zginęły w listopadzie 2023 r. na skutek uduszenia „gołymi rękami", a ich ciała zbezczeszczono, próbując ukryć ślady. Hamas zaprzeczył.

W czwartej trumnie znajdowały się szczątki niezidentyfikowanej kobiety. Hamas zwrócił właściwe ciało dopiero następnego dnia; tym razem badania DNA potwierdziły tożsamość Izraelki.

Jarden Bibas i jego bliscy oświadczyli, że nie chcą, by historia ich rodziny stała się przyczynkiem do odwetu, lecz wezwaniem do szybkiego uwolnienia pozostałych zakładników. Ich rodziny drżały, gdy premier Netanjahu, domagając się zwrotu ciała Sziri, zapowiadał powrót do działań militarnych. Rodziny wiedzą, że oznaczałoby to zagrożenie życia dla bliskich pozostających w Gazie (63 osoby; szacuje się, że połowa z nich nie żyje). Dla Gazy byłby to powrót do koszmaru wojny.

W oceanie cierpienia, jakim jest ten konflikt, warto przypominać: w wojnie, w której w brutalny sposób giną dzieci – niezależnie od tego, czy palestyńskie, czy izraelskie – nie ma wygranych. Wobec zła uczynionego bezbronnym wszyscy przegrywamy i wszyscy jesteśmy winni. ©℗

Przekazanie ciał rodziny Bibas przez Hamas Czerwonemu Krzyżowi. Bani Suhajla, Strefa Gazy, 20 lutego 2025 r .

HASHEM ZIMMO / THENEWS2 / COVER IMAGES / EAST NEWS

Czy dziura w finansach NFZ oznacza dłuższe kolejki do lekarza

ZDROWIE ▪ W latach 2025-2028 w budżecie NFZ może zabraknąć nawet ćwierć biliona złotych – ostrzegają ekonomiści z Federacji Przedsiębiorców Polskich i Instytutu Finansów Publicznych. Brzmi abstrakcyjnie? I co to w zasadzie znaczy: zabraknie?

Przedstawiony kilka dni temu raport na temat luki finansowej w NFZ bierze pod lupę trzy główne kwestie: ile kosztuje zapewnienie świadczeń zdrowotnych na obecnym poziomie (daleko niesatysfakcjonującym), jak zmienią się koszty oraz jak będą wyglądać przychody NFZ ze składek zdrowotnych. Jedynego pewnego, niezależnego od decyzji polityków źródła finansowania wydatków na zdrowie. Różnica między kosztami systemu a poziomem przychodów to właśnie – w pewnym uproszczeniu – luka, którą będzie musiał zapełnić budżet państwa.

Będzie musiał, ale czy będzie w stanie? Polska jest objęta przez Komisję Europejską procedurą nadmiernego deficytu. To pokłosie szalonych wydatków i ukrywania rosnącej nierównowagi finansów publicznych za czasów PiS. Teraz musimy deficyt zmniejszać, a budżet NFZ został ściśle związany w ostatnich miesiącach z budżetem państwa. To sprawia, że dokładanie pieniędzy do Funduszu, zwłaszcza w środku roku, będzie dla ministra finansów o wiele trudniejsze. Będzie musiał, mówiąc wprost, „komuś zabrać". Na przykład – nauce, kulturze czy edukacji. Mówimy o kwotach rzędu kilkunastu (minimum) miliardów rocznie.

A jeśli budżet pieniędzy nie dołoży? To najczarniejszy scenariusz, mało prawdopodobny. Dużo bardziej realistyczny jest taki, że z budżetu będą pieniądze „kapać", gdy sytuacja będzie już krytyczna. To znaczy, gdy znów – jak w ubiegłym roku – ze szpitali popłyną informacje o wstrzymaniu przyjęć nowych pacjentów do programów lekowych, czyli leczenia bardzo drogimi, nowoczesnymi, terapiami. Albo gdy okaże się – dokładnie tak, jak w drugim półroczu 2024 roku – że szpitale przekładają na „po Nowym Roku", co czasami oznacza wręcz blisko rok oczekiwania, planowe zabiegi czy badania z powodu a to wyczerpania limitu, a to obawy, że choć świadczenie jest nielimitowane, NFZ nie zapłaci za nie.

Niemożliwe? Ależ jak najbardziej! Mimo obietnic ministry zdrowia część szpitali czeka jeszcze na zamknięcie rozliczeń za trzeci (!) kwartał ubiegłego roku. Szpitale w niektórych województwach dostały też informację, że choć za świadczenia nielimitowane powinny dostać 100 proc. kwoty, czwarty kwartał, przynajmniej na razie, zostanie rozliczony tylko w części. Powód jest ten sam – pustka w kasie.

Luka na ćwierć biliona złotych brzmi może abstrakcyjnie, ale jej konsekwencje dla pacjentów są jak najbardziej konkretne. Co więcej, ostatni rok pokazał, że nie tylko trzeba się z nimi liczyć, ale są wręcz nieuchronne.

© MAŁGORZATA SOLECKA

Niemcy po wyborach

POLITYKA ▪ Na przedmieściach Hanoweru, gdzie mieszkam, w niedzielę do południa ulice zazwyczaj świecą pustkami. Jednak 23 lutego, w dzień wyborów do Bundestagu, ludzie od rana tłumnie ruszyli w kierunku lokali wyborczych. W całym kraju głos oddało 82,5 proc. uprawnionych, najwięcej w powojennej historii Niemiec.

Wygrały tworzące sojusz partie chadeckie: CDU i bawarska CSU. Razem zdobyły 28,5 proc. głosów. Nowym kanclerzem zostanie najprawdopodobniej szef CDU Friedrich Merz. Chadecy oparli kampanię na obietnicy radykalnych zmian. Merz chce zakończyć to, co zaczęła w 2015 r. Angela Merkel – politykę otwartych granic.

Jednak zanim do tego dojdzie, w Berlinie musi powstać koalicja. CDU odrzuca możliwość współpracy z Alternatywą dla Niemiec, choć obie partie w kwestiach migracyjnych dużo łączy. Populiści z AfD otrzymali drugi wynik, 20,8 proc. głosów. Będą dla Merza trudną i niewygodną opozycją.

Jedynym partnerem dla chadeków pozostają socjaldemokraci z SPD. Ugrupowanie otrzymało 16,41 proc. głosów. To najniższy wynik w historii tej partii i kara wyborców za nieudane rządy kanclerza Olafa Scholza.

CDU/CSU i SPD w kampanii nie szczędziły sobie krytyki. Teraz muszą podzielić się władzą. W tym akurat mają doświadczenie: wielokrotnie w historii Niemiec tworzyły tzw. wielką koalicję. Obie potrafią iść na kompromisy.

Oby tym razem doszło do szybkiego zawiązania koalicji. Sprawnego wyłonienia się rządu w Berlinie wymaga sytuacja międzynarodowa. Donald Trump chce jak najszybciej dogadać się z Władimirem Putinem. Jak do tej pory, nie dopuszcza do rozmów ani Ukrainy, ani Europy. Z dyplomatycznego chaosu wyłania się potrzeba działania państw UE.

Friedrich Merz jest zwolennikiem dalszego wspierania Ukrainy. Wielokrotnie podkreślał też, że po wyborach będzie zabiegał o polepszenie stosunków z Polską. CDU i Koalicja Obywatelska należą do tej samej frakcji w Parlamencie Europejskim. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen również wywodzi się z tego samego obozu politycznego. Czas, aby dotychczasowe kontakty przerodziły się w zwartą politykę Europy dalszego wspierania Ukrainy. Z Ameryką lub bez niej.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI z Berlina

Friedrich Merz i Markus Soeder po ogłoszeniu pierwszych wyników w niemieckich wyborach parlamentarnych podczas wieczoru wyborczego w Berlinie. Niemcy, 23 lutego 2025 r.

INA FASSBENDER / AFP / EAST NEWS

Jawor, góra nieporozumień

TRADYCJE ▪ Jawor jest wzniesieniem Beskidu Niskiego, znajdującym się w obrębie Gór Hańczowskich, jakieś 3 kilometry od Wysowej-Zdroju. Dla Łemków, prawosławnych i grekokatolików to Święta Góra Jawor. W 1925 roku Łemkom miała ukazać się na niej Maryja. W 1929 roku wzniesiono tu kaplicę Opieki Matki Bożej, mającą dziś status greckokatolickiego sanktuarium. Obok powstaje prawosławna cerkiew apostołów Piotra i Pawła.

Grekokatolicy i prawosławni toczyli sądowe batalie o to miejsce, jednak dzięki decyzji Nadleśnictwa Łosie dziś mówią jednym głosem. Lasy Państwowe chcą bowiem na Górze Jawor postawić wieżę widokową, wraz z prowadzącą do niej ścieżką edukacyjną.

Sprzeciw wobec tej inwestycji ma jednak inne źródła niż częstsze protesty przeciwko „wieżyzacji" polskich gór. Góra Jawor jest celem łemkowskich pielgrzymek, miejscem świętym. „To jakby postawić na Jasnej Górze wesołe miasteczko" – wyjaśnia reporterce radia LEM.FM jeden z mieszkańców.

JUREK ADAMSKI / ADOBE STOCK

Góra Jawor w Beskidzie Niskim. Luty 2020 r.

Kolejnym źródłem sporu jest fragment ścieżki edukacyjnej, który ma być poświęcony generałowi Kazimierzowi Pułaskiemu i konfederacji barskiej, walczącej w tych okolicach z Moskalami. Łemkom konfederaci kojarzą się z prześladowaniami, grabieżą, paleniem cerkwi, opresją.

„Jesteśmy przeciwni gloryfikowaniu na naszej ziemi tych, którzy dopuścili się zbrodni na miejscowej rdzennej ludności łemkowskiej. (...) To profanacja tego, co jest dla nas święte" – napisał Paisjusz, prawosławny arcybiskup przemyski i gorlicki. „To nie jest miejsce na turystyczne atrakcje, obok sanktuarium, które na dodatek akurat tego roku będzie obchodziło swoje stulecie" – powiedział greckokatolicki arcybiskup przemysko-warszawski Eugeniusz Popowicz, mianowany przez papieża Franciszka.

Konsultacje społeczne w sprawie inwestycji Nadleśnictwo Łosie zorganizowało 23 grudnia, czyli na dzień przed Wigilią. Według LEM.FM Starostwo Powiatowe w Gorlicach wydało już pozwolenie na budowę. ©℗ PATRYK STANIK

Komputery kwantowe: Microsoft ogłasza przełom

INFORMATYKA ▪ Technologiczny gigant ogłosił stworzenie układu kwantowego Majorana 1. Ma on posłużyć do budowy komputera kwantowego do zastosowań przemysłowych. Według Microsoftu to kwestia zaledwie kilku lat, ale eksperci mają wątpliwości.

Gdyby się to udało, możliwe stałoby się wykonanie w skończonym czasie obliczeń, którym nie dają rady nawet najpotężniejsze superkomputery. Przewaga komputerów kwantowych wynika z odmiennego sposobu przechowywania informacji. W klasycznym komputerze jednostką informacji jest bit, który może przyjmować tylko dwie wartości. Fizyczną realizację bitu stanowi zatem układ, który ma dwa stany – mógłby to być nawet włącznik światła, choć we współczesnych komputerach wykorzystuje się tranzystory. Kwantowym odpowiednikiem bitu jest kubit, który może przebywać w swoiście kwantowym stanie superpozycji między dwoma stanami. W praktyce kubit może przyjmować wartość nie tylko zera lub jedynki, ale też rozmaitych liczb między nimi.

Znane są różne sposoby na fizyczną implementację kubitu, jak odpowiednio przygotowane fotony, obwody nadprzewodnikowe czy jony umieszczone w elektromagnetycznych pułapkach. Zespół Microsoftu chce oprzeć swój komputer kwantowy na tzw. kubitach topologicznych, czyli układach cząstek o własnościach gwarantujących większą stabilność w porównaniu z innymi implementacjami. To istotna zaleta, bo stan kubitu potrzebny do prowadzenia obliczeń może zostać zniszczony przez trudne do wyeliminowania zakłócenia, do których należy wszechobecne promieniowanie elektromagnetyczne czy drgania cząstek związane z temperaturą.

To właśnie stworzenie fizycznej realizacji kubitu topologicznego w materiale zwanym nadprzewodnikiem topologicznym udało się niedawno badaczom z Microsoftu. To znaczące osiągnięcie, ale oświadczenie firmy spotkało się ze sceptycyzmem. Krytycy przypominają, że w 2018 r. grupa związana z Microsoftem pochwaliła się zaobserwowaniem fermionu Majorany – układu cząstek, z którego składają się topologiczne kubity. Publikacja została wycofana trzy lata później, gdy w analizie danych zauważono błędy. Z kolei Steven Simon z Uniwersytetu Oksfordzkiego zwraca uwagę, że zaprezentowane dotychczas wyniki nie dowodzą, iż nowe kubity Microsoftu rzeczywiście są topologiczne. Dowodem tych własności byłoby przeprowadzenie obliczeń z użyciem wielu kubitów. A im więcej kubitów, tym więcej trudności, bo wszystkie muszą jednocześnie pozostać w przygotowanym stanie. Liczba kubitów, której są w stanie używać do obliczeń istniejące komputery kwantowe, jest rzędu stu. Szacuje się, że do rozwiązania użytecznego komercyjnie problemu potrzeba miliona.

© MARTA LOTKA

TEMAT TYGODNIKA

PORNOGRAFIA ZMIENIA MÓZG

MATEUSZ GOLA, PSYCHOLOG I NEUROKOGNITYWISTA:

Z naszych badań wynika, że najlepszym czynnikiem, który pozwala dziecku uniknąć w przyszłości nałogowych zachowań seksualnych, jest możliwość rozmowy z rodzicami na temat seksualności.

ANNA GOC: „Oglądasz pornografię?" – Pana zdaniem tego pytania raczej nie zadajemy. Dlaczego?

PROF. MATEUSZ GOLA: Kilkanaście lat temu, kiedy zaczynałem badania, pornografia była tabu nawet w nauce. Pytania o to, czy i w jaki sposób z niej korzystamy, nie padały ani w przestrzeni publicznej, ani na randkach. Jakby pornografia nie istniała.

Dane mówią jednak coś zupełnie innego. Pytanie powinno brzmieć nie „czy" oglądamy pornografię, tylko „jak często" to robimy.

Bo oglądamy wszyscy?

Z pornografii regularnie, czyli przynajmniej kilka razy w miesiącu, korzysta dwie trzecie mężczyzn i jedna trzecia kobiet. Pozostałe osoby, jeśli oglądają pornografię, to rzadko – kilka razy w roku. Jednak mężczyźni zdecydowanie częściej, bo aż o osiem razy częściej, uzależniają się od pornografii.

Dlaczego?

Z perspektywy mózgu – to zagadka. Wiemy na pewno, że kora czołowa, która odpowiada m.in. za to, że rozumiemy i potrafimy przewidzieć konsekwencje naszych zachowań i potencjalne ryzyka, u kobiet rozwija się szyb-

SHUTTERSTOCK

ciej, bo do dwudziestego drugiego roku życia, a u mężczyzn – do dwudziestego piątego.

Gdy prowadziliśmy badania wśród osób, które szukały pomocy w związku z nadużywaniem pornografii, zauważyliśmy, że dla kobiet pornografia była większym problemem ze względu na ich przekonania religijne czy moralne. W przypadku mężczyzn była odbierana jako problem dopiero wtedy, kiedy pojawiały się negatywne konsekwencje korzystania z niej, na przykład gdy wpłynęła na pogorszenie relacji w związku, zaniedbywanie edukacji lub pracy.

Warto dodać, że w przypadku mężczyzn korzystanie z pornografii dużo częściej wpływa na niezadowolenie ze związku. Z badań podłużnych, czyli takich, które pozwalają obserwować te same osoby na różnych etapach ich życia, wynika, że mężczyźni, którzy na początku badania byli zadowoleni ze swoich relacji partnerskich, pod wpływem coraz częstszego korzystania z pornografii tracili to zadowolenie.

Obniża się także wiek pierwszego kontaktu z pornografią.

Na strony pornograficzne wchodzą już dziesięcioletnie dzieci, równie często chłopcy, jak i dziewczyny. Nasze badania pokazują, że co czwarte dziecko w tym wieku odwiedza strony pornograficzne przynajmniej raz w miesiącu, i to bez względu na płeć. Różnice między płciami w tej grupie widać dopiero kilka lat później: wśród nastoletnich chłopców co dziewiąty przyznaje się do codziennego oglądania pornografii, wśród dziewczyn – znacznie mniej.

Wiek pierwszego dostępu do pornografii przesuwa się wraz z obniżaniem się wieku dostępu do urządzeń mobilnych i internetu. Co ma ogromny wpływ na rozwój dzieci.

Materiały, które oglądają, nie bez powodu są „tylko dla dorosłych". Są silnie stymulujące – angażują, szybko wciągają. I, co ważne szczególnie dla osób, które jeszcze przez wiele lat nie będą miały własnych partnerskich doświadczeń seksualnych, przedstawiają życie seksualne w skrzywionym zwierciadle. Kształtowane przez nie nierealne wyobrażenia dotyczące ciała i tego, jak wyglądają seks i bliskość, mogą przełożyć się na zachowania w związkach i niezadowolenie z nich.

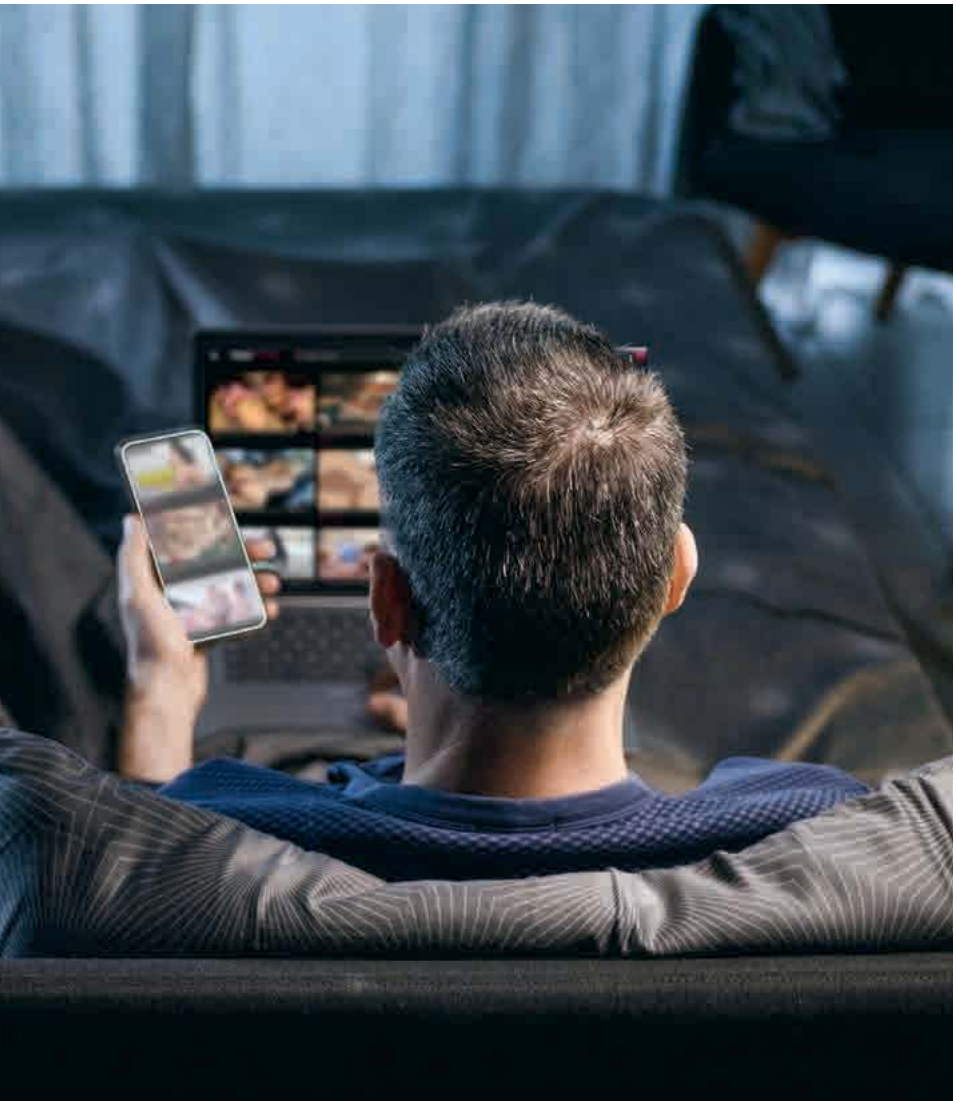

Jak pornografia wpływa na dziecięcy mózg?

Mózg dziesięcioletniego dziecka nie jest jeszcze w pełni rozwinięty, a więc zachowuje dużą plastyczność. Kora czołowa, o której wspomnieliśmy, będzie kształtowała się przez kolejne kilkanaście lat. Dlatego dzieci i nastolatkowie łatwiej wchodzą w ryzykowne sytuacje w internecie, choćby związane z sextingiem, czyli udostępnianiem swoich zdjęć innym i w sieci.

Ostatnie badania pokazują, że bodźce ambiwalentne, czyli takie, które kojarzą się z czymś przyjemnym i z czymś niepokojącym albo zagrażającym, mogą szybciej wciągnąć w nałogowe zachowania. Dzieci, które odkrywają pornografię, zwykle przeżywają ekscytację i niepokój, że zostaną przyłapane. Tylko jedno na dziesięć mówi dorosłym o tym, że miało kontakt z pornografią, reszta to ukrywa.

Aspekt niepokoju, tajemnicy, robienia czegoś nielegalnego jest więc silny. Jeśli dołożymy kwestie światopoglądowe, połączymy masturbację z grzechem, a jednocześnie z przyjemnością, pojawia się ambiwalencja. A ambiwalentny bodziec ma duży potencjał oddziaływania na mózg, ponieważ jednocześnie aktywuje układy powiązane z przyjemnością i lękiem.

Co możemy zrobić, żeby uchronić dziecko przed uzależnieniem?

W naszych badaniach wychodziło, że najlepszym czynnikiem, który pozwala dziecku uniknąć w przyszłości nałogowych zachowań seksualnych, jest możliwość rozmowy z rodzicami na temat seksualności, podobnie zresztą jak o różnych innych trudnych i potencjalnie ambiwalentnych sprawach.

Jakie podejście do pornografii ma „pokolenie Z", pierwsze, które miało do niej dostęp w internecie?

W badaniach obserwujemy, że przedstawiciele „pokolenia Z" są dużo bardziej ↦

↦ otwarci na rozmowę o pornografii. Wynika to między innymi z przekonania, że korzystają z niej wszyscy. W tej grupie dzielenie się informacją o korzystaniu z pornografii nie jest tak silnie powiązane z lękiem przed oceną czyjegoś życia seksualnego czy powodzenia w intymnych relacjach.

W starszych grupach to się zmienia?

W grupie osób po trzydziestym roku życia wciąż mocne jest poczucie, że oglądanie pornografii wśród mężczyzn jest czymś powszechnym, a wśród kobiet – wstydliwym. Przyznanie się do zaglądania na strony z pornografią jest też silniej łączone z negatywną oceną relacji partnerskich. Mężczyźni z „pokolenia milenialsów" częściej niż ich młodsi koledzy mają przekonanie, że jeśli oglądają porno, to znaczy, że nie układa im się seks partnerski, a kobiety częściej traktują korzystanie z pornografii przez partnera na równi ze zdradą.

Różnice między kobietami i mężczyznami widać też w badaniach, w których pytano osoby w stałych związkach o zadowolenie z życia seksualnego. Ok. 57 proc. kobiet w stałych związkach partnerskich jest zadowolona z częstotliwości życia seksualnego, 28 proc. twierdzi, że seksu jest za mało, a 14 proc. – że za dużo. Gdy zadamy to samo pytanie mężczyznom, 57 proc. twierdzi, że seksu w ich związku jest za mało. I zaledwie 4 proc. – że za dużo.

Pytano też o bliskość – choćby o przytulanie?

Bliskość fizyczna dla wielu osób jest jednym z głównych języków miłości. Możemy komunikować się na różne sposoby: poprzez wysokiej jakości czas, który spędzamy razem, komplementy, różnego rodzaju przysługi, prezenty lub właśnie poprzez bliskość fizyczną.

Jeśli dla kogoś ten aspekt bliskości fizycznej jest głównym sposobem doświadczania miłości i z jakiegoś powodu zaczyna być go nagle mniej, pojawia się odczucie bycia nieszanowanym, niepożądanym, a ostatecznie – niekochanym.

Bliskość seksualna jest jedną z nielicznych potrzeb w naszym życiu, której nie możemy zaspokoić w pełni samodzielnie. Gdy jesteśmy w związku, w bliskiej relacji, potrzebujemy otworzyć się na drugą osobę – zaufać i powierzyć jej naszą potrzebę seksualną. Licząc na to, że nie zostaniemy wyśmiani ani odrzuceni, a nasza potrzeba nie zostanie zbagatelizowana.

A jeśli właśnie tak się dzieje?

Jeśli pojawiają się rozbieżności – inne zapotrzebowanie na bliskość i seks, albo diametralnie odmienne rozumienie potrzeb seksualnych, warto próbować znaleźć jakiś konsensus, pokazać drugiej stronie, jak my to odczuwamy, jak wiele znaczeń ta seksualność dla nas ma. Ale jeśli ktoś nas odrzuca zupełnie, trudno mówić o satysfakcjonującym związku. Gdy osoba, dla której potrzeba intymnej fizycznej bliskości jest głównym językiem doświadczania miłości, notorycznie spotyka się z odmową, to jest to nie tylko odmowa seksu, lecz także odmowa uznania, że jestem dla kogoś ważny, doceniany, kochany, że moje potrzeby się liczą, że druga strona chce się o nie zatroszczyć.

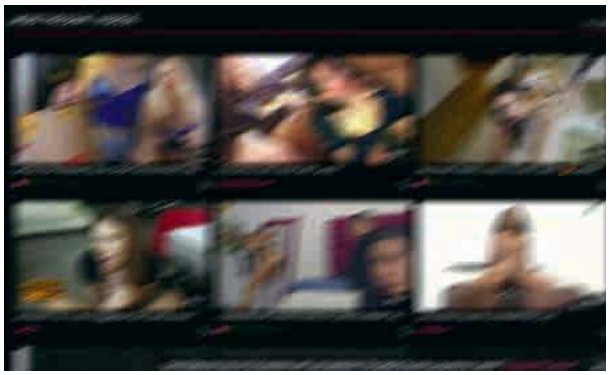

ZRZUT EKRANU POPULARNEJ STRONY PORNOGRAFICZNEJ

Pornografia w liczbach

- **OK. 70 PROC. MĘŻCZYZN I 30 PROC. KOBIET** oglądało pornografię w ostatnim miesiącu.
- **W USA** ok. 11 proc. osób korzysta z pornografii codziennie.
- **TYLKO W TYM KRAJU** przemysł pornograficzny wart jest ponad miliard dolarów rocznie.
- **NAJPOPULARNIEJSZY** na świecie serwis pornograficzny notuje dziennie przeszło 100 mln odwiedzin.
- **W WIELU KRAJACH** na świecie ten serwis ustępuje pod względem popularności wyłącznie Facebookowi, Google'owi i YouTube'owi.
- **OBECNIE** większość osób ogląda pornografię na smartfonach i tabletach (93 proc. wyświetleń).
- **DANE ZEBRANE** w ciągu ostatnich dwóch dekad wskazują, że liczba osób regularnie oglądających pornografię stale rośnie.
- **OPRÓCZ** pojawienia się urządzeń mobilnych, na wzrost liczby konsumentów pornografii miało wpływ wprowadzenie trybu incognito w przeglądarkach.
- **ŚREDNI WIEK** pierwszego kontaktu z pornografią wypada między 9. a 10. rokiem życia.
- **PONAD POŁOWA DZIECI** w tym wieku styka się z pornografią przypadkowo i wskazuje ją jako najczęściej widziany w internecie rodzaj niechcianej treści.
- **CO DZIESIĄTE DZIECKO** w tym wieku szuka pornografii celowo, podobny odsetek dzieci miał styczność z pornografią pod wpływem rówieśników.
- **40 PROC.** młodszych nastolatków (12-14 lat) ogląda pornografię kilka razy w tygodniu lub codziennie.
- **POŁOWA NASTOLATKÓW,** którzy mieli styczność z pornografią, wskazuje, że oglądało sceny seksu zawierające przemoc – m.in. gwałt, duszenie, zadawanie bólu.
- **W 2021 R.** najpopularniejszy serwis pornograficzny usunął 80 proc. materiałów po śledztwie dziennikarskim wskazującym, że roi się w nim od scen prawdziwych gwałtów, dziecięcej pornografii czy filmów udostępnionych bez zgody osób, które widnieją na nagraniu.
- **LICZBA OSÓB,** które deklarują, że są uzależnione od oglądania pornografii, waha się od kilku do kilkunastu procent.

©℗ ŁK

Zajrzyjmy, co dzieje się wtedy w mózgu.

Bliskość fizyczna – przytulanie, czułość, seksualna bliskość, wiąże się z dużą ilością wydzielanej oksytocyny. Oksytocyna ma duże znaczenie dla budowania relacji. Badania pokazują, że jeśli źródłem oksytocyny jest nasz partner lub partnerka, dużo łatwiej jest nam przebaczać, rozumieć błędy, poświęcać się dla tej osoby, od której doświadczamy czułości. Oksytocyna uwrażliwia nas na ważne społecznie sygnały i w takim kontekście jest podstawowym budulcem tego uczucia wspólnoty, poczucia, że to już nie „ja" i „ona", ale „my".

Jeśli brakuje bliskości fizycznej, to przekłada się to na relację również z neurobiologicznego punktu widzenia. Łatwiej nam wtedy gromadzić urazy, walczyć ze sobą na różnych frontach, podchodzić do związku jak do transakcji.

U osób, które nałogowo korzystają z pornografii i masturbują się, poziom oksytocyny też jest wysoki. Na czym polega różnica?

Wyniki badań dotyczących oksytocyny u osób kompulsywnie korzystających z porno są intrygujące i bardzo ciekawe.

Jak przed chwilą wspomniałem, oksytocyna to nie „magiczna cząsteczka miłości", jak często jest przedstawiana w popularnonaukowych przekazach, ale substancja, która uwrażliwia nas na istotne społecznie informacje. Jeśli źródłem oksytocyny jest bliska osoba, a oksytocyna wydziela się w sytuacji bezpieczeństwa, intymności i zaufania, to jej działanie w mózgu polega na tym, że stajemy się wrażliwsi na sygnały związane z bliskością.

Jeśli jednak ktoś czuje się odrzucony, zagrożony, nie czuje się bezpiecznie w relacji i poprzez pornografię i masturbację próbuje zredukować stres, oksytocyna, której sam sobie dostarcza, zaczyna uwrażliwiać go na sygnały odrzucenia, zagrożenia, niebezpieczeństwa.

Czyli podnosi poziom lęku?

Początkowo redukuje go, ponieważ wyrzut oksytocyny na chwilę niweluje efekty kortyzolu, czyli substancji związanej z uczuciem napięcia podczas stresu, ale w perspektywie kolejnych godzin i dni, poprzez uwrażliwienie na sygnały zagrożenia i odrzucenia, podnosi lęk. I powstaje błędne koło.

> Sięganie po pornografię w czasach bezprzewodowego internetu i potężnych algorytmów mających za zadanie przykuć nas do ekranu na jak najdłuższy czas zawsze kryje jakiś rodzaj ryzyka.

Pan X, którego historię opisuje Pan w książce, osoba korzystająca problemowo z pornografii, opowiada o poczuciu pustki, którego doświadczył, gdy partnerka poinformowała go, że odchodzi.

Bardzo wiele osób, które ma doświadczenia ciągów pornograficzno-masturbacyjnych, czyli takich wielogodzinnych sesji powtarzanych przez kilka dni z rzędu, przeżywa wyjałowienie z emocji – zarówno pozytywnych, jak i negatywnych. Zostają tylko skrajne: skrajna ekscytacja bądź skrajny niepokój. Nierzadko są one połączone ze stanami depresyjnymi albo silnymi stanami lękowymi. Widać to bardzo wyraźnie w historii Pana X.

Czy możliwe jest bezpieczne korzystanie z pornografii?

Nie nazwałbym żadnego korzystania z pornografii „bezpiecznym", raczej „rekreacyjnym", czyli takim, które nie stwarza problemów.

Sięganie po pornografię w czasach bezprzewodowego internetu i potężnych algorytmów mających za zadanie przykuć nas do ekranu na jak najdłuższy czas zawsze kryje jakiś rodzaj ryzyka. W przypadku większości użytkowników te ryzyka nie materializują się, ale zawsze istnieje pewne prawdopodobieństwo, że to nas wciągnie, a nawet – że przerodzi się w nałóg. Algorytmy szybko wyłapują to, czego szukamy w sieci, i zaczynają podsuwać więcej podobnych treści. Tworzy się wokół nas bańka, z której coraz trudniej wyjść.

Ludzie korzystają z pornografii masowo, bo jest dostępna i darmowa. Rekreacyjne korzystanie z pornografii od problemowego różni się tym, że mogę zdecydować – czy, jak długo i jaką pornografię oglądam.

Od czego zaczyna się problemowe korzystanie z pornografii?

Pierwszym subtelnym sygnałem alarmowym jest to, że zaczynamy oglądać pornografię z nudów.

Groźnie robi się wtedy, gdy pornografia zaczyna pełnić funkcje autoregulacyjne. Staje się sposobem na regulację trudnych stanów emocjonalnych: lęku, frustracji, stresu. Czyli wtedy, gdy robimy coś nie tylko dlatego, że jest przyjemne, lecz także dlatego, że to pozwala nam uciec od trudnych emocji. Wtedy też zwykle tracimy nad tym kontrolę. I to już jest sygnał oglądania problemowego. Oglądamy dłużej i częściej, niż chcemy, i nie potrafimy nad tym zapanować.

Co dzieje się wtedy w mózgu?

Układ związany z dopaminą, który odpowiada za motywację i za wiązanie różnego rodzaju wskazówek z nagrodami, zaczyna się zmieniać.

Pornografia pobudza seksualnie i pozwala osiągnąć orgazm – szybciej albo mocniejszy niż wyobraźnia czy seks partnerski. Mamy więc wskazówkę: pornografia – i nagrodę: orgazm.

W mózgu osób korzystających „rekreacyjnie" z pornografii działa tzw. pętla wzmocnień pozytywnych – mamy wskazówkę, z której możemy skorzystać, by zdobyć nagrodę. Wiemy, jak osiągnąć przyjemność. Nasz mózg koduje tę możliwość i zaczyna podpowiadać nam ją coraz częściej.

Wypierając lub zastępując inne drogi do osiągnięcia przyjemności?

Na początku nie, pornografia jest wciąż jedną z wielu możliwości.

Z czasem u części osób pojawia się jednak tzw. pętla wzmocnienia negatywnego. Odkrywamy, że pornografia nie tylko może doprowadzić nas do nagrody, lecz także potrafi sprawić, że unikniemy nieprzyjemności. Zaczynamy traktować pornografię instrumentalnie. Jeśli czujemy napięcie, lęk, obawiamy się czegoś, sięgamy po pornografię, by od tego uciec.

O ile w pierwszej pętli, pozytywnej, mieliśmy impuls, akcję i przyjemność, a droga do niej była krótka, o tyle w pętli negatywnej mamy sytuację bardziej ↦

↦ złożoną. Pornografią zagłuszamy poczucie, że coś nam się nie udało, że nie jesteśmy wystarczająco dobrzy albo kochani. A ponieważ te myśli mogą w naszej głowie dawać o sobie znać ciągle, również ciągle zagłuszamy je pornografią. Coraz częściej i podczas coraz dłuższych sesji. Przestaje nam zależeć na orgazmie, chodzi o samą pornografię – czyli o ucieczkę. Wtedy pornografia zaczyna być sama w sobie nagrodą.

Jak w przypadku innych nałogów: jemy, mimo że nie jesteśmy głodni, ale dopamina pojawiająca się podczas jedzenia sprawia, że czujemy się przez chwilę dobrze, zapominając o stresie?

Tak, zaczyna się nieustanna pogoń za króliczkiem. Każdy, kto poczuł, że od godziny przegląda media społecznościowe, mimo że miał zajrzeć tylko na 5 minut, doświadczył namiastki czegoś podobnego. Czynność ta nie prowadzi nas do nagrody, nie osiągamy żadnego celu. Dopamina jednak w reakcji na miniaturkę każdego kolejnego filmiku jest wydzielana i motywuje nas, żeby kontynuować przeglądanie, a dzięki temu nie myśleć o trudnej rzeczywistości. Stan ten może trwać godzinami.

Mózg szybko się uczy. Jeśli korzystaliśmy z tego zachowania, by odciąć się od trudnych emocji, i poczujemy znów frustrację, napięcie, poczucie bycia niedocenionym przez partnera czy partnerkę, wstyd – to te wszystkie stany emocjonalne zaczynają być wskazówkami, które momentalnie motywują nas do tego, by się wyłączyć.

Jedni uzależniają się od pornografii, inni nie. Dlaczego?

Na podstawie badań mózgu możemy powiedzieć, czy ktoś ma silniejsze predyspozycje do wejścia w nałogi, czy słabsze.

Patrzymy na korę czołową, o której już wspominaliśmy. Dokładniej: na grzbietowo-boczną korę czołową, która odpowiada za kontrolę zachowań, przewidywanie długofalowych konsekwencji naszego zachowania, umiejętność realizowania długofalowych celów.

Weźmy przykład kaloryfera na brzuchu.

Idziemy do cioci na urodziny, a ona podaje torcik. Mamy strzał dopaminy, żeby po niego sięgnąć. Musi być pyszny, przewidujemy przyjemność. Wtedy do akcji wchodzi wspomniany obszar kory czołowej i mówi nam: „ej, jeśli chcesz mieć kaloryfer, to trzymaj kalorie w dziennym bilansie, a poza tym pamiętaj, ile ćwiczeń i potu kosztowało cię spalenie tych 500 kalorii wczoraj, nie chcesz tego zmarnować kawałkiem tortu".

U osób, które uzależniają się szybciej, kora czołowa będzie miała mniejszą liczbę neuronów, a sygnał po wystawieniu przez ciotkę tortu na stół będzie słabszy.

Albo spójrzmy na inny obszar kory czołowej – korę brzuszno-przyśrodkową, która zajmuje się regulacją emocji. Z naszych najnowszych, jeszcze nie opublikowanych, ale już przyjętych do druku badań wynika, że kora brzuszno-przyśrodkowa reaguje w sytuacjach silnych emocji.

> Pierwszym subtelnym sygnałem alarmowym jest to, że zaczynamy oglądać pornografię z nudów. Groźnie robi się wtedy, gdy pornografia staje się sposobem na regulację lęku, frustracji, stresu.

Co robi, jeśli działa sprawnie?

Dostajemy od niej sygnał: „wystraszyłeś się, ale nie masz czego, z takimi rzeczami już sobie radziłeś". Albo: „czujesz stres przed tym egzaminem, ale spokojnie, poradzisz sobie, to nie podstawówka, kiedy nie wiedziałeś jak, tylko studia, które sam wybrałeś i nieźle ogarniasz".

Wiemy na pewno, że u osób, które korzystają nałogowo z pornografii, te połączenia działają mniej efektywnie, a więc tym osobom trudniej opanować emocje. Więc ten racjonalny sygnał nie dochodzi. Emocje kipią i zamiast radzić sobie z wyzwaniem – na przykład nauką do egzaminu, trzeba sobie radzić z trudnymi emocjami.

I tu warto też zwrócić uwagę na jeszcze jeden obszar – korę przedniego zakrętu obręczy, która pomaga nam uczyć się na własnych błędach. Ciągnąc powyższy przykład, zamiast uczyć się do egzaminów, z którymi związany jest stres, zacznę oglądać pornografię, by uciec od tego stresu. Nie rozwiąże to problemu z egzaminami, przeciwnie – tylko je pogorszy, pogłębiając też stres. Po całej tej sytuacji moja kora zakrętu obręczy nie wyśle odpowiednio silnego sygnału, że był to błąd, gdyż podobnie jak w korze grzbietowo-bocznej, jest tam mniej neuronów i przy kolejnym egzaminie powtórzę tę samą strategię, bo zabraknie refleksji, by ją zmienić.

Niełatwe to musi być, zwłaszcza z perspektywy psychoterapeuty, rozmawiać o tym, że jedne mózgi trochę gorzej będą radziły sobie z nałogami, a inne – lepiej.

To jedno z najtrudniejszych pytań, jakie sobie zadaję, ponieważ dotyczy tego, na ile mamy wolną wolę. Z perspektywy naukowca obserwuję determinizm w wielu obszarach badań nad mózgiem. Z perspektywy psychologa klinicznego i psychoterapeuty, czyli osoby, która pomaga wychodzić z nałogów, wiem, że nad wieloma rzeczami możemy pracować.

Zdarza się, że powiedzenie pacjentowi o aspekcie neurobiologicznym, a więc przyznanie, że w jego mózgu coś działa gorzej niż w mózgach innych, bywa pomocne, uwalniające. Osoby w nałogu przez lata borykają się z poczuciem braku sprawczości w swoim życiu, obniżonym poczuciem wartości i olbrzymim wstydem: „nie potrafię czegoś odstawić, z czegoś zrezygnować, a więc jestem słaby, mniej wartościowy".

Pokazanie machinerii neurobiologicznej może ściągnąć z nas wstyd i pozwala powiedzieć: „okej, nie jestem zły czy beznadziejny, po prostu mój mózg działa inaczej. Zobaczmy jak. Sprawdźmy, co można zmienić i jak działać z tym, co w nim jest, i podejdźmy do tego realistycznie".

Czyli jak?

Na przykład jeśli niezliczoną ilość razy obiecywałem sobie, że od jutra już nigdy nie będę oglądał porno, a po kilku dniach, lub nawet już jutro, oglądałem dalej, to prawdopodobnie kolejna taka obietnica nie będzie w stanie zmienić mojej sytuacji z dnia na dzień. Ale jeśli podejdę do tematu w sensowny sposób, rozpoznam

mechanizmy, zacznę pracować dzień po dniu nad ich zmianą, mam szansę zmienić także mój mózg i to, jak działa.

Pornografia zmienia mózg, ale część z tych zmian jest odwracalna.

W jednym z naszych badań sprawdzaliśmy, co dzieje się w mózgu osób korzystających z pornografii nałogowo przed podjęciem terapii i pięć miesięcy później. U tych osób, które były w stanie odstawić pornografię na pięć miesięcy – nie korzystały z niej albo robiły to sporadycznie – zmiany były odwracalne. Nie wszystkie od razu po pięciu miesiącach, ale te najbardziej kluczowe, związane z układem motywacji, z głodami nałogowymi, czyli z wewnętrznym przymusem i poczuciem utraty kontroli nad własnym życiem – tak. Patrząc na aktywność mózgu, po pięciu miesiącach trudno jest odróżnić wyniki badań tzw. „rekreacyjnego" użytkownika pornografii i problemowego.

Jednak dla wielu osób odstawianie pornografii to bardzo trudny proces.

Jak on przebiega?

Dla wielu osób wiąże się on najpierw z dziesiątkami czy setkami niepowodzeń. Ze względu na mechanizmy, o których już wspomniałem, pojawiają się silne głody nałogowe, trudny do odparcia przymus oglądania porno. Kiedyś prowadziłem badania dotyczące osób uzależnionych od stymulantów, konkretnie kokainy. W mózgu możemy wyodrębnić dwie sieci: jedną, która przewiduje przyjemność związaną z użyciem kokainy, drugą, która przewiduje konsekwencje, zagrożenia. Okazało się, że sieć, która ma przewidywać zagrożenia, w ogóle tego nie robi, tylko też została zaabsorbowana przewidywaniem przyjemności. Czyli obydwie sieci przewidują przyjemność, nic nie przewiduje zagrożeń. Nie wiemy jeszcze, czy do podobnego mechanizmu dochodzi w mózgach osób nałogowo uzależnionych od pornografii, ale wiemy, że gdy przychodzi głód nałogowy, przestaje mieć znaczenie to, jakie będą konsekwencje kolejnych wielogodzinnych sesji z pornografią.

EWA PIEKUT / ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. DR HAB. MATEUSZ GOLA jest psychoterapeutą i neuronaukowcem, pracownikiem Instytutu Psychologii Polskiej Akademii Nauk oraz Institute for Neural Computation na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego. Specjalista w zakresie uzależnień behawioralnych, autor ponad 130 publikacji naukowych oraz popularnonaukowej książki „Gdy porno przestaje być sexy" (CCPress 2025).

Co bywa wtedy pomocne?

Najczęściej po pomoc profesjonalną zgłaszają się osoby, które mają za sobą wiele samodzielnych i nieudanych prób. Często czynnikami, które silnie motywują do zmiany, są trudności: epizod depresji w związku z bezsilnością lub rozpad bliskiej relacji, kryzys małżeński czy utrata pracy. Zdarza się, że są to także silne motywacje pozytywne: chęć wejścia w związek, narodziny dziecka czy przykład kogoś, kto z powodzeniem zmienił swoje życie na lepsze.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Informacje o badaniach prowadzonych przez prof. Golę, w których aktualnie można wziąć udział, znajdują się na www.mateuszgola.pl

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik), Joanna Pelka
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek, Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Michał Walkiewicz, Marcin Wójcik, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
W cieniu Mojżesza

Osiemdziesiąt siedem – tyle lat musimy czekać, aż poznamy jej imię. Trochę długo, prawda? Wcześniej jest jedynie „jego siostrą": gdy ukryta w sitowiu czuwa nad płynącym w koszyku Mojżeszem, a potem oferuje córce faraona znalezienie mamki dla maleństwa i przyprowadza ich własną matkę. Jak całe rzesze innych kobiet, nie pojawia się w biblijnej genealogii: „I pojął Amram Jochebedę, ciotkę swoję, sobie za żonę; i urodziła mu Ahrona i Mojżesza" (Wj 6, 20; Cylkow). Znika nam z horyzontu na wiele dziesięcioleci – póki wychodzący z Egiptu Izraelici nie przejdą przez rozstąpione Morze. Kiedy na drugim brzegu ocaleńcy intonują dziękczynną pieśń dla Wiekuistego, wreszcie słyszymy jej imię: „I wzięła Mirjam, prorokini, siostra Ahrona, bęben w rękę swoję, i wyszły wszystkie niewiasty za nią z bębnami i w pląsach" (Wj 15, 20). To ciekawe, że jest w tym miejscu nazwana tylko siostrą Aarona, a nie – Aarona i Mojżesza, ale komentatorzy nam to zgrabnie „wyinterpretowują". Mianowicie: prorokowała w dzieciństwie, że jej dopiero mający się urodzić młodszy z braci zostanie wybawicielem Izraela. Skoro Mojżesza nie było jeszcze wtedy na świecie, a Aaron już tak, stąd „siostra Ahrona".

Imię beniaminka w tej rodzinie – jak w przypadku niejednej kluczowej postaci Pięcioksięgu – ma odnotowaną swoją etymologię ludową, włożoną w usta faraonowej córy (zob. Wj 2, 10 – gra słów między *Mosze* a *meszitihu*). Zdajemy sobie sprawę, że po egipsku znaczy ono „zrodził" – czyżby Niewymawialny go zrodził (dla porównania: Ramzes = [*bóg*] Ra zrodził [tego faraona])? Żydzi w Diasporze – odnosi się to również do niżej podpisanej – niejednokrotnie mają dwa imiona: oficjalne w lokalnym narzeczu oraz hebrajskie. Dlaczego nie miałoby tak być również ze starożytnymi Izraelitami, którzy mają do czynienia z dworem sprawującego władzę? Wszak w Rdz 41, 45 faraon nazywa Józefa Cafnat-Paneach.

Etymologia imienia Miriam, nieodnotowana w Biblii, na pierwszy rzut oka związana jest albo z goryczą (hebr. *mar* = gorzki), albo z buntem / nieposłuszeństwem (hebr. *meri*). Chcąc wywieść je koniecznie z hebrajskiego, badacze sugerują takie znaczenia, przy których Ziomek i Parodia brzmią niewinnie. Ufam, że urzędnik stanu cywilnego w Memfis czuwał, stąd najbardziej prawdopodobne wydaje mi się wywiedzenie Miriam od egipskiego mryt – „kochana". ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Smakować życie

Bóg przemówił do Jeremiasza: „Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem ciebie. Zanim przyszedłeś na świat, uświęciłem cię i ustanowiłem prorokiem dla narodów". To samo o sobie może powiedzieć każdy człowiek. W Biblii słowo „znać" oznacza nie tylko, że ktoś kogoś gdzieś spotkał, coś o kimś słyszał, z kimś się przyjaźnił. W Biblii, gdy Maryja mówi, że „nie zna mężczyzny", znaczy to, że tym samym nie może być w ciąży. Stąd słowo Boga skierowane do Jeremiasza, „znałem cię", można potraktować jako równoważne ze słowami „ukształtowałem cię", a więc „sprawiłem, że zaistniałeś". Z tego wynika, że i nasze zaistnienie nie pokrywa się z momentem zaistnienia zygoty. Zgodnie z Bożą wypowiedzią, początek naszego istnienia znajduje się w Bogu, jako że On jest początkiem wszystkiego. Choć to „trąci herezją", nie sposób oprzeć się przyprawiającemu o zawrót głowy twierdzeniu Johannesa Schefflera (Anioła Ślązaka): „Niegotowy Bóg się staje w doczesności, / czym się nigdy nie stał w całej swej wieczności" (przekład Andrzeja Lama).

Wychodząc od tego mistyczno-poetyckiego aforyzmu, można rzec, że historia świata jest jednocześnie historią istnienia człowieka i Boga, również w ich zaplątaniu w zło i grzech. Dzisiaj coraz wyraźniej odczuwamy brak i potrzebę takiego prorockiego, mistyczno-poetyckiego i naukowego sposobu patrzenia na świat. Wciąż rozum przeciwstawiamy sercu. A mówiąc o sercu, nie pamiętamy, że w Biblii to słowo znaczy co innego niż dzisiaj.

W Biblii człowiek sercem myśli, sercem pamięta, w nim podejmuje decyzje i ono go napomina, pełni rolę sumienia, a zdeprawowane sprowadza człowieka na manowce. Paweł Apostoł mówi: „przemieniajcie się poprzez odnowę myślenia, aby rozeznać, jaka jest wola Boża". Mówi również, że Bóg „wybrał nas w Jezusie przed stworzeniem świata, abyśmy byli przed Nim święci i nieskalani w miłości. On przeznaczył nas, abyśmy się stali Jego przybranymi dziećmi przez Jezusa Chrystusa". Toteż „i nas również wskrzesi swoją mocą". A to znaczy, że jesteśmy w ręku Boga i nie musimy lękliwie ukrywać przeszłości ani starać się o niej zapomnieć, umiemy też cieszyć się teraźniejszością i bez lęku patrzeć w przyszłość. Przecież zbliżający się Wielki Post to święto życia i miłości. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Wielka obietnica

Gdy przychodzi zła myśl, sprawia niepokój i zabiera czas. Człowiek czujny otrząsa się z niej i staje do modlitwy.

ABBA TEODOR ZE SKETIS

Twoje odchodzenie i powracanie na miejsce nie gdzie indziej, ale tam, gdzie jesteś – to brzmienie Najwyższej Nauki.

MISTRZ ZEN HAKUIN

„Zaprawdę, powiadam wam: Niektórzy z tych, co tu stoją, nie zaznają śmierci, aż ujrzą królestwo Boże przychodzące w mocy" – usłyszeliśmy to słowo Jezusa, skierowane do nas w Liturgii minionego piątku (Mk 9, 1). Wszyscy trzej Synoptycy zapamiętali tę obietnicę; św. Mateusz zapamiętał ją odrobinę inaczej – można powiedzieć, że precyzyjniej: „Niektórzy z tych, co tu stoją, nie zaznają śmierci, aż ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego w królestwie swoim" (Mt 16, 28). Czy to jest obietnica dla mnie? Czy widziałem Syna Człowieczego, przychodzącego w królestwie swoim?

Jezus nie mówi tutaj o paruzji! Mówi o swoim wywyższeniu na krzyżu... Ale czy wszyscy widzieliśmy wydarzenie Krzyża jako moment Jezusowego wywyższenia i chwały? I królewskiej władzy?

Jan Paweł II kiedyś na Wawelu zauważył: „To w Krzyżu jest Ci dana, o Chryste wszelka władza (Mt 28, 18) – taka władza, jakiej nikt inny nie ma nad sercem człowieka" – przepiękne echo słów Jezusa, zapamiętanych przez św. Jana: „A Ja, gdy zostanę nad ziemię wywyższony, przyciągnę wszystkich do siebie" (co Ewangelista skomentował: „To powiedział zaznaczając, jaką śmiercią miał umrzeć").

Tak. Można widzieć krzyż jako tron. Ale – wiemy dobrze – można go widzieć jako głupotę i zgorszenie (por. 1 Kor 1, 23). Albo po prostu jako odległy w czasie i miejscu brutalny fakt, który niczego w moim życiu nie zmienia. Może dlatego Jezus mówi w naszym tekście: „Niektórzy z tych, co tu stoją...". A więc nie wszyscy! Dla tych wszakże, którzy zobaczą Krzyż Jezusa jako moment Jego królowania, jest obietnica: mogą sami „nie zaznać śmierci".

Przyznam, że wolę niemal powszechny angielski przekład tej frazy: „nie zakosztują śmierci" („will not taste death"). Być może chodzi tu nie tylko o sam moment śmierci, ale o wszystkie takie sytuacje, w których – mniej lub bardziej – możemy poczuć jej smak. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 III)

8. niedziela zwykła: Syr 27, 4-7; Ps 92; 1 Kor 15, 54b-58; Łk 6, 39-45;
Poniedziałek: Syr 17, 24-29; Ps 32; Mk 10, 17-27;
Wtorek: Syr 51, 13-20 lub Flp 3, 8-14; Ps 15; J 15, 9-17;
Środa Popielcowa: Jl 2, 12-18; Ps 51; 2 Kor 5, 20 – 6, 3; Mt 6, 1-6. 16-18;
Czwartek: Pwt 30, 15-20; Ps 1; Łk 9, 22-25;
Piątek: Iz 58, 1-9a; Ps 51; Mt 9, 14-15;
Sobota: Iz 58, 9b-14; Ps 86; Łk 5, 27-32;
1. niedziela Wielkiego Postu: Pwt 26, 4-10; Ps 91; Rz 10, 8-13; Łk 4, 1-13.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

CZY PAN TO DOWIEZIE

RAFAŁ BRZOSKA, PREZES I ZAŁOŻYCIEL INPOST:

Tak długo, jak projekt deregulacji firmuję swoją twarzą, tak długo będę dążyć do równoważenia interesów biznesu i społeczeństwa.

MAREK RABIJ: Po co Panu była ta ustawka z premierem?

RAFAŁ BRZOSKA: Zastanawiam się, dlaczego tak to zostało odebrane. Odpowiedź jest bardzo prosta, a mój język ciała mówił sam za siebie: nie było żadnej ustawki. Aczkolwiek przyznaję, że od jakiegoś czasu organizacje przedsiębiorców pracowały nad tym, aby przedstawić rządowi postulaty środowisk biznesu. Dotychczas głosy te zbywano jednak „milczącym nie". Większość przedsiębiorców nie spodziewała się więc, że możliwym będzie nawiązanie dialogu w takich okolicznościach. W moich wywiadach wyrażałem troskę o szanse rozwojowe Polski i punktowałem brak dialogu z biznesem. To również mogło skłonić pana premiera do dialogu, a ja nie należę do osób, które mówią nie, jeżeli ktoś prosi o wsparcie w słusznym celu.

Propozycja przychodzi w specyficznych okolicznościach. Zapewne nie jest więc Pan zdziwiony głosami, że został Pan polskim Elonem Muskiem. Biorąc pod uwagę oceny, jakie ostatnio zbiera jego działalność, mam wątpliwości, czy to Pana cieszy.

Absolutnie mnie nie cieszy i nie zgadzam się z tym porównaniem. Jestem innym człowiekiem – jestem Rafałem Brzoską, mam odmienne poglądy

ANNA LIMINOWICZ / GRUPA INPOST / MATERIAŁ PRASOWY

niż Elon Musk. Natomiast trudno odmówić Muskowi wyjątkowej sprawczości, zmysłu, dalekosiężnych wizji. Niewątpliwie jest on niedoścignionym wzorem biznesmena, ale biznes w życiu to nie wszystko – i to nas różni najmocniej.

Zatrzymajmy się na chwilę na innej różnicy. W USA ludzie Muska przycinają administrację toporem, oskarżani są o paraliżowanie państwa. Tymczasem to, co dotychczas zaprezentował Pański zespół, zaskakuje zachowawczością. Właściwie to rząd sam mógłby wyjść z podobnymi propozycjami, bo słyszał je już wielokrotnie.

Nie zgodzę się z panem, przede wszystkim dlatego, że politycy i urzędnicy sami nie zaczną zmieniać fundamentów, na których opiera się ich władza.

Pamięta Pan komisję „Przyjazne Państwo" Janusza Palikota?

Zgoda – stworzyli ją politycy, ale wtedy program każdego nowego rządu konsekwentnie wspominał o deregulacji. Ostatecznie nic z tego nie wynikło, ponieważ, jak już wspomniałem, rządzący nigdy nie będą skłonni do realnego ograniczania własnej władzy.

Naszą ambicją jest więc wskazanie, co można w Polsce zmienić, żeby po prostu żyło się lepiej i łatwiej. Nie tylko przedsiębiorcom. Dostaliśmy już tysiące postulatów. Dzisiaj o 8 rano uruchomiliśmy stronę internetową – teraz dochodzi 20 [rozmowa odbyła się w poniedziałek 17 lutego – red.], a mamy już wypełnionych 1760 ankiet przez mikroprzedsiębiorców, duże firmy, obywateli i poszkodowanych przez PFRON. Dostaję maile od emerytowanych pracowników Krajowej Administracji Skarbowej, którzy podpowiadają, gdzie szukać deregulacji. A to jest już zupełnie inna dynamika niż za czasów wspomnianej komisji. Jesteśmy też w innej sytuacji geopolitycznej – konkurencyjność Europy wobec Stanów Zjednoczonych i Azji jest dziś nieporównywalnie mniejsza niż 14 lat temu. W większości krajów jesteśmy świadkami eksplozji silnej emocji opartej na patriotyzmie, wręcz nacjonalizmie gospodarczym.

I właśnie ten kontekst każe mi zapytać, czy nie obawia się Pan, że został właśnie wrzucony do kampanii Rafała Trzaskowskiego, który robi ostatnio co może, by przekonać do siebie wyborców Konfederacji. I oto premier, który jeszcze niedawno chwalił się tylko 800 plus i rentą wdowią, nagle mówi o deregulacji, a w dodatku powierza to zadanie znanemu przedsiębiorcy.

Jeżeli podejmuję się jakiegoś wyzwania, to robię to szybko i koncentruję się na meritum, a nie na możliwych interpretacjach moich intencji – one są niezmienne.

W zaledwie siedem dni zbudowaliśmy podwaliny pod proces rozruszania polskiej gospodarki. Chcemy też zlikwidować rzeczy, które utrudniają codzienne funkcjonowanie milionom Polaków. Zbieramy głosy różnych środowisk. Nacisk położymy na wyłapywanie wrzutek lobbystycznych, czyli projektów, które mogłyby służyć wąskiej grupie beneficjentów i ograniczać wolną konkurencję. Identyfikujemy również postulaty, które mogłyby znacząco obciążyć budżet państwa. Ten pozytywny aspekt deregulacji – służyć ma ona wszystkim obywatelom, pracownikom i przedsiębiorcom – jest dla mnie kluczowy.

Wierzę, że spośród tysięcy pomysłów, które do nas trafią, będziemy w stanie wyselekcjonować 200, 300, a może 400 propozycji zmian w przepisach, które można wdrożyć niewielkim nakładem pracy, a z dużą korzyścią dla wszystkich. Przypomnę, że w komisji Palikota zgłoszono ich ponad 50 tys., a ostatecznie zmieniono raptem 68 przepisów.

Na pytanie o Palikota się Pan przygotował.

No oczywiście! Ale mówiąc poważnie: jeśli z naszych rekomendacji np. 150 zaowocuje realną zmianą – to dla mnie, Rafała Brzoski, poświęcającego na ten projekt obecnie 20 godzin na dobę, ale przede wszystkim dla całego mojego zespołu ekspertów, którzy równorzędnie mają milion różnych obowiązków, jak na przykład prezydenci miast, będzie to gra warta świeczki.

Naprawdę nie obawia się Pan, że 150 Pańskich konkretów podzieli los 100 konkretów z ostatniej kampanii wyborczej Koalicji Obywatelskiej?

Pozwoli pan, że odwrócę to pytanie. Jeśli w kampanii prezydenckiej ktoś podniesie temat deregulacji, a następnie nie zrealizuje żadnych postulatów albo tylko kilka, to czy będzie to służyło jego wiarygodności jako prezydenta?

Całą winę równie dobrze można zwalić na was, przedsiębiorców.

Panie redaktorze, próbuję panu pokazać, że nasze rekomendacje będą dotyczyć większości obywateli, a nie tylko przedsiębiorców. Zresztą samych mikroprzedsiębiorców mamy dzisiaj w kraju ponad 2 miliony, a wraz z rodzinami to już około 4,5 miliona osób – świadomych i przypuszczam, systematycznie głosujących, zatem niemożliwych do zlekceważenia.

Rzecz w tym, że grono formułujących propozycje deregulacyjne ogranicza się na razie do przedsiębiorców. Nie byłoby bezpieczniej, także dla was i waszych postulatów, gdyby w tym procesie brali udział przedstawiciele innych środowisk?

Rafał Brzoska w siedzibie firmy InPost. Warszawa, 27 listopada 2024 r.

↦

Mam dla pana dobrą wiadomość – już dołączył do nas OPZZ. Zaprosiliśmy także Solidarność i czekamy na odpowiedź. Może wyjaśnię, jak pracujemy. Organizacje, NGO-sy, poszczególni przedsiębiorcy czy też reprezentujące ich organizacje biznesowe wysyłają nam propozycje postulatów. Następnie my je kategoryzujemy według taksonomii, którą sobie ustaliliśmy, i odrzucamy skrajne – typu znieśmy podatki albo zlikwidujmy ubezpieczenie społeczne.

Serio?

Tak, ale to egzotyka. Skupiamy się na postulatach, które powtarzają się najczęściej. Są one powszechnie znane, co nie oznacza – jak twierdzą niektórzy – że odgrzewamy stare kotlety. Dowodzi to, że dotyczą one realnych problemów, z którymi obywatele mierzą się regularnie i na dużą skalę. Na przykład niewydolny aparat skarbowy albo urzędnicy, którzy nie trzymają się instruktażowych terminów nakreślonych przez prawo. Wojewódzki Sąd Administracyjny ma 14 dni na wydanie uzasadnienia do wyroku. Bardzo często rozstrzyga duże spory, od których zależy funkcjonowanie firm. Wie pan, ile średnio czeka się dziś na wydanie tego typu uzasadnienia po wyroku przez sąd? Sześć miesięcy. Mamy więc do czynienia z brakiem właściwej obsługi setek tysięcy obywateli oraz podmiotów.

Ci, którzy proponowali likwidację podatków, nie widzą związku między swoimi postulatami a tym, co ich potem spotyka na przykład w tych sądach?

Proszę ich zapytać – to nie są moje postulaty. Ja zwróciłbym uwagę na coś innego. W większości przypadków te urzędy nie wykorzystują możliwości, jakie daje im technologia, cyfryzacja albo dostęp do baz danych. Podam przykład – 6 stycznia zmarł 14-latek potrącony na pasach. Tragiczne zdarzenie wywołało gorącą dyskusję na temat weryfikacji prawa jazdy, ponieważ kierowca, który go potrącił, nie miał uprawnień. Stracił je już wielokrotnie, a w chwili wypadku był pijany.

W trzy tygodnie, we współpracy z Ministerstwem Cyfryzacji, stworzyliśmy w InPost rozwiązanie, które pozwoli taką weryfikację przeprowadzić błyskawicznie. I właśnie o takie zmiany, ale w prawie i w funkcjonowaniu sektora publicznego, chodzi w tej całej deregulacji.

I bez takich deregulacji przedsiębiorcy w Polsce nie zaczną inwestować? Przypomnę, że Donald Tusk wyszedł z zaproszeniem dla Pana podczas tej samej konferencji, na której zapowiedział inwestycyjną ofensywę. Dopiero ekonomiści i komentatorzy wypomnieli premierowi, że zapowiedziane 650 mld zł w relacji do tegorocznego PKB to mniej niż za jego poprzedniej kadencji, czyli w latach 2011-2015.

Dokładnie tak. Uważam, że mamy w Polsce kryzys etosu przedsiębiorczości i pracy, a jedną z przyczyn jest biurokracja. Przedsiębiorcy masowo zgłaszają nam, że nie mogą doczekać się pieniędzy z KPO. Wnioskowali m.in. o wsparcie budowy małej fabryki albo zakładu usługowego. Sfinansowali całość z kapitałów własnych i teraz czekają od sześciu miesięcy na dotację, bo warunkiem wypłaty jest rozpoczęcie produkcji – a do tego konieczne są odbiory budynku przez sanepid, straż pożarną, nadzór budowlany, sieci elektroenergetyczne itd.

Każda z tych instytucji działa na podstawie odrębnych przepisów, ale żaden z nich nie określa terminu, w jakim odbiór musi zostać przeprowadzony lub do kiedy inwestor powinien otrzymać ewentualne uwagi. W efekcie przedsiębiorca musi czekać, zamiast rozpocząć działalność i zarabiać, a przecież cały proces można zamknąć w ciągu 30 dni, bez zwiększania kosztów administracji. Każda z tych instytucji już na etapie zgłoszenia doskonale wie, jak ta inwestycja ma wyglądać i jakie instalacje są w projekcie. Wystarczy odpowiednio się przygotować do tego odbioru i ustalić z inwestorem termin.

Administracja też ma swoje ograniczenia wynikające z braku pieniędzy.

Tylko proszę mnie znowu nie pytać o zerową stawkę podatku CIT – już raz powiedziałem, że to bzdura. Zapewniam pana, że jesteśmy w stanie usprawnić wiele aspektów funkcjonowania państwa bez zwiększania wydatków, a tym samym realnie poprawić jakość życia całego społeczeństwa. Powtarzam – całego, bo nie chodzi tu wyłącznie o interes przedsiębiorców. Wszyscy jesteśmy w tej samej sytuacji. Od dawna uczulam na ten aspekt ogólnospołeczny swoje koleżanki i kolegów ze świata biznesu. Efektem tego są fenomenalne akcje pomocowe – zarówno w trakcie powodzi, jak też po wybuchu wojny w Ukrainie, a również rekordowe zbiórki filantropijne organizowane przez polski biznes. Proszę mi wierzyć, ta sfera rzeczywistości jest mi wyjątkowo bliska.

U części opinii publicznej ta inicjatywa deregulacyjna budzi jednak obawy, że skończy się kolejnymi ulgami dla dużych firm.

To kwestia komunikacji. Mogę obiecać jedno – tak długo, jak projekt deregulacji firmuję osobiście, tak długo będę dążył do zrównoważenia interesów biznesu i społeczeństwa. Korzyści z pozytywnej deregulacji odczuje każdy. Statystycznie co drugi Polak w różnych okolicznościach ma do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Dostęp do sądu jest konstytucyjnym prawem każdego obywatela, jednak w praktyce bywa utrudniony – niektórzy muszą pokonywać nawet 70 km, by dotrzeć do sądu okręgowego, mimo że w miejscu zamieszkania mają sąd rejonowy. Tymczasem można to usprawnić nawet bez zmiany ustawy – wystarczy rozporządzenie ministra sprawiedliwości, które przesunie część spraw z sądów okręgowych do rejonowych. W tych pierwszych, zwłaszcza w dużych miastach, mamy do czynienia ze spiętrzeniem spraw i tu najczęściej system się dławi, bo tak został skonstruowany. Dla przykładu: sędzia w sądzie rejonowym średnio ma 2-3 sprawy na wokandzie, podczas gdy jego kolega w sądzie okręgowym ma ich około dwanaście.

A zajmie się Pan jednoosobowymi działalnościami gospodarczymi?

Przepraszam, a czemu mielibyśmy się nimi zająć? Jednoosobowa działalność gospodarcza to taka sama forma prowadzenia biznesu jak każda inna. Co trzecia z nich w ciągu 5 lat zamienia się w mikrofirmę zatrudniającą co najmniej pię-

RDC POLSKIE RADIO
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

ciu pracowników. Nie stygmatyzujmy JDG, bo jeśli to robimy, to równie dobrze możemy stygmatyzować kierowców, taksówkarzy, franczyzobiorców Żabki i wiele innych osób, które ciężko pracują często po 12-16 godzin na dobę, tworząc podstawy naszej gospodarki.

Tylko w latach 2020-23 liczba zatrudnionych w Polsce na umowę o pracę wzrosła o ledwie 17,9 tys. W tym samym czasie przybyło aż 161,9 tys. samozatrudnionych, nie dostrzegam więc w Polsce oznak stygmatyzowania JDG. Mamy za to do czynienia z nadużywaniem tej formuły przez pracodawców.

Nie mnie oceniać, który kierowca pracuje dla kogo i czy podejmuje taką decyzję samodzielnie. I jeszcze raz podkreślę – nie chcę stawać w opozycji do tych, którzy świadomie prowadzą działalność gospodarczą, bo po prostu tego chcą.

Pytam o tych, którzy na samozatrudnienie są wypychani.

Uważam, że pójście w działalność gospodarczą powinno być motywowane chęcią rozwoju osobistego, zwiększania skali swojej działalności, możliwością zatrudniania pracowników, czyli ogólnie – wzbogacenia się. Natomiast pełna zgoda – nie może odbywać się to kosztem systemu ubezpieczeń społecznych. Każdy, kto rozpoczyna działalność gospodarczą, powinien płacić wystarczająco wysokie składki, żeby głównym aspektem związanym z „pójściem na swoje" nie były oszczędności na świadczeniach ZUS.

A pozostając przy daninach publicznych: co Pan myśli o niedawnym obniżeniu składki zdrowotnej?

Tu jestem dość radykalny. Uważam, że jeżeli kogoś stać, to – oprócz należnej składki zdrowotnej – powinien płacić za świadczenia, które osoby z mniejszymi dochodami miałyby za darmo. Właśnie dlatego istnieją prywatne ubezpieczenia medyczne – aby nie obciążać służby zdrowia i nie ograniczać w ten sposób dostępu do niej tym, których na prywatną opiekę nie stać.

Obu tych spraw nie widzę na waszej agendzie.

A dostrzega pan to, że my dopiero zaczęliśmy? Naprawdę, rozumiem krytykę, media mają taki obowiązek, ale proszę o uczciwą ocenę. I jeszcze jedno: z tego, że ja – Rafał Brzoska – uważam jakąś sprawę za istotną, nie wynika, że firmowana przeze mnie komisja musi wpisać ją na listę rekomendacji dla rządu. To mój pogląd, pan ma prawo do innego, a dla nas jedną z miar znaczenia postulatów jest częstotliwość, z jaką się one przewijają. Jeśli ma pan swoje wnioski albo pańska redakcja, a przede wszystkim państwa czytelnicy, to zapraszam do współpracy.

ANNA LIMINOWICZ / GRUPA INPOST / MATERIAŁ PRASOWY

RAFAŁ BRZOSKA jest założycielem i prezesem firmy InPost, operatora sieci paczkomatów. Firma, którą kieruje, działa poza Polską w kilku krajach Europy i warta jest obecnie na giełdzie w Amsterdamie ponad 8,5 mld euro.

Skoro mowa o trybie waszych prac, to wrócę jeszcze do Elona Muska. Podobnie jak on Pan też wykonuje robotę dla rządu, jednocześnie nie będąc w nim formalnie umocowanym...

Muszę to skorygować. Elon Musk sam podnosił rękę i mówił: „mam taki i taki pomysł" – ja do niczego sam się nie zgłaszałem.

Chodzi mi o słowa premiera, który powiedział, że prosi was o rekomendacje, które on będzie mógł wprowadzać ścieżką pozaustawową. Nie podoba mi się taka wizja państwa prawa.

To bardzo ważny aspekt – na stronie internetowej podaliśmy, że z ponad tysiąca projektów, które do nas wpłynęły, tylko 3 proc. można wdrożyć metodą rozporządzeń czy instrukcji. Reszta, czyli 97 proc., wymaga korekty w drodze ustawy, a to oznacza, że większość tego, co przedstawimy premierowi, będzie podlegało ocenie i kontroli ustawodawcy.

Szczerze? Nie widzę tych 150 konkretów w realizacji. Wiemy, z jakim oporem temu rządowi idzie legislacja.

Cóż, my również sprawdzimy, jakie były prawdziwe intencje oddania tego projektu przedsiębiorcom. Mówimy „sprawdzam" wszystkim stronom sceny politycznej. Nie można głosić, że się wspiera rozwój Polski i jednocześnie nie procedować projektów, które są dobre dla obywateli i gospodarki. Myślę, że to jest najlepsza puenta. Naszą rolą nie jest pisanie ani ustaw, ani rozporządzeń. W pewnym momencie odpowiedzialność spocznie już tylko na osobach, które mają mandat społeczny do rządzenia.

I co Pan zrobi, jeśli się okaże, że miałem rację?

Daję sobie czas do 1 czerwca. Do tego momentu chcemy zgłosić jak najwięcej postulatów. Jeżeli sformułujemy 300, a wdrożonych będzie tylko 5 czy 10 – to miał pan rację, a my straciliśmy 120 dni wytężonej pracy po nocach, żeby spróbować coś w tym kraju zmienić. Muszę jednak zaznaczyć, że dzisiaj podchodzimy do tego tematu bardzo poważnie. Nie widziałem takiego zaangażowania ze strony tak wielu środowisk, i to w projekt, który na pierwszy rzut oka wydaje się absolutną „misją samobójczą". Tym bardziej że wielu obserwatorów jedynie czeka z popcornem w ręku, licząc na to, że prędzej czy później potkniemy się o własne nogi.

A jeśli, powtórzę, spełni się mój scenariusz Smerfa Marudy?

Jeżeli połowie propozycji, które zgłosimy, zostanie nadany bieg legislacyjny, czyli komisja, poprawki, konsultacje, to będzie to wielki sukces. Jeżeli będzie to mniej niż 10 proc., chyba porażka. Możemy w ogóle ten wywiad zawiesić i umówić się na część drugą.

To właśnie chciałem Panu zaproponować. Kto mniej trafnie przewidzi rozwój sytuacji, ten stawia obiad. Co Pan na to? Na przykład po 15 czerwca.

Wierzę, że wygram, ale mam lepszy pomysł. Zamiast o obiad, załóżmy się, jak to robiliśmy kiedyś na podwórku pod trzepakiem – o uścisk dłoni. A ja, jeżeli przegram, dorzucę jeszcze wpis o tym na platformie X. Do zobaczenia w czerwcu.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

MATEUSZ GROCHOCKI / EAST NEWS

Wieczorna praca w jednej z warszawskich korporacji. Warszawa, listopad 2020 r.

Pokolenie aspiracji

MARCIN KĘDZIERSKI

Jeśli szukać jakiejś grupy, która cechuje się w miarę podobnym doświadczeniem, sensowniej spojrzeć na roczniki 1976-1985, niż ślepo stosować podział na Iksy i Igreki.

Mamy tendencję do importowania zjawisk oraz pojęć zza Oceanu. I nie da się ukryć, faktycznie za sprawą rozwoju internetu i social mediów wiele trendów politycznych i społecznych przechodzi z USA na polskie podwórko. Istnieją jednak zjawiska, które zbyt pochopnie przekładamy na nasz grunt, a jednym z najbardziej istotnych jest powielany w mediach i debacie publicznej podział pokoleniowy. Możliwe, że pokolenie Z oraz wchodzące właśnie na scenę pokolenie Alfa są tożsame w Polsce i USA. Osoby urodzone na przełomie XX i XXI wieku wychowywały się przecież i tam, i tu, w rzeczywistości wirtualnej, która dość skutecznie glajchszaltowała regionalne specyfiki. Jednak dyskusja wokół zetek to zarazem dobra okazja, by zastanowić się nad wcześniejszym pokoleniem, które określane jest jako milenialsi i oznaczane literą Y. Wzięliśmy bezkrytycznie jego definicję, łącznie z przekonaniem, że do pokolenia tego należą osoby urodzone pomiędzy 1981 a 1996 rokiem, i postanowiliśmy dopasować jakoś te amerykańskie obserwacje do analizy rodzimych milenialsów.

Sam urodziłem się w 1984 roku, ale szybko wpadłem w konfuzję, gdy usłyszałem o tym, jakimi to niby wspólnymi cechami mielibyśmy się charakteryzować. Nie za bardzo spinało mi się to z rzeczywistością.

Czy istniało pokolenie JP2

Podstawowy problem, który zawsze pojawia się w momencie, w którym tworzymy takie kategorie poznawcze jak pokolenie, dotyczy przekonania, że osoby urodzone w jakimś oznaczonym okresie stanowią zwartą, jednorodną grupę. Takie uproszczenia pozwalają nam co prawda ujarzmiać i nazywać rzeczywistość, ale jednocześnie ją upraszczamy – nawet wspomniane zetki czy alfy potrafią się wzajemnie bardzo różnić, w zależności od statusu społeczno-ekonomicznego swoich rodziców czy przebytej ścieżki edukacyjnej. Z podobną sytuacją mieliśmy do czynienia także w Polsce, tworząc własny termin tzw. pokolenia JP2. To prawda, w latach 80. i 90. XX wieku choćby przez takie środowiska jak Ruch Światło-Życie przewinęło się bardzo wiele młodych osób, dla których papież stanowił niezwykle istotny punkt odniesienia. Już wówczas jednak ze sporym rozbawieniem słuchałem opowieści o papieżu jako ikonie całego pokolenia, widząc jak rozpędzają się procesy sekularyzacyjne, choć jeszcze po cichu, pod kołderką kulturowego katolicyzmu.

Mój drugi problem z rozważaniami o pokoleniu Y dotyczy ram czasowych. Zapewne w USA istnieją podobieństwa pomiędzy osobami urodzonymi na początku lat 80. i w połowie lat 90. XX wieku. W Polsce jednak takie porównania nie mają chyba większego sensu. Ktoś, kto urodził się w 1981 r. i niemal całe dzieciństwo spędził w okresie gnijącego PRL-u, a dojrzewanie zaliczył w szalonych, posttransformacyjnych latach 90., ma radykalnie inne doświadczenia od osoby urodzonej w 1996 r. Ta bowiem najntisów niemal w ogóle nie pamięta, nie wspominając już o życiu w komunie, która to może być dla niej równie odległa, co epoka dinozaurów.

Jeśli zatem szukać jakiejś grupy, cechującej się w miarę podobnym doświadczeniem, sensowniej spojrzeć na roczniki 1976-1985, czyli pokolenie wyżu demograficznego. Obecni czterdziestolatkowie

to niemal 7 mln obywateli, którzy mają faktycznie o wiele więcej cech wspólnych, niż ludzie zaliczani według amerykańskiego wzorca do milenialsów. Nie należy traktować tej cezury bardzo sztywno – może być tak, że w tym opisie odnajdą się osoby nieco starsze, jak i nieco młodsze. Poza dzieciństwem w PRL i młodością w latach 90. podstawowy punkt wspólny mojego pokolenia stanowi jednak fakt, że jest nas po prostu dużo.

W kulturze zapierdolu

Aby zrozumieć różnicę, wystarczy porównać średnią liczbę urodzeń dla następujących po sobie dekad: 1966-1975, 1976-1985 oraz 1986-1995. W pokoleniu wyżu średnia ta wyniosła prawie 689 tys. dzieci rocznie. W poprzedzającym (dzisiejsi pięćdziesięciolatkowie) było to 567 tys., a w następującym po nim (trzydziestolatkowie) – 542 tys., czyli ok. 20 proc. mniej.

Różnica ta miała (i w przyszłości znów mieć będzie) bardzo konkretne konsekwencje. Gdybym miał znaleźć jakieś symboliczne określenie, które dobrze oddaje wspólny los mojego pokolenia, to byłoby nim: „10 na 1 miejsce". Od samego początku musieliśmy bowiem konkurować o ograniczone zasoby. Dotyczyło to edukacji (zarówno na poziomie średnim, jak i wyższym), ale także ochrony zdrowia, a później – atrakcyjnych stanowisk na rynku pracy. Doświadczenie to jest wśród nas na tyle powszechne, że spokojnie można je uznać za wyróżnik pokoleniowy. W przyszłości zaliczymy też największy spadek stopy zastąpienia w systemie emerytalnym (a w efekcie poziomu życia), kiedy nagle tak liczne roczniki wejdą w okres postprodukcyjny.

Drugim wyróżnikiem, mocno związanym z wzrastaniem w konkurencyjnej rzeczywistości, jest tzw. kultura zapierdolu. Od najmłodszych lat musieliśmy zaakceptować, że życie jest walką, i jeśli chcemy przetrwać, musimy być lepsi od innych, by zwyczajnie wygryźć pozostałą dziewiątkę starającą się o to symboliczne jedno miejsce. Takie podejście można spotkać także u osób młodszych i starszych niż dzisiejsi czterdziestolatkowie, ale jest ono o wiele wyraźniejsze u przedstawicieli tej grupy.

Kolejną cechą, która ją spina, jest boom edukacyjny przełomu wieków. Jeszcze w roku akademickim 1995/1996 współczynnik skolaryzacji na poziomie edukacji wyższej wynosił 22,3 proc. Pięć lat później, kiedy na uniwersytetach studiowały już głównie roczniki wyżu, wskaźnik ten wzrósł do 40,7 proc. Kiedy moje pokolenie wychodziło z tradycyjnego wieku akademickiego 19-24 lata, współczynnik skolaryzacji przekroczył wręcz 50 proc. A kiedy już ustąpiło miejsca dzisiejszym trzydziestolatkom, odsetek absolwentów szkół średnich decydujących się na rozpoczęcie studiów zaczął powoli spadać. Różnice te widać w liczbach bezwzględnych – w pierwszej dekadzie XXI w. liczba studentów przekraczała 1,5 mln, a w jej drugiej połowie dobijała nawet do dwóch milionów. Obecnie jest to o jakieś 40 proc. mniej.

Od prowincji do kredytu

Niezależnie od samego faktu walki o miejsce na bezpłatnych studiach (udawało się to średnio zaledwie czterem na dziesięciu studentów), boom edukacyjny wiązał się z masowym exodusem z tzw. prowincji do dużych miast. To z kolei oznaczało istotny wzrost popytu na mieszkania i wzrost ich cen. Problem ten dotknął szczególnie młodszą połówkę pokolenia wyżu, która trafiała na rynek pracy już po wejściu Polski do UE i przy gwałtownie rosnących cenach mieszkań.

Zjawisko to pokazuje zresztą, iż nawet w obrębie analizowanej grupy można wskazać pewne różnice. Roczniki 1980-1985 wpadły w pułapkę dużych kredytów hipotecznych o wiele mocniej, niż ich nieco starsi koleżanki i koledzy, wchodzący na rynek pracy w okresie 20-procentowego bezrobocia przełomu wieków (wraz z wejściem do UE wielu z nich podjęło decyzję o emigracji). Najgorzej mają chyba roczniki 1983-1985: były najliczniejsze, a jednocześnie wchodziły na rynek pracy w okresie światowego kryzysu finansowego. Jak pokazują badania, roczniki te nigdy nie odrobią strat poniesionych na starcie kariery zawodowej. Oczywiście w sensie statystycznym; przynależność pokoleniowa nie znosi innych, w tym zwłaszcza klasowych podziałów.

Niezależnie jednak od tego, czy ktoś emigrował, czy był zmuszony pracować na zabój, by spłacić ratę kredytu, jego możliwości realnego angażowania się w sprawy publiczne w Polsce były mocno ograniczone. Tak, moje pokolenie na jakiś czas zniknęło z rzeczywistości społeczno-politycznej, choć także z innych powodów. Roczniki wyżu doświadczyły jeszcze zablokowania ścieżek awansu – w polityce, biznesie, nauce, mediach, Kościele. Chyba tylko sektor pozarządowy, który dopiero zaczął się rozwijać na początku XXI w., tworzył w tej materii większą przestrzeń.

Wchodziliśmy zatem w dorosłość na przełomie wieków, kiedy wiele nowych stanowisk, powstałych po transformacji, zostało już zaklepanych przez obecnych 50- i 60-latków. Wystarczy spojrzeć na życiorysy liderów partyjnych, prezesów największych firm, redaktorów naczelnych opiniotwórczych mediów, rektorów i dziekanów lub kluczowych postaci polskiego Kościoła – reprezentują oni głównie wcześniejsze roczniki i zdążyli się na swoich pozycjach mocno okopać. Nie tak zupełnie abstrakcyjna jest obawa, że nim ich era przeminie, my zdążymy się zestarzeć. Zjawisko to stanowi zapewne jeden z wielu powodów fenomenu wzrostu poparcia dla Konfederacji – jej liderzy Krzysztof Bosak (rocznik 1982) i Sławomir Mentzen (rocznik 1986) to w końcu ludzie z naszego pokolenia.

Inaczej niż Karwowski

Nie można zarazem zapomnieć, iż równocześnie najlepsze lata kariery zawodowej przypadły w tej grupie na okres *prosperity* drugiej dekady XXI wieku. To czas, kiedy realne wynagrodzenia, zwłaszcza w porównaniu do innych państw UE, galopowały. Dodatkowo pojawiło się 500 plus, które w przypadku części rodziców zwiększało dochód rozporządzalny nawet o 20 proc. Jest pośród nas także sporo obywateli, którzy mając trzydzieści lat skupili się na zarabianiu pieniędzy, by po czasie dorobić się znaczących majątków, nawet jeśli nie piastowali wysokich funkcji. Zresztą często właśnie z tego powodu zakładali własne firmy, ale też stawali się beneficjentami rozwoju sektora usług biznesowych w największych polskich miastach, w których zostali po ukończeniu studiów.

Dzisiejsi 40-latkowie są w miarę zamożni, czują się wciąż młodzi (inaczej niż inżynier Karwowski ze słynnego serialu z lat 70.) i nie mają już takich kompleksów wobec mitycznego Zachodu jak starsze roczniki, które nie załapały się choćby na studenckie wymiany w ramach programu Erasmus. Więcej – nie tylko nie mają kompleksów, ale charakteryzują się ↦

↦ ogromnymi aspiracjami. W moim odczuciu nie ma absolutnie żadnego przypadku w tym, że właśnie ta grupa wiekowa tak mocno kupiła opowieść wokół CPK i jest otwarta na inne projekty cywilizacyjne.

Głosem tego pokolenia jest w moim odczuciu m.in. Krzysztof Stanowski, rocznik 1982. Nie twierdzę oczywiście, że czterdziestolatkowie tłumnie pójdą do urn wrzucić kartkę z jego nazwiskiem. Chodzi raczej o to, że stworzony przez niego Kanał Zero stał się przestrzenią, która odpowiada na emocje, potrzeby i aspiracje roczników wyżu demograficznego. Widać to wyraźnie także wśród prowadzących, większość z nich pochodzi z tego właśnie pokolenia.

Ludzie, którzy do tej pory głównie zarabiali pieniądze, zaczynają powoli upominać się o swoje. Tym bardziej że najczęściej odchowali już dzieci i mają więcej zasobów finansowo-czasowych, by się bardziej zaangażować – już na swoich warunkach. To zapewne nie jest przypadek, że PiS w wyborach prezydenckich postawił na Karola Nawrockiego, rocznik 1981. Te dziesięć roczników wyżowych to bowiem jedna czwarta wszystkich głosujących. Co więcej, w przeciwieństwie do starszych, zwłaszcza z grupy 60+, którzy są już okopani po dwóch stronach „popisowskiego" frontu, 40-latkowie to dziś kluczowy *swing state*, używając porównania z amerykańskiej polityki. Sukces koalicji 15 października to w jakiejś mierze zasługa rekordowej frekwencji nie tylko najmłodszego pokolenia, ale także mobilizacji wyborczej pokolenia wyżu w PRL. Tym bardziej że tych pierwszych jest zwyczajnie niewielu: dla roczników 1996-2005 średnia liczba urodzeń to niecałe 380 tysięcy. Dla przypomnienia, w rocznikach 1976-1985 to prawie 690 tysięcy.

Oni zmienią Polskę

Nie mam większych wątpliwości, że na ostateczny wynik wyborów prezydenckich, ale także kolejnych parlamentarnych, wpłynie mobilizacja wyborcza pokolenia wyżu demograficznego.

> Najgorzej mają roczniki 1983-1985, które wchodziły na rynek pracy w okresie światowego kryzysu. **One nigdy nie odrobią strat poniesionych na starcie kariery.**

Ten, komu uda się do tych ludzi dotrzeć, ma sporą szansę, by już w 2027 r. zgarnąć całą pulę. Co prawda w powszechnej opinii łatwo znaleźć argumenty, że o wyniku wyborów rozstrzygają w Polsce seniorzy, których jest najwięcej, jednak ich preferencje wyborcze są zasadniczo stałe – cała walka toczy się wyłącznie o to, czy pójdą do wyborów, i to głównie do nich kierowane są kampanie profrekwencyjne.

W przypadku czterdziestolatków nie wystarczy zachęcić do głosowania. Trzeba ich też przekonać, by zagłosowali na konkretnego kandydata. Nie sądzę, że w Polsce powstanie „partia CPK", ale intuicja coraz mocniej podpowiada mi, że władzę zdobędzie ktoś, kto umiejętnie odpowie na emocję, która się za taką nieistniejącą partią kryje.

Warto podkreślić, że czterdziestolatkowie nie zmienią wyłącznie sfery polityki partyjnej. Świetnym przykładem, pokazującym ogromny wpływ tej grupy na rzeczywistość społeczną, jest edukacja (która często jak w soczewce skupia szereg różnych zjawisk). Wychowani w kulturze zapierdolu mamy głębokie przekonanie, że sukces naszych dzieci zależy od tego, ile zainwestujemy w ich edukację i rozwój. Nie jest moim zdaniem żadnym przypadkiem fakt, że współcześni polscy rodzice są tak wymagający i mają tak wysokie oczekiwania zarówno wobec własnych dzieci, jak i szeroko rozumianego otoczenia. Dziś jednak, w przeciwieństwie do czasów naszej młodości, mamy już zasoby finansowe, żeby te oczekiwania w coraz bardziej wysublimowany sposób realizować.

Rozmawiałem niedawno ze znajomym z Warszawy, który pracuje w Brukseli. Opowiadał mi, że jakość usług edukacyjno-opiekuńczych w sektorze prywatnym w Polsce i Belgii jest nie do porównania – oczywiście na korzyść Polski. Oferta zajęć dla dzieci i młodzieży, włączając w to korepetycje, jest u nas rzeczywiście ogromna i wydajemy na nią majątek. Sam fakt, że już 10 proc. polskich uczniów kształci się w niepublicznych szkołach, jest jakimś dowodem potwierdzającym tę tezę. Widać to także w obciążeniach edukacyjnych polskich nastolatków (licząc łącznie czas spędzony na naukę w szkole i poza nią), którzy są jednymi z najbardziej zajętych pośród uczniów z państw rozwiniętych, zgromadzonych w OECD. Może nie staliśmy się jeszcze Chinami, Japonią czy Koreą, ale zaryzykowałbym twierdzenie, że jesteśmy na dobrej drodze. Co na marginesie widać także w statystykach dotyczących dzietności – to inna strona medalu kultury zapierdolu.

Dociśnięte śruby

Bardzo ciekawym odpryskiem opisywanego przeze mnie zjawiska jest dyskusja wokół zakazu zadań domowych. Z wielu stron od 40-letnich rodziców słyszę, że to obniżanie wymagań, że uczniowie potrzebują „dociśnięcia śruby", że życie jest pełne stresu i trzeba dzieciaki na to przygotować, że bez pracy niczego nie osiągną etc. Wreszcie, że uczniowie dziś niejako szantażują i nauczycieli, i rodziców, a prawo ich w tym zakresie zbyt mocno chroni. Gdzieś w głowie pojawiła mi się jednak myśl, iż może to być forma samoobrony dzisiejszej młodzieży przed niespełnionymi oczekiwaniami dorosłych. A z drugiej strony, że reformując system oświaty musimy zarazem uwzględnić mentalność tej grupy rodziców.

Mam bardzo głębokie przekonanie, że nie da się skutecznie uprawiać polityki w Polsce, zarówno tej partyjnej, jak i polityk sektorowych, bez dogłębnego zrozumienia duszy dzisiejszych polskich czterdziestolatków i tego, co będzie się z nimi dziać w wyniku postępującego starzenia się. O ile w ogóle w dobie słabnącego państwa da się jeszcze prowadzić jakąkolwiek skuteczną politykę.

© MARCIN KĘDZIERSKI

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

ANITA WALCZEWSKA / EAST NEWS

Marcin Kulasek, nowy minister nauki, oraz Donald Tusk i ustępujący ze stanowiska Dariusz Wieczorek. Warszawa, 17 stycznia 2025 r.

Premier przejmuje ster

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Resort nauki nadzoruje lewica, ale Donald Tusk ma już dość afer i zabiera się osobiście za porządki. Zmiany pójdą w innym kierunku, niż forsowało dotychczas ministerstwo. Czy to dobrze?

Poniedziałek, 7 lutego. Tuż po zaprezentowaniu na Giełdzie Papierów Wartościowych planu gospodarczego rządu Donald Tusk spotyka się niespodziewanie z grupą naukowców. Nie towarzyszy mu ani minister nauki, ani żaden inny przedstawiciel resortu. To już druga wymiana zdań między premierem i naukowcami bez udziału ministra – do wcześniejszej doszło w końcu ubiegłego roku, gdy Tusk osobiście wręczał nagrody rządowe.

W piątek, 14 lutego Tusk decyduje się na podsumowanie. Tym razem na spotkanie premiera z naukowcami idzie też nowy minister nauki Marcin Kulasek, następca oskarżanego o prywatę i brak reakcji na afery Dariusza Wieczorka (bronionego miesiącami przez Włodzimierza Czarzastego). W spotkaniu biorą też udział inni przedstawiciele rządu, m. in. minister finansów Andrzej Domański. Wysłuchują konkretnych postulatów i składają obietnicę poważnego potraktowania świata nauki.

Strażak Tusk gasi PAN

To zaskakująca sytuacja; rzadko się zdarza, by mimo licznych obowiązków, kampanii wyborczej i skomplikowanej sytuacji międzynarodowej – szef rządu w ciągu tygodnia spotykał się dwa razy z przedstawicielami tego samego środowiska. To odpowiedź na głęboki kryzys, który tlił się od wielu lat, ale wybuchł dopiero, gdy za zarządzanie Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego wzięli się przedstawiciele lewicy.

Kryzys ten zaowocował pierwszą dymisją w rządzie Tuska, jednak o ile Wieczorek musiał odejść z powodu zaliczenia kilku spektakularnych wpadek wizerunkowych, o tyle dymisję jego zastępcy Macieja Gduli wywołała właśnie eskalacja konfliktu w świecie nauki, wywołana jego decyzjami. Między innymi forsowaniem bardzo kontrowersyjnej ustawy o Polskiej Akademii Nauk, która groziła znacznym ograniczeniem jej niezależności.

Premier zadziałał jak strażak, ale gaszenie konfliktu wokół PAN to niejedyny powód nadzwyczajnego zainteresowania Tuska sprawami nauki. Istotne są też decyzje Unii Europejskiej, która naciska na państwa członkowskie, by mocno zainwestowały w naukę, bo tylko jej osiągnięcia dadzą UE szansę w konkurencji z Chinami i USA.

Jak usłyszeliśmy od osób biorących udział w rozmowach z premierem, miał być on dobrze przygotowany, a także świadomy podziałów w środowisku. Mało tego, ustalając skład zaproszonych gości złożył pewną deklarację: jednych docenił, a u innych wywołał gniew. Zwłaszcza u tych, którzy o składzie delegacji dowiedzieli się dopiero ze zdjęć zamieszczonych przez Kancelarię Senatu (z uwagi na obecność marszałek Małgorzaty Kidawy-Błońskiej).

Były dyrektor NCN i były wiceprzewodniczący Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (ERC) prof. Andrzej Jajszczyk, który był na obu spotkaniach z premierem, podkreśla, że dobór gości wynikał z tego, iż szef rządu chciał posłuchać osób niepełniących eksponowanych stanowisk. Stąd np. brak prezesa PAN. Tuskowi chodziło też o to, by poznać opinie wybitnych naukowców młodszego pokolenia, głównie laureatów prestiżowych grantów i nagród. U premiera byli też m.in. prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej prof. Maciej Żylicz, prezes Agencji Badań Medycznych prof. Wojciech Fendler, dyrektor NCN prof. Krzysztof Jóźwiak, a także prof. Natalia Letki z UW, prof. Krzysztof Pyrć z UJ, prof. Krzysztof Fic z Politechniki Poznańskiej i prof. Agata Starosta z PAN.

– Deklaracje premiera świadczyły o tym, że zdaje sobie sprawę, iż bez postępu w nauce Polska nie będzie w stanie gonić czołówki światowej. Wcześniej mieliśmy wrażenie, że nauka jest uważana za coś mało istotnego – mówi prof. Jajszczyk.

Dwie sprzeczne wizje

W świecie nauki istnieje strategiczny spór między dwiema wizjami jej egzystencji i rozwoju. To jedna z głównych przyczyn silnego konfliktu w tym środowisku. Rządząca w resorcie lewica opowiada się za względnie równym rozdziałem środków finansowych na naukę między istniejące placówki, a tym samym za niewielkimi preferencjami promującymi jakość.

Drugi model, nazywany przez jego przeciwników „liberalnym", to wspieranie przede wszystkim prestiżowych placówek, które mają szansę zaistnieć w międzynarodowej rywalizacji. Miałoby się to odbyć kosztem pozostawienia samymi sobie najsłabszych placówek, co będzie je skazywać wcześniej czy później na likwidację.

↦

Szef rządu – wskazuje na to m.in. dobór uczestników spotkania – postanowił postawić na drugi model i promować najlepszych. W tym kierunku idą też propozycje zmian systemowych, zaprezentowane przez naukowców podczas obu spotkań.

Wśród nich jest np. propozycja nowej metody ewaluacji (oceny) placówek naukowych, a co za tym idzie, ich finansowania. Obecnie obowiązuje często krytykowana, wprowadzona jeszcze w czasach Jarosława Gowina tzw. punktoza, czyli przyznawanie kategorii (od A do C) i określanie wysokości dotacji na podstawie liczby punktów. Te zaś przyznawane są placówkom naukowym za publikowanie prac w czasopismach z ustalonej w ministerstwie listy.

System ten przez kilka lat uległ znacznemu wynaturzeniu. Na liście punktowanych periodyków znalazły się np. czasopisma, w których system recenzowania jest szczątkowy i można sobie w nich publikację *de facto* opłacić. Na dodatek, np. minister Przemysław Czarnek dopisał do tej listy periodyki o wątpliwym poziomie naukowym, za to dobrze widziane przez środowisko polityczne PiS.

Naukowcy, którzy byli u premiera, proponują całkowicie nowy system – finansowanie uwzględniające liczbę grantów przyznawanych w konkursach ocenianych przez międzynarodowe zespoły ekspertów (tzw. metoda *peer review*). Metoda ta jest stosowana z powodzeniem w najbardziej zaawansowanych cywilizacyjnie krajach.

Inne postulaty przedstawione Tuskowi to m.in. liberalizacja prawa o zamówieniach publicznych, wymuszająca przetargi na zakup wyposażenia laboratoriów. Ma to sens antykorupcyjny, ale czasem godzi też w jakość, gdy cena gra nadmierną rolę. – Nasi koledzy z innych krajów w UE na podstawie tego samego unijnego prawa mają większą swobodę w zakupach – zaznacza prof. Jajszczyk.

Szef rządu w ciągu tygodnia spotkał się dwa razy z przedstawicielami tego samego środowiska. **To odpowiedź na głęboki kryzys, który wybuchł, gdy za naukę wzięła się lewica.**

Czy będzie więcej pieniędzy

Istotne są też propozycje wiążące się z wydatkowaniem dodatkowych środków, które, jak można sobie wyobrazić, nie są przyjmowane z entuzjazmem przez ministra finansów. Chodzi przede wszystkim o stworzenie funduszu na ściąganie wybitnych naukowców z zagranicy, by mogli uczestniczyć w polskich badaniach. Pojawił się nawet pomysł „wirtualnego" instytutu, trochę na wzór istniejącego już w Katalonii.

W grę wchodzi również powołanie państwowego funduszu wsparcia dla najbardziej wybijających się placówek naukowych. Instytuty składałyby w nim plany reform wewnętrznych, a w konkursie wybierano by najlepsze pomysły – nagrodzone placówki otrzymywałyby zwiększone dotacje. O pieniądze te mogłyby walczyć zarówno instytuty PAN, jak też placówki należące np. do Sieci Łukasiewicz. Naukowcy przy okazji postulują zwiększenie finansowania Narodowego Centrum Nauki, częściowo kosztem Narodowego Centrum Badań i Rozwoju (skompromitowanego w erze PiS), które z kolei miałoby zostać znacząco przekształcone. Wszystko to zdaniem prof. Jajszczyka dawałoby szansę na przejście polskiej nauki na wyższy jakościowo poziom.

Czy aktywność szefa rządu nie przeszkadza przedstawicielom lewicy, w której kompetencjach jest zarządzanie resortem nauki? Entuzjazmu nie wykazują, ale oficjalnie nie protestują. Przewodnicząca podkomisji ds. nauki i szkolnictwa wyższego w ramach sejmowej Komisji Edukacji i Nauki, Dorota Olko z lewicy jest zadowolona, że premier i minister finansów zwrócili uwagę na problemy nauki. Liczy, że dzięki temu będzie szansa na większe środki budżetowe, w tym na wsparcie NCN oraz instytutów PAN, borykających się z problemami finansowymi. – Naszym celem powinno być osiągnięcie poziomu wydatków 3 proc. PKB na naukę. Wiadomo, że nie dojdziemy do tego natychmiast, ale warto mieć plan rozpisany na lata. Chcę wierzyć, że obecne zainteresowanie premiera nauką to sygnał, że będziemy iść konsekwentnie w tym kierunku – mówi Olko.

Jednak Adrian Zandberg z Razem uważa, że była prostsza metoda radykalnego polepszenia sytuacji nauki – przyjęcie proponowanych poprawek do budżetu, zwiększających jej finansowanie. Nie zrobiono tego, więc obecnego zatroskania premiera i ministra finansów o stan nauki nie należy – zdaniem Zandberga – traktować przesadnie poważnie. Zdecydują czyny, nie słowa.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS // GRAŻYNA MAKARA // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TOMASZ

Stawiszyński: *Selektywna zmiana*

Pisałem tu przed tygodniem, że wraz z Trumpem i jego ekipą nadchodzą czasy „ofensywnego egoizmu". Czyli takiego modelu uprawiania polityki, w którym każdy podmiot gra wyłącznie na siebie, a co najważniejsze – wcale tego nie ukrywa, lecz na odwrót, obwieszcza wszem wobec. Wygrana Trumpa – a także rosnąca popularność wielu innych polityków skłaniających się ku takiej postawie (piszę na kilka dni przed wyborami w Niemczech) – wskazuje, że dotychczasowemu, liberalno-demokratycznemu *modus operandi* wyborcy coraz częściej pokazują czerwoną kartkę. Amerykańscy już to zrobili, europejscy są w trakcie, a proces ten zaczyna nabierać impetu.

Wymowne pod tym względem było słynne już przemówienie J.D. Vance'a wygłoszone 14 lutego w Monachium. Odtąd będziecie musieli sobie radzić sami – tak mniej więcej można podsumować jego przesłanie do przedstawicieli unijnych elit. A na dodatek pogódźcie się z tym, że ludzie głosują tak, jak głosują, przeciw waszym strategiom i wartościom. Nic tu nie pomoże wasza rozpacz i rozdzieranie szat. Idzie nowa epoka, idzie nowe rozdanie. Jeśli naprawdę jesteście demokratami, musicie to zaakceptować.

Czy tak jest, czy nie – to się okaże. Jedno wszakże już jest pewne. Rozdzieranie szat rzeczywiście nic nie pomoże. Podobnie jak niedopuszczanie do wiadomości tego, co się dzieje. Jak słusznie zauważył cytowany już kiedyś przeze mnie John Gray, liberalna demokracja nie jest i nigdy nie była domyślnym systemem politycznym, którego istnienie dane zostało raz na zawsze. O jej zachowanie i kształt trzeba nieustannie zabiegać, a niekiedy – walczyć. W znaczeniu jak najbardziej dosłownym. Historia nie rządzi się prawami ewolucji. Żaden ustrój polityczny, żadne urządzenie społeczne nie stanowi koniecznego stadium jakiegoś dziejowego procesu, odpornego na regresy i zapętlenia.

Długo żyliśmy w demokracji, ale za chwilę możemy znowu żyć w tyranii. Ponad pół wieku temu, po straszliwych doświadczeniach dwóch wojen światowych, uznaliśmy, że trzeba zrobić wszystko, aby zapobiec trzeciej. Dziś jesteśmy jej bliżej niż kiedykolwiek. Jak to się mogło stać? Układ sił, który braliśmy za dobrą monetę, nagle uległ totalnej reorientacji. Wygląda na to, że na podobną ewentualność w ogóle nie byliśmy przygotowani, bo zakładaliśmy, że sprawy potoczą się tak, jak uważamy, że powinny się potoczyć. Tymczasem, okazało się, nic podobnego.

Jednak nie każdy kryzys musi skończyć się źle. Warunkiem koniecznym pomyślnego przejścia przez to doświadczenie jest, jak wiadomo, umiejętność wyciągania wniosków. A nade wszystko – przyjęcie do wiadomości, że się w kryzys popadło i że są jakieś tego przyczyny. Dopiero zrozumienie przyczyn umożliwia znalezienie drogi wyjścia, a następnie – co najistotniejsze – redefinicję dotychczas stosowanych strategii i pozycji. Nie jest to wcale tak oczywiste, jak by się mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Świetnie ujmuje to Jared Diamond, postać skądinąd fascynująca, biolog ewolucyjny, ale również wytrawny znawca historii, myśliciel oryginalny i niedający się wpisać w żaden szablon. W niesłusznie u nas przemilczanej książce „Kryzysy. Punkty zwrotne dla krajów w okresie przemian" Diamond nazywa kryzys „momentem prawdy" i „punktem zwrotnym". Sytuacją, w której na jaw wychodzą sprawy ukryte i niewidoczne, także dlatego, że niemieszczące się w wizji, niedopuszczane do świadomości, marginalizowane, spychane w cień. „Punkt zwrotny – pisze – stanowi wyzwanie. Stwarza presję na stworzenie nowych metod radzenia sobie z sytuacją, kiedy dawne metody okażą się nieadekwatne". Proces tworzenia tych nowych metod rozpoczyna się zaś od głębokiej refleksji nad tym, co się stało. Jest to warunek konieczny „selektywnych zmian", które są jedyną drogą wyjścia z kryzysu.

Diamond kładzie szczególny nacisk na słowo „selektywny". Na czym owa selektywność polega? Otóż najpierw należy dokonać uczciwej oceny tych metod, które okazały się nieadekwatne. Następnie zmienić to, co zmiany wymaga, a zachować to, co działa dobrze. „Selektywność" jest więc tylko inną nazwą racjonalnego namysłu, który nie osuwa się, z jednej strony, w kompulsywną idealizację utraconego *status quo*, z drugiej jednak nie popada w automatyczną totalną negację. Nie trzyma się kurczowo przekonania o własnej doskonałości, ale i nie zakłada ślepo, że skoro coś przestało działać, to znaczy, że na pewno w całości jest złe. Przeciwnie, postawa zalecana przez Diamonda to chłodny – ale nie zimny – realizm. Uznanie własnych błędów i dostrzeżenie, że rzeczywistość rzadko kiedy jest czarno-biała. Dopiero selektywna zmiana umożliwia modyfikację niewydolnego systemu tak, żeby stał się znów sprawny, mądrzejszy i lepiej przygotowany do przezwyciężania kolejnych, nieuchronnych kryzysów.

Zdaje mi się, że książka Diamonda powinna być dzisiaj lekturą obowiązkową dla wielu liberalnych i lewicowych polityków. Na razie skupionych niestety na rozdzieraniu szat, snuciu apokaliptycznych wizji oraz deprecjonowaniu i wyśmiewaniu zarówno swoich przeciwników politycznych, jak i ludzi, którzy ich wybrali. Chodzi tymczasem o to, żeby owi politycy jak najszybciej uświadomili sobie nie tylko to, co robili dobrze, ale też co im kompletnie nie wyszło. I na tej podstawie dokonali selektywnych zmian. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

WIARA

KATOLICY OD TRUMPA

Dlaczego ambitni katolicy zdobyli zaufanie Trumpa i zmieniają politykę USA?

ANDRZEJ KOHUT

KEN CEDENO / REUTERS / FORUM

Wiceprezydent USA J.D. Vance wspólnie z Seanem Duffym i jego rodziną podczas ceremonii jego zaprzysiężenia na sekretarza transportu. Waszyngton, 29 stycznia 2025 r.

To nie była krytyka wyrażona wprost. W liście do amerykańskich biskupów papież Franciszek odniósł się do polityki imigracyjnej nowego prezydenta USA. Papież odwołuje się do historii świętej rodziny, „emigrantów w Egipcie i uchodźców, uciekających przed gniewem bezbożnego króla", by przypomnieć o godności przynależnej każdemu bez wyjątku. Krytykuje program masowych deportacji, zainicjowany przez nowe amerykańskie władze, i fakt, że jego autorzy zrównują nielegalne przebywanie na danym terytorium z przestępstwem. „Miłość chrześcijańska nie jest koncentryczną ekspansją interesów, które stopniowo rozszerzają się na inne osoby i grupy" – napisał Franciszek. I to właśnie ta uwaga została uznana za ostrą polemikę z wiceprezydentem J.D. Vance'em.

Wiceprezydent USA pytany w telewizji Fox News o swój stosunek do imigrantów, odpowiedział odwołaniem do „bardzo chrześcijańskiej koncepcji", wedle której „najpierw kochasz swoją rodzinę, później kochasz sąsiada, kochasz swoją wspólnotę, wreszcie kochasz swoich współrodaków i dopiero potem możesz się skupić na reszcie świata". Swoje stanowisko doprecyzował w późniejszym tweecie, pisząc: „Po prostu wygooglujcie *ordo amoris*". *Ordo amoris*, czyli porządek miłowania, koncepcja wywodząca się jeszcze od św. Tomasza z Akwinu.

Jednak Vance szybko został skrytykowany przez część katolickich teologów, argumentujących, że ów porządek miłowania nie może oznaczać uzasadnienia dla egoizmu i zamknięcia na innych. Podobne przesłanie wypływa z papieskiego listu: „Prawdziwy *ordo amoris*, który należy promować, to ten, który odkrywamy, nieustannie rozważając przypowieść o »miłosiernym Samarytaninie«, to znaczy rozważając miłość, która buduje braterstwo otwarte dla wszystkich, bez wyjątku".

Epizod z ateizmem

Polemika papieża z wiceprezydentem jest wyjątkowo interesująca, bo sam Vance jest konwertytą na katolicyzm, który przyjął to wyznanie stosunkowo niedawno – w 2019 r. Jego katolicyzm był szeroko komentowany, kiedy Donald Trump wskazał go, by został kandydatem na wiceprezydenta. Vance opisał swoją drogę do katolicyzmu w eseju „Jak dołączyłem do ruchu oporu", opublikowanym na łamach katolickiego magazynu „The Lamp". To wyjątkowy tekst, pozwalający lepiej zrozumieć drogę, jaką przeszedł autor bestsellerowej książki o amerykańskiej biedzie („Elegia dla bidoków"), by stać się czołowym politykiem Partii Republikańskiej.

Kiedy Vance pojawił się u boku Trumpa w 2024 r., media chętnie przypominały jego wypowiedzi sprzed lat, kiedy jeszcze, gładko ogolony, brylował na salonach. Mówił wtedy, że Trump to kulturowa heroina, moralna katastrofa i potencjalnie amerykański Hitler. Dlatego kiedy Vance najpierw został wspieranym przez Trumpa senatorem z Ohio, a później kandydatem na wiceprezydenta, podejrzewano go o koniunkturalizm. Zdaniem krytyków postanowił „zapomnieć" o swoich wcześniejszych zastrzeżeniach, bo sukces polityczny po republikańskiej stronie stał się niemożliwy bez współpracy z Trumpem. Tymczasem religijna droga Vance'a, opisana we wspomnianym eseju, może sugerować bardziej skomplikowaną odpowiedź na pytanie o jego motywacje.

Vance zaczyna od czasów swojego dzieciństwa (które tak drobiazgowo opisał w słynnej już książce) i od bardzo dla niego ważnej postaci babci. Babci, która była wierząca, ale nie przepadała za instytucjonalnym Kościołem i żywiła głęboką podejrzliwość wobec popularnych w tamtym czasie teleewangelistów (których mimo to chętnie oglądała). Ze świata swojego dzieciństwa, gdzie katolicyzm był traktowany ze sporą dozą protestanckiej nieufności, Vance trafił do Iraku. Z wojska wrócił sceptycznie nastawiony do polityki interwencjonizmu, ale i do religii. „Kiedy w 2007 r. opuściłem marines i rozpocząłem studia na Uniwersytecie Stanowym Ohio, czytałem Christophera Hitchensa i Sama Harrisa, a samego siebie uważałem za ateistę".

Jego ateizm miał dwie interesujące konsekwencje. Po pierwsze, na krótki czas popchnął go w kierunku libertarianizmu. Ponieważ jako ateista stawał się nieco wyobcowany w swoim dotychczasowym otoczeniu, kompensował to sobie zdwojonym entuzjazmem dla poglądów wyznawanych przez Partię Republikańską. I to pozwoliło mu odkryć, że wolnościowe poglądy gospodarcze są akurat tym składnikiem republikanizmu, które biednych wyborców z Appalachów zupełnie nie obchodzą. „Żaden z nich nie przejmował się tym, jak bardzo administracja Busha obniżyła stawki podatkowe dla miliarderów".

Z drugiej strony ta nowa ateistyczna tożsamość miała go przybliżyć do elity, ↦

↦ której starał się być częścią. Stopniowo odkrywał jednak, że nieustanna chęć osiągania coraz więcej wcale nie prowadzi go do szczęścia. Vance poznaje też Petera Thiela, miliardera z Doliny Krzemowej, który podsuwa mu podobne myśli. Mówi mu, że „nasze zawody będą wiązały się z dłuższymi godzinami w biurze, wyobcowaniem społecznym od naszych rówieśników oraz pracą, której prestiż nie będzie w stanie zrekompensować jej bezsensowności". Przybliża mu też René Girarda, francuskiego filozofa i autora teorii o rywalizacji mimetycznej (zgodnie z którą ludzie rywalizują o rzeczy, których pożądają inni).

Powrót do religii

Vance stopniowo powraca do religii. Jest to powrót o głębokim tle intelektualnym. Przyszły wiceprezydent przyznaje to zresztą w wywiadzie z Ronem Dreherem, opublikowanym na łamach „The American Conservative" z okazji jego konwersji. Na pytanie, dlaczego wybrał św. Augustyna na swojego patrona, Vance odpowiada: „Pochodzę ze świata, który nie był superintelektualny w kwestii wiary chrześcijańskiej. Obecnie spędzam dużo czasu wśród wielu intelektualistów, którzy nie są chrześcijanami. Augustyn dał mi sposób na zrozumienie wiary chrześcijańskiej w silnie intelektualny sposób".

Vance interesuje się również społecznym nauczaniem Kościoła katolickiego. Pisze o nim jako o drodze środka pomiędzy z jednej strony amerykańską lewicą, która z troską pochyla się nad ubogimi i wiele ma do powiedzenia o strukturalnych uwarunkowaniach wpływających na ich sytuację, ale nie wymaga od nich pracy nad sobą – z drugiej zaś prawicą, która widzi przede wszystkim osobistą odpowiedzialność i nie przyjmuje do wiadomości istnienia problemów strukturalnych.

Vance należy do tych, którzy chcieliby popchnąć Partię Republikańską na nowe tory, z dala od wolnorynkowej ortodoksji. Wiceprezydent przyjaźni się z Orenem Cassem, ekonomistą i publicystą, który postuluje odnowę Ameryki nie w oparciu o wciąż rosnącą konsumpcję, ale o powrót do produktywności. Poglądy Vance'a, również te religijne, mogą więc wpływać na kształt jego programu politycznego.

W nowej administracji, oprócz J.D. Vance'a, jest jeszcze sześcioro innych katolików. **Ich obecność może mieć wpływ nie tylko na obecną kadencję Trumpa**, ale i na przyszłość Partii Republikańskiej.

Niektórzy, jak Paul Elie na łamach „The New Yorkera", idą jeszcze dalej, spekulując, że katolicyzm wiceprezydenta może mieć nawet bardziej radykalne oblicze. Pisarz sugeruje, że Vance'owi blisko do integralizmu – a więc koncepcji zakładającej, że świeckie prawa powinny wynikać z prawa naturalnego. Taki pogląd, w opozycji do dominujących liberalnych teorii prawa, forsuje profesor Adrian Vermeule z Uniwersytetu Harvarda (Elie odnotowuje, że Vermeule i Vance wystąpili razem na konferencji organizowanej przez franciszkański uniwersytet w Ohio). Nie ma jednak żadnej jednoznacznej deklaracji wiceprezydenta o jego poparciu dla integralizmu.

Ideowiec poucza Europę

Przekonania Vance'a mogą mieć również znaczenie dla polityki międzynarodowej, co dobitnie pokazało jego ostatnie wystąpienie w Monachium. To miał być moment, kiedy nowa administracja wskaże europejskim partnerom kierunki w kluczowych kwestiach: Rosji, Ukrainy i przyszłości NATO. Spodziewano się gorzkich słów, wezwań do zwiększenia wydatków na obronność, może nawet pierwszych zrębów amerykańskiego planu pokojowego. Szybko się jednak okazało, że wiceprezydent USA w ogóle nie zamierza się skupiać na toczącej się w Europie wojnie, bo najwyraźniej nie w niej widzi największe zagrożenie dla kontynentu. Tym, co martwi go najbardziej, jest „odejście Europy od niektórych z jej najbardziej podstawowych wartości, wartości podzielanych przez USA".

Vance mówił o problemach z demokracją (unieważnienie wyborów prezydenckich w Rumunii czy marginalizowanie partii radykalnych), wolnością słowa (postulaty ściślejszej kontroli nad mediami społecznościowymi w celu zwalczania dezinformacji i hejtu) czy nielegalną imigracją. Pierwszym paradoksem tego wystąpienia jest fakt, że wiceprezydent wskazywał na zagrożenie podstawowych wartości tam, gdzie polityczny europejski mainstream widział dotąd środki mające tych wartości bronić. Wybory w Rumunii zostały unieważnione, ponieważ sąd najwyższy tego kraju uznał, iż doszło do ingerencji z zewnątrz, która zagroziła rumuńskiej demokracji jako takiej. Przeciwdziałanie dezinformacji w sieci od lat jest sztandarowym postulatem wszystkich tych, którym przyszłość demokracji leży na sercu.

Przemówienie w Monachium zdradzało jeszcze inny paradoks. Wiele dotychczasowych analiz podkreślało transakcyjny charakter polityki zagranicznej nowej administracji, zgodny z realistycznym postrzeganiem relacji międzynarodowych i biznesowym doświadczeniem prezydenta Trumpa. I do pewnego stopnia rzeczywiście tak jest. Czterdziesty siódmy prezydent chce kupować Grenlandię i przejmować ukraińskie surowce naturalne. Dotychczasowych partnerów straszy cłami i domaga się korzystniejszych dla Stanów Zjednoczonych umów. Trump wielokrotnie krytykował też dotychczasową, opartą na wartościach politykę zagraniczną USA – pokazując, że kierując się takimi kryteriami, Waszyngton często trafiał na manowce, angażując się wbrew własnemu interesowi i narażając na zarzuty o hipokryzję.

Tymczasem Vance jasno zasygnalizował, że nowa administracja również ma swoją ideową agendę i może ją czasem stawiać wyżej niż tylko pragmatyczne poszukiwanie interesu. Wiceprezydent, zamiast podyktować warunki nowej transatlantyckiej współpracy w zakresie bezpieczeństwa, skupił się na ostrzeżeniach przed upadkiem. Nie zrobił tego oczywiście w przypadkowym momencie: jego przemówienie miało miejsce na nieco ponad tydzień przed wyborami do niemieckiego Bundestagu, tuż po zamachu terrorystycznym (Afgańczyk wjechał samochodem w tłum na monachijskiej ulicy) i w sytuacji, kiedy tamtejsze sondaże dają drugie miejsce dotychczas marginalizowanej Alternatywie dla Niemiec.

Wypowiedzi Vance'a można zatem odczytywać jako sygnał poparcia dla tego ugrupowania i potwierdzenie, że administracja Trumpa jest zainteresowana wspieraniem sił politycznych o podobnym profilu ideowym w innych państwach zachodnich. Do tej pory trudnił się tym przede wszystkim Elon Musk na komunikatorze X.

Nie jest wykluczone, że ta ideowość charakteryzuje przede wszystkim samego wiceprezydenta. Donald Trump opiera się na kilku zasadniczych przekonaniach: nielegalna imigracja jest szkodliwa, cła korzystne, a reindustrializacja – konieczna. „Zielony ład" okazał się szkodliwy dla biznesu, a przejawy „woke" są sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Wojny lepiej kończyć niż zaczynać, a na arenie międzynarodowej USA nie powinny dłużej pozwalać się wykorzystywać. Tych założeń prezydent trzyma się konsekwentnie, pozwalając, by inni przekładali je na język politycznych planów, ustaw i rozporządzeń. Trump jednak nigdy nie był ideologiem. Przemówienia o upadku wartości raczej by do Europejczyków nie wygłosił.

Czy katolicy zmienią Republikanów

Wiceprezydenci nie zawsze odgrywają istotną rolę – często działo się wręcz na odwrót, stawali się jednymi z najmniej znaczących postaci w otoczeniu prezydenta. Jednak w przypadku Vance'a jest inaczej. Od początku jest widoczny u boku Trumpa. Odegrał ważną rolę w walce o zatwierdzenie nominacji personalnych przed Senatem. Pozostaje w dobrych relacjach nie tylko z samym prezydentem, ale też z innymi kluczowymi postaciami, jak Elon Musk.

Często pojawia się sugestia, że to właśnie Vance mógłby zastąpić Trumpa podczas wyborów prezydenckich w 2028 r. Sam Trump co prawda zbył takie spekulacje jako przedwczesne, mówiąc, że zapewne pojawi się wtedy wielu „utalentowanych ludzi", chcących powalczyć o najwyższe stanowisko w kraju, ale potencjalna kandydatura Vance'a jest prawdopodobna. Już samo wskazanie jego kandydatury na wiceprezydenta można było interpretować jako sygnał, że obóz Trumpa myśli poważnie o zachowaniu ciągłości po upływie drugiej kadencji prezydenta.

Nie tylko Vance reprezentuje katolików w nowej administracji. Jest jeszcze posiadający dziewiątkę dzieci sekretarz transportu Sean Duffy, sekretarz stanu Marco Rubio, sekretarz pracy Lori Chavez-DeRemer, sekretarz edukacji Linda McMahon, szef CIA John Ratcliffe, czy niezbyt religijny, ale wywodzący się z katolickiej rodziny sekretarz zdrowia Robert F. Kennedy. To może mieć istotny wpływ nie tylko na obecną kadencję Trumpa, ale i na przyszłość Partii Republikańskiej.

Wzrost znaczenia katolików może sprzyjać zmianom, które już zachodzą w ramach tego ugrupowania, a które współgrają z refleksjami Vance'a: Republikanie przyszłości mogą być w mniejszym stopniu partią wolnego rynku i nieskrępowanego kapitalizmu. Rodzina, wspólnota, silny przemysł, dający dobre miejsca pracy amerykańskim robotnikom, nawet silniejsze związki zawodowe. Inny model rozwoju gospodarczego, w którym wzrost konsumpcji nie będzie priorytetem – tak może wyglądać program Partii Republikańskiej w czasach po Donaldzie Trumpie. Jego elementy już zaczynają być widoczne.

Nie oznacza to jednak, że Partia Republikańska stanie się partią amerykańskich katolików. W ostatnich cyklach wyborczych katolicy dzielili się niemal dokładnie po połowie w swoich politycznych sympatiach. W 2024 r. Trump zdobył w tej grupie niewielką przewagę (wygrywając wśród białych katolików i przegrywając wśród katolików pochodzenia latynoskiego). Intelektualny katolicyzm Vance'a niekoniecznie pozyska mu sympatię wszystkich współwyznawców, podobnie jak progresywne poglądy katolika Bidena nie przyciągnęły ich wszystkich do niego. Wreszcie, poglądy Vance'a mogą się spotkać ze sprzeciwem kościelnej hierarchii z papieżem na czele. Mimo tych zastrzeżeń, możemy właśnie obserwować niewidziany wcześniej wpływ katolicyzmu na kształt amerykańskiej polityki.

© ANDRZEJ KOHUT

Zapraszamy do nowego newslettera **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**

Jest coś wyjątkowego w popołudniach – kiedy rzeczy ważne i nagłe mieszają się z tymi zupełnie przyjemnymi, dającymi moment wytchnienia.

I właśnie w tym momencie dnia przychodzimy do Państwa z naszym nowym newsletterem: oto **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**!

Chcemy, żeby było ono miejscem na chwilę oddechu, spojrzeniem na rzeczy, które są naprawdę ważne, poszukiwaniem wspólnie szerszej perspektywy.

zeskanuj i zapisz się!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wiatr konklawe

EDWARD AUGUSTYN

Niepokojące informacje o stanie zdrowia papieża uruchomiły, jak zwykle, lawinę spekulacji co do wyboru jego następcy. Jednak tym razem były one dużo bardziej uprawnione.

„Papież jest poważnie chory dopiero po śmierci" – mawiają dziennikarze pracujący w Sala Stampa, przypisując te słowa Joaquinowi Navarro-Vallsowi, byłemu rzecznikowi prasowemu Jana Pawła II. Popularny bon mot, bez względu na to, kto jest jego autorem, celnie puentuje komunikacyjną politykę Watykanu, dość oszczędnie gospodarującego prawdą w czasie kryzysów zdrowotnych papieży.

Choroba zaplanowana

Kiedyś uważano, że ujawnianie ludzkich słabości Chrystusowego Namiestnika osłabia jego autorytet wśród wiernych. Dziś skąpe informacje usprawiedliwia się koniecznością zapobiegania plotkom i przedwczesnym spekulacjom albo poszanowaniem prywatności papieża. Choć równie dobrze chodzić może po prostu o przyzwyczajenie, które łatwo uznać za dobry zwyczaj.

Papież Franciszek, który zawsze sam decydował, jakie informacje przekazywać dziennikarzom, też był niechętny publikowaniu wiadomości o swoich problemach zdrowotnych. Komunikaty na ten temat były więc równie lakoniczne jak za jego poprzedników. Czasem nawet niezgodne z prawdą. Gdy w marcu 2023 r. został odwieziony karetką do szpitala, biuro prasowe podało, że chodziło o „rutynową i wcześniej zaplanowaną wizytę". Trudno było w to uwierzyć, bo choć Franciszek często jeździł na badania, czy to do Polikliniki Gemelli, czy jej diagnostycznego oddziału na Isola Tiberina, zawsze robił to w dyskrecji, bez informowania mediów, poruszając się zwykłym samochodem. I rzeczywiście – kilka godzin później rzecznik prasowy Watykanu przyznał, że prawdziwym powodem odwiedzin w szpitalu były problemy z oddychaniem, a pobyt na oddziale przedłużył się do kilku dni, dzięki czemu udało się zatrzymać rozwój infekcji i nie dopuścić do zapalenia płuc.

Zasada Navarro-Vallsa

Wydarzenia ostatnich dni miały niemal identyczny przebieg jak kilka wcześniejszych incydentów chorobowych Franciszka. Najpierw skarżył się na ból gardła i utratę głosu. Nie uznał tego jednak za powód do odwołania zaplanowanych spotkań. Po kilku dniach pojawiły się problemy z oddychaniem. W piątek, 14 lutego, zaraz po zakończeniu audiencji prywatnych, pojechał do Polikliniki Gemelli „w celu przeprowadzenia niezbędnych badań diagnostycznych i kontynuacji leczenia zapalenia oskrzeli w warunkach szpitalnych", jak mówił komunikat.

Wiadomości z kolejnych dni były coraz bardziej niepokojące: mimo wprowadzonej antybiotykoterapii stan zapalny zaostrzał się, pojawiła się gorączka. I choć biuro prasowe próbowało kończyć komunikaty optymistycznie – że papież spał dobrze, zjadł śniadanie, zachowuje dobry humor, a nawet „oddaje się pracy i lekturze", dziennikarze dobrze wiedzieli, że jeśli Watykan mówi o „ostrożnych rokowaniach", to – zgodnie z zasadą Navarro-Vallsa – sytuacja musi być znacznie bardziej poważna. Co potwierdzały kolejne komunikaty – w poniedziałek, 17 lutego, informowano o trudnym do leczenia polimikrobowym zapaleniu górnych dróg oddechowych oraz wprowadzeniu nowych antybiotyków i leków sterydowych. Dzień później o wynikach badania tomografem, które wykazało początki obustronnego zapalenia płuc.

Rozgrywki dziekanem

„Za każdym razem, gdy papież jest chory, słychać wiatr konklawe" – napisał Franciszek w swej najnowszej biografii „Miej nadzieję". Nadchodzące z Polikliniki Gemelli informacje wyzwoliły wręcz huragan spekulacji co do bliższej i dalszej przyszłości Kościoła. Masową wyobraźnię dodatkowo pobudził film „Konklawe", goszczący od kilku miesięcy w kinach, niemal pewny kandydat do Oscara (nominacje w ośmiu kategoriach), dzięki któremu miliony ludzi na całym świecie poznało barwne kulisy wyborów papieża oraz dowiedziało się o ważnej roli, jaką odgrywa w nich kardynał dziekan.

Nie ma wątpliwości, że właśnie na kanwie filmu media zaczęły interesować się decyzjami papieża, które nigdy wcześniej

MARIA GRAZIA PICCIARELLA/ EAST NEWS

Papież Franciszek podczas nieszporów w Watykanie. 31 grudnia 2024 r.

nie budziły szczególnych emocji. Zauważono, że jedną z ostatnich decyzji personalnych Franciszka przed pójściem do szpitala było zablokowanie zmian na stanowisku dziekana kolegium kardynalskiego, przez przedłużenie na kolejne pięć lat kadencji pełniącemu tę funkcję kard. Giovanniemu Battiście Re oraz wicedziekanowi kard. Leonardowi Sandriemu. Zaczęto snuć domysły, że papież chciał w ten sposób wpłynąć na proces wyboru swojego następcy, choć nie do końca wiadomo, jaki miałby być jego plan.

Jedni spekulują, że przedłużając kadencję dotychczasowym dziekanom, liczy na ich wsparcie dla kandydata, którego chciałby widzieć po sobie na papieskim tronie. Wprawdzie ani kard. Re, ani kard. Sandri nie będą uczestniczyć w konklawe (pierwszy ma 91 lat, drugi 82), ale będą przewodniczyć tzw. kongregacjom kardynałów, w czasie których – na kilka dni przed rozpoczęciem wyborów – dochodzi już do pierwszych dyskusji, kto powinien być nowym papieżem, i do badania, na jakie poparcie ewentualni kandydaci mogą liczyć.

Inni twierdzą, że Franciszek swą decyzją uniemożliwił wybór na stanowisko dziekana kard. Pietra Parolina, sekretarza stanu, nie chcąc wzmocnienia jego pozycji. Jeszcze inni – że tylko odsunął w czasie elekcję dziekana, aby dać szansę własnemu kandydatowi do tej funkcji. Miałby nim być 69-letni kard. Robert Prevost, którego w tym samym czasie papież włączył do elitarnego grona trzynastu kardynałów-biskupów, w większości już emerytów, którzy spośród siebie wybierają dziekana.

Dziedzictwo Franciszka

Powróciły też spekulacje co do możliwej dymisji Franciszka, choć on sam powtarzał, że nie planuje takiego ruchu (ostatni raz mówił to we wspomnianej przed chwilą autobiografii). Trudno zresztą powiedzieć, jaki miałaby teraz sens jego rezygnacja. Zapalenie płuc nie jest chorobą, która unieruchamia w łóżku na wiele miesięcy – kończy się albo wyzdrowieniem, albo śmiercią (w przypadku pacjentów powyżej 85. roku życia ta druga ewentualność jest, niestety, statystycznie bardziej prawdopodobna).

Z tego powodu dużo bardziej wymowne są decyzje papieża przygotowujące nas na jego pogrzeb, nie emeryturę. Warto przypomnieć, że w ostatnim roku Franciszek zmienił przepisy liturgiczne dotyczące egzekwii papieskich, upraszczając ceremonię, by przypominała bardziej pożegnanie biskupa, a nie monarchy. A także że wybrał dla siebie inne niż jego poprzednicy miejsce pochówku – w podziemiach bazyliki Matki Boskiej Większej, gdzie zakończono już wszystkie prace remontowe przed ewentualnym przyjęciem papieskiej trumny.

Przede wszystkim jednak warto pamiętać, jak mocno przemeblował skład kolegium kardynalskiego, które będzie wybierać jego następcę. Na chwilę obecną liczy ono 138 elektorów (aż o 18 więcej, niż przewiduje prawo, co jednak nie ma żadnego znaczenia dla przebiegu czy ważności wyborów), wśród których aż 110 on sam zrobił kardynałami, co znaczy, że są to hierarchowie podzielający jego wizję Kościoła – synodalnego, otwartego, ubogiego, troszczącego się o wykluczonych.

Można więc z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, że następny papież będzie kontynuował rozpoczęte przez Franciszka reformy, choć z tego samego powodu trudno wskazać konkretnego kandydata, który miałby największe szanse na wybór. Można jedynie, drogą eliminacji, wykluczyć kolejnego papieża z Ameryki Łacińskiej (przyjęło się uważać, że przyczyną wielu problemów tego pontyfikatu czy błędów popełnionych przez Franciszka było jego latynoskie pochodzenie), na pewno nie będzie to już jezuita ani też kardynał mało znany (tak jak Jorge Bergoglio, który większości elektorów dał się poznać dopiero kilka dni przed konklawe).

Wydaje się, że duże szanse mogą mieć kardynałowie zaangażowani w synod, zarówno ci pracujący w kurii (co teraz, po reformie tej instytucji i sprowadzeniu do niej zupełnie nowych twarzy, nie jest już żadnym obciążeniem), jak i spoza Rzymu, o ile ich obecność w czasie obrad synodu została zauważona i doceniona.

Ciężka walka

W sytuacji, z jaką mamy od tygodnia do czynienia, spekulacje na temat nowego konklawe mogą wydawać się przedwczesne (albo i nie na miejscu). W ubiegły piątek stan papieża nieco się poprawił, o czym z zadowoleniem mówili na prasowym briefingu opiekujący się nim lekarze. Dzień później nastąpił kryzys – najpierw doszło do problemów z oddychaniem, potem pojawiły się symptomy niewydolności nerkowej. Komunikaty biura prasowego stały się lakoniczne, co oznacza, że należy je czytać zgodnie z regułą Navarro-Vallsa: stan papieża jest ciężki, a jego przyczyną nie jest już jedynie zapalenie płuc.

Dum spiramus, speramus, mówi łacińska sentencja, jedna z tych, których na pamięć uczą się na lektoracie studenci pierwszego roku medycyny. Dopóki oddychamy, miejmy nadzieję. Zwłaszcza że papież Franciszek tyle razy nas już zaskakiwał. Choroba spadła na niego niespodziewanie, odrywając od codziennej pracy. Nawet w szpitalu nie stracił duchowej energii i poczucia humoru. Można też liczyć na siłę współczesnej medycyny czy siłę modlitw, wznoszonych przez wiernych na całym świecie – jedna i druga czyni cuda. Co nie zmienia faktu, że dzień, w którym wiatr konklawe naprawdę zawieje, nieuchronnie się zbliża. ©℗

Tekst ukończono 24 lutego w południe.

Święta rzeka

MARTA ZABŁOCKA

Hinduskie Wielkie Święto Dzbana gromadzi miliony mieszkańców Indii. Dlaczego Ganges przyciąga Indusów?

Woda przyciąga jak magnes w nocy i w dzień. Setki milionów hinduskich pielgrzymów przez ostatnie sześć tygodni przybywało do Prajagradź, w stanie Uttar Pradeś, nad *sangam*, czyli połączenie trzech rzek: Gangesu, Jamuny i mitycznej Saraswati. Wierzą, że udział w obchodach Wielkiego Święta Dzbana – Maha Kumbh Mela, czyli zanurzenie w zimnych wodach, oczyści ich z brzemienia złych uczynków.

Tułaczka pielgrzyma

– Mam wielkie szczęście – mówi Arsalan, którego wraz z żoną i dziećmi spotykam w pociągu z Lalrgah, w stanie Radźastan, do Prajagradź. Czteroosobowa rodzina podróżuje w ścisku przez ponad 24 godziny, na wąskiej kuszetce trzeciej klasy. Mężczyzna tłumaczy, z jakim trudem udało mu się kupić bilety, które rozeszły się dwa miesiące temu w zaledwie kilka sekund, choć indyjskie koleje uruchomiły ponad 90 specjalnych pociągów, które podczas święta wykonały blisko 3300 dodatkowych kursów. – Każdy chce zanurzyć się w wodzie. Ale największym szczęściem jest to, że żyjemy w tym właśnie życiu – podkreśla dobitnie.

To ostatnie zdanie mówi mi każdy napotkany pielgrzym – tegoroczne obchody Kumbha Meli są bardzo pomyślne, gdyż przebiegają w czasie wyjątkowego układu Ziemi, Słońca, Księżyca i Jowisza występującego raz na 144 lata.

W rozmowę na korytarzu pociągu wtrąca się inny podróżny, który z dumą wspomina, że nie jest to jego pierwszy udział w tym święcie. Brał on rytualną kąpiel w 2019 r. Kreśli na kartce papieru mapę, wyjaśniając zawiłość religijnego cyklu. Pojawiają się cztery kropki: Haridwar u podnóża Himalajów, gdzie Ganges wypływa na równiny, Prajagradź na nizinie Gangesu oraz miasta Udźdźajn nad rzeką Sipra i Nasik nad rzeką Godawari. Co trzy lata święto obchodzone jest kolejno w tych miejscowościach, powracając do każdej z nich co 12 lat. Nic nie jest tu przypadkowe. To w tych bowiem miejscach spadły krople amryty, nektaru dającego pijącemu nieśmiertelność. Dzban z niebiańskim napojem z rąk demonów wyrwał bóg Wisznu, jeden z hinduistycznej trójcy, obok Śiwy i Brahmy. Niechcący strącił on krople amryty na ziemię, niosąc naczynie do nieba. Wszyscy podróżni kiwają głowami na potwierdzenie tej opowieści.

Do celu docieramy przed czwartą rano. Tłum wysypuje się na peron. Zaspane niemowlęta zwisają na ramionach matek, mężczyźni dźwigają walizki, plecaki, tobołki. Ludzie wsiadają do tuk-tuków, tłoczą się w autobusach. Jak lunatycy kierują się w stronę centrum miasta, by móc jeszcze przed świtem dotrzeć nad wodę.

Jadąc szeroką, nową, oświetloną estakadą co i rusz widzimy olbrzymie bilbordy z podobizną premiera Indii Narendry Modiego, który z delikatnym uśmiechem na twarzy wita każdego przybysza do Prajagradź. Wstępne szacunki mówią, że od 13 stycznia, kiedy rozpoczęło się święto, do jego zakończenia 26 lutego, do miasta mogło przyjechać ponad 500 mln wiernych. Dla porównania, w pielgrzymce do Mekki w Arabii Saudyjskiej w 2024 r. wzięły udział 2 mln muzułmanów. Oznacza to, że Maha Kumbh Mela była największym zgromadzeniem religijnym na świecie.

Klapki rozrzucone na brzegu

Schodząc ulicami prowadzącymi do rzek, w szarości mijającej nocy, widzimy migoczące maleńkie ogniska. Palą się szczapki drewna i śmieci. Mają ogrzać śpiących na ziemi pielgrzymów. To dla nich zabrakło miejsca w ponad 150 tys. namiotów postawionych przez rząd. Wybudowane z okazji święta tymczasowe miasteczko z toaletami, punktami medycznymi i policyjnymi zajmuje powierzchnię 4 tys. hektarów.

Mimo wczesnej pory rozstawili się już pierwsi sprzedawcy. Kobiety i dziewczynki układają w rzędach papierowe stateczki, w których umieszczają pomarańczowe nagietki i dzikie róże. Można kupić też kadzidełka, masło ghee lub kokosowy olej do maleńkich, unoszących się na wodzie lampek. Kilka osób rozgrzewa się masalą ćaji pitą w kubkach wielkości naparstka. Sprzedawca z wózkiem postawionym na drodze mówi, że jest tu codziennie i jedyne, co widzi, to niekończącą się rzekę ludzi. Zapytany, skąd są pielgrzymi, mówi, że z całego kraju, i wymienia najdalej wysunięte krańce Indii: Keralę na południu i Kaszmir na północy, ale jednocześnie zaznacza, że pojawiają się też przyjezdni z USA i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. – Udział w tegorocznej Maha Kumbh Mela to najważniejsze wydarzenie w życiu – dodaje.

Z tym ostatnim stwierdzeniem polemizuje Weronika Rokicka, indolożka z Uniwersytetu Warszawskiego, autorka książki „Indie. Kraj miliarda marzeń". Zauważa ona, że w tekstach religijnych pielgrzymka jest tylko jedną z praktyk, które pobożny hindus może podejmować. – Pielgrzymka nie jest niezbędna do tego, aby duch ludzki uzyskał wyzwolenie z kręgu żywotów, co jest ostatecznym celem życia człowieka według hinduizmu. Ważne jest, aby przez całe życie wypełniać swoją dharmę, czyli obowiązki wobec świata, społeczeństwa i rodziny – wyjaśnia. Jednocześnie przytacza wyniki badań Pew Research Center „Religion in India" z 2021 r., według których 97 proc. Indusów deklarowało, że wierzy w bóstwa, a ponad 80 proc. na co dzień praktykuje religię.

W powietrzu unoszą się tumany piasku, wzbijane stopami pielgrzymów. Tłum ciągnie się po horyzont, krocząc po mostach pontonowych, wybudowanych specjalnie na tę okazję. Twarze oświetla olbrzymie, pomarańczowe, wschodzące słońce. Tego samego koloru jest też kożuch z nagietków unoszący się na wodzie. Nad rzeką nikt nie jest sam. W grupkach gromadzą się rodziny i przyjaciele. Ludzie wznoszą złożone ręce, zapalają kadzidła i lampki. Szept modlitw gubi się w śpiewie emitowanym przez głośniki. Kobiety, mężczyźni i dzieci ostrożnie wchodzą do rzek – jedni zanurzają się kilkakrotnie,

PRABHAT KUMAR VERMA / ZUMA PRESS / FORUM

Hinduskie święto Maha Kumbh Mela w Prajagradź, w stanie Uttar Pradeś. Indie, 11 lutego 2025 r.

drudzy metodycznie myją kończyny i tułów. Niektórzy proszą bliskich, by zrobili im zdjęcie na pamiątkę lub nakręcili relację filmową. Na wielu twarzach widać skupienie. Na brzegu piętrzą się pozostawione klapki i sportowe buty.

Odpust za złe uczynki

Sama kąpiel trwa kilka minut, woda sięga do ud. Nikt nie wytrzymuje dłużej, bo jest bardzo zimna. Większość po kąpieli dygocze, próbując wciągnąć na mokry grzbiet koszulę czy sari. Podtrzymują się nawzajem, by nie upaść na mokrej ziemi, wycierając nogi w ręczniki. Dla tych, którzy potrzebują intymności, postawiono kabiny do przebrania się. Niektóre kobiety wzięły ze sobą grzebienie i czeszą długie, czarne włosy.

Dla przewodnika po pustyni Thar z Dźasalmeru, Vijay Kumara Ballaniego, wyjazd do Prajagradź to podróż duchowa. – Po zanurzeniu w wodzie poczułem się czysty, świeży i lekki. To doświadczenie, dzięki któremu staję się lepszym człowiekiem, jestem lepszy i bardziej wyrozumiały dla swojej żony, rodziny, sąsiadów – wyznaje. Zapewnia, że po kąpieli pozostał w ciszy tak długo, jak było to możliwe, kontrolował swoje myśli, by nie pobiegły w złych kierunkach, pościł. Przez kolejne dni starał się unikać kłamstwa i gniewu.

– Według hinduskiej tradycji, rzeki, w tym nie tylko te przepływające przez Prajagradź, mają właściwości oczyszczające ducha ludzkiego z ciężaru złych uczynków. To rodzaj odpustu. Dlatego wiele osób u kresu życia udaje się do takich świętych miejsc, aby poprzez kąpiel zagwarantować sobie, że po śmierci wyzwolą się z cyklu kolejnych żyć. Niektórzy mogą uważać, że to moment wyzerowania karty, ale teksty religijne zdecydowanie wskazują, że postępowanie w całym życiu jest kluczowe, a pielgrzymka jest tylko jedną z praktyk, które pozytywnie wpływają na bilans uczynków człowieka – tłumaczy Rokicka.

Asceci i pawie pióra

Wraz ze zbliżaniem się południa tłum gęstnieje. O świcie można było swobodnie wejść do rzeki, teraz ludzie ustawiają się gęsto, przepychają się, trącają łokciami. Muszą czekać na brzegu, czasami kilkadziesiąt minut. W szczególne dni świąteczne, zwane *amryt snan*, czyli kąpielami nektarowymi, do Prajagradź potrafiło przyjechać kilkanaście milionów ludzi, którzy oczekiwali na zanurzenie się w wodzie nawet kilka godzin. Tak też było 29 stycznia w święto Mauni Amavasya, kiedy to kąpiel była szczególną okazją do odnowy duchowej. Tuż po północy w wodzie wybuchła panika, ludzie tratowali się. Szacuje się, że co najmniej trzydzieści osób straciło życie, a trzy razy tyle zostało rannych. To nie jedyne ofiary podczas trwania święta – według informacji policji i służb medycznych śmierć mogło ponieść w sumie blisko sto osób.

W tym tłumie nieustająco krążą kapłani w szafranowych strojach, którzy dają błogosławieństwo, a na czołach malują szeroki żółty pas oraz czerwone symbole boga Śiwy, w tym jego atrybut, trójząb (*triśula*). Na moim czole pojawia się napis „Radhe, Radhe", wzywający boginię o tym samym imieniu, ukochaną boga Kryszny. To dobre życzenie, które w sanskrycie oznacza: dobrobyt, sukces, doskonałość i bogactwo. Każdy, kto odbył pielgrzymkę, nosi więc na twarzy kolorowe znamię, aż do pierwszego prysznica w domu.

Długie kolejki wiernych ustawiają się przed specjalnymi namiotami, w których można spotkać sadhu, czyli hinduistycznych ascetów, uznanych za osoby święte. Poznać ich można po nagich ciałach umazanych popiołem, włosach skłębionych w strąki lub kołtun. Bywa, ↦

↦ że przepasani są tylko wokół bioder tkaniną w kolorze szafranu. Przed fałszywymi sadhu ostrzegał mnie Max, sprzedawca dywanów w Waranasi, który przysiadł się do mnie na ławce nad Gangesem. Zwrócił mi uwagę, że sadhu to niezwykle skromni ludzie, którzy porzucili doczesne przyjemności na rzecz medytacji, modlitwy, jogi; żebrzą, ale nie są głośni i natrętni, szczególnie wobec cudzoziemców. – W Prajagradź możesz spotkać autentycznych sadhu – zapewnił.

Nie mylił się. Dla sadhu, których liczbę w Indiach szacuje się na 5 mln, Maha Kumbh Mela to szczególny czas, bo medytacja i następujące tuż po niej oczyszczenie ducha przez wejście do wody to obowiązkowy rytuał inicjacyjny. Ci, którzy decydują się w nim uczestniczyć, mają wygolone głowy za wyjątkiem jednego kosmyka pozostawionego z tyłu. Do wody wchodzą grupami wieczorem lub nocą. W tym roku podczas kąpieli w Prajagradź po raz pierwszy do społeczności ascetów wstąpiła rekordowa liczba kobiet – ponad tysiąc.

W świetle dnia sadhu przesiadują w namiotach, przed którymi wiją się kilkudziesięciometrowe kolejki wiernych. Każdy z nich w skupieniu czeka na spotkanie, wielu ściska w rękach pliki zielonkawych banknotów o wartości 500 rupii. Czekają, by oddać hołd, otrzymać błogosławieństwo, zostać uderzonym po ramionach pawimi piórami, usłyszeć przepowiednię, a także zrobić sobie *selfie* ze świętym mężem. W zamian sadhu wręczają wyznawcom wizytówki z kodami QR, które przekierowują na internetowe strony i kanały na YouTubie, gdzie można znaleźć więcej odpowiedzi na duchowe wątpliwości i rozterki.

> Według hinduskiej tradycji, rzeki – nie tylko Ganges – mają właściwości oczyszczające ducha ludzkiego z ciężaru złych uczynków. **To rodzaj odpustu.**

Kanistry ze świętą wodą

Ganges, Jamuna i Saraswati otwierają swoje wody dla każdego: dla mężczyzn, kobiet, dzieci w każdym wieku i z każdej warstwy społecznej. W bulwarowej prasie, ale też w opiniotwórczych tytułach, co i rusz pojawiały się relacje o kąpieli sławnych aktorek i aktorów bollywoodzkiego kina, sportowców – w tym w szczególności członków drużyn krykieta, największych indyjskich przedsiębiorców, czołowych polityków, także premiera Modiego i króla Bhutanu Jigme Khesara Namgyela Wangchucka. Ale w lokalnych mediach, wśród kapłanów i wiernych przetacza się dyskusja, czy w uroczystościach powinni brać udział wyznawcy innych religii. Na razie dylemat ten nie został rozstrzygnięty.

– Od lat obserwujemy przejawy dyskryminacji, która dotyka sklepikarzy sprzedających hinduskie dewocjonalia. Wyznawcy islamu byli i są bardzo dobrymi rzemieślnikami je wytwarzającymi. Obecnie prowadzi to jednak do napięć, szczególnie w stanie Uttar Pradeś, gdzie leży Prajagradź – zauważa Weronika Rokicka.

Na podobny problem zwrócił uwagę Mahatma Gandhi, który brał rytualną kąpiel podczas Kumbh Meli w mieście Haridwar w 1915 r. W autobiografii „Moje poszukiwania prawdy" z dezaprobatą przyglądał się ortodoksyjnym pielgrzymom, którzy choć cierpieli z pragnienia, odmawiali zakupu wody od muzułmanów, czekając na hinduskich sprzedawców.

Nie tylko wodę i dewocjonalia można kupić podczas pielgrzymki, ale wszystko: od patelni i łopaty, po szkolną mapę Indii i plastikowe zabawki. Nie brakuje świeżo wyciskanego soku trzcinowego i pikantnych przekąsek. Ale największą popularnością cieszą się plastikowe białe i pomarańczowe kanistry. To w nich, ale też w zwykłych plastikowych butelkach, wierni zabierają mętną wodę z Gangesu i Jamuny do domów, dla najbliższych, którzy nie mogli przybyć na miejsce. Pytani, do czego ją wykorzystają, mówią, że będą mogli się umyć, wyprać ubrania lub przygotować posiłek.

– Wiara w oczyszczającą moc wód Gangesu jest bardzo silna i wykracza poza wyznawców hinduizmu. Jest ona bardziej powszechna niż wiara w reinkarnację – stwierdza Rokicka i wskazuje na dane: oprócz hindusów 32 proc. indyjskich chrześcijan oraz 26 proc. muzułmanów wierzy w świętość rzeki Ganges.

© MARTA ZABŁOCKA

Autorka jest dziennikarką Polskiej Agencji Prasowej.

TP

POWIEDZ NAM, CO SĄDZISZ!

ZAPRASZAMY DO UDZIAŁU W KRÓTKIEJ ANKIECIE

Zeskanuj zamieszczony obok kod lub wejdź na powszech.net/ankieta3

Chcemy regularnie prosić Czytelników o opinie na wybrane tematy dotyczące drukowanego wydania. Państwa odpowiedzi pomogą nam w pracy nad tym, żeby „Tygodnik" był jeszcze lepszy.

W poprzedniej ankiecie pytaliśmy o to, jaka tematyka poruszana w „Tygodniku" interesuje Państwa najbardziej. Najczęściej wskazywali Państwo:

- SPRAWY SPOŁECZNE
- WIARĘ I DUCHOWOŚĆ
- REPORTAŻE ZE ŚWIATA

DZIĘKUJEMY, ŻE NAS CZYTASZ!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZUZANNA

Radzik:
Kobieca wioska

Dwudziestoczteroletnia Ria napisała na internetowej grupie, że zerwała z chłopakiem i potrzebuje się wygadać w obcym mieście. Chce, żeby ktoś jej powiedział, że po tym też jest życie, że ból mija. Z rodziną w kraju pochodzenia nie pogada, nie przyznała jej się nawet, że ma chłopaka. Różnice kulturowe nie pozwoliłyby im zrozumieć.

Napisała na kobiecym forum i szybko znalazły się dziewczyny gotowe iść z nią na kawę i spacer, posłuchać, opowiedzieć, wesprzeć. Nie pierwszy raz widziałam takie otulające reakcje, porady, konkrety. Nie mam porównania, bo nie bywam na analogicznych forach dla mężczyzn, ale widzę siłę kobiecej wioski. A może to siostrzeństwo? W każdym razie pomoc, która idzie na przekór wciąż popularnemu przekonaniu, że kobiety w grupie konkurują, snują intrygi i się nawzajem podgryzają. Tak też się dzieje, nie miejmy złudzeń. Grupa kobiet to grupa ludzi, ze wszystkimi wadami naszego gatunku. Ale siła kobiecej wioski jest nie do przecenienia. Gdybym umiała, chciałabym wyśpiewać pochwałę wioski sióstr.

Może na emigracji widać ją bardziej, jak w laboratorium, bo nie możesz się łudzić, że relacje, które oplatają cię gęstą, bezpieczną siecią, budowałaś sama przez całe życie. Tutaj jest jasne, że ta sieć, wioska, istnieje niezależnie od ciebie. Obdarza uwagą i troską, bo tak chce. Jest gotowa bezinteresownie dawać.

„Pewnie łatwiej byłoby wam z małym dzieckiem w Warszawie?" – dopytywał ktoś znajomy, gdy dopiero zaczynaliśmy się dzielić tym, że jesteśmy w ciąży. Już wtedy nie byłam tego taka pewna. Jasne: jest tam rodzina, są stare przyjaźnie – ale to nie zawsze oznacza uwagę i czas. Warszawa jest szybka, głodna, może w pędzie o tobie zapomnieć. Tutaj migracyjna wioska ogarnęła mnie szybciej niż tego chciałam.

„Idź jutro do Ali po laktator, pracuje dwie ulice od ciebie" – dostawałam wiadomości z zadaniem do wykonania. „Jaki laktator, dziewczyno, jestem w początku czwartego miesiąca ciąży..." – odpowiadałam niepewna, jak się to wszystko potoczy, ale przekonana, że na gromadzenie specjalistycznych sprzętów jest o wiele za wcześnie. Już nawet nie mówię, że to zapeszanie, ale po prostu nie wiem jeszcze, po co to wszystko jest i czy tego potrzebuję. „Wiesz, ile to kosztuje w sklepie? Idź, ona chce w zamian tylko wino. Przeprowadza się pod koniec tygodnia, nie będzie czekać!" – zaordynowała sołtyska kobiecej wioski.

No to poszłam, a potem jeszcze chodziliśmy do wielu osób po bardzo różne rzeczy. Aż ktoś zapytał: „Czy planujecie *baby shower?*". Raz, że to jakoś nie w moim stylu, a dwa, że ze strychów, piwnic i szaf znajomych i nieznajomych zalał nas potok rzeczy. Ciężkie wory ciążowych ciuchów po koleżankach (nigdy nie miałam tylu spodni naraz), ubranka ich dzieci, meble, zabawki, książki... Przyjaciółki robiące paczki swoich ulubionych śpioszków i sweterków, siostra kompletująca to, co uważa za potrzebne. Nawet nowa znajoma z konferencji przywożąca z domu w Hiszpanii swoją chustę do noszenia, bo chce mi dać coś dla siebie ważnego. Mieliśmy już prawie wszystko. *Baby shower?* „Nie, to jest projekt dziecko *zero waste*" – odpowiadałam, czując lekkie konsumpcyjne ukłucie, że na razie nie wybrałam niczego sama, wszystko przyszło po kimś. Ale spokojnie, nawet dzieci *zero waste* kosztują: na to, czego brakowało, szybko wydaliśmy całe belgijskie becikowe.

Kobieca wioska to jednak nie tylko rzeczy, w których utonęliśmy. To też rozmowy, lunche, kawy, spacery, wspomnienia własnych porodów i połogów. To słuchanie kobiet zanurzonych we wczesnym macierzyństwie, które przykryło chwilowo ich doktoraty i pracę zawodową. I znów ktoś pytał z przekąsem, czy mnie to nie przytłacza, nie traumatyzuje i nie straszy, czy nie mam dość. Zupełnie nie. Nie miałam nigdy zbyt wielu matek blisko siebie, akurat nie przyjaźniłam się z nimi na tym etapie życia. Nigdy mnie to za bardzo nie ciekawiło, podobnie niewiele wiem o dzieciach. Z książek nie wszystko się wyczyta, więc słucham. Nawet w historiach o traumie i trudnościach umiem znaleźć dla siebie nie strach, lecz lekcję.

I widzę w tym podwójny dar. Kobiety z wioski dają mi wiedzę, obserwacje, wnioski i przestrogi. A ja im chyba daję okazję, by jeszcze raz mogły opowiedzieć, czasem szczegółowo, o tym jednym z najważniejszych wydarzeń ich życia, o którym jednak nie opowiada się potem często. Trochę jakby nagle otworzyły się jakieś tunele porozumienia. Nad zwykłą kawą wydarza się siostrzana intymność prawie obcych osób. Tkamy wioskę. Przyda się też w przyszłości. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

EU Navigate
Supporting older people with cancer

Wsparcie nawigatora w chorobie nowotworowej

Masz diagnozę choroby nowotworowej i jesteś osobą 70+? Trudno Ci poruszać się w systemie opieki zdrowotnej? Chciałbyś, aby ktoś Cię wysłuchał i wskazał kierunek?

A może bliska Ci osoba starsza zmaga się z chorobą nowotworową? Nie potrafi się odnaleźć w nowej sytuacji? Przerasta ją organizacja leczenia? Chciałbyś pomóc, ale sam czujesz się bezradny?

W takiej sytuacji może przyjść z pomocą program wsparcia EU Navigate realizowany przez zespół Pracowni Badań nad Starzejącym się Społeczeństwem Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum w Krakowie, kierowany przez prof. Katarzynę Szczerbińską. Jego celem jest ułatwienie pacjentom i ich rodzinom poruszania się po skomplikowanym systemie opieki zdrowotnej i społecznej oraz zapewnienie wsparcia emocjonalnego.

CO WIEMY O CHOROBIE NOWOTWOROWEJ U OSÓB STARSZYCH

Większość nowotworów diagnozuje się u osób po 65. roku życia. W tym wieku choroba często nie jest jedyną dolegliwością. Nic dziwnego, że wielu starszych pacjentów traci energię, coraz rzadziej wychodzi z domu i zamyka się w sobie.

JAK FUNKCJONUJE STARSZY PACJENT W SYSTEMIE OCHRONY ZDROWIA

Wiemy, że oprócz problemów zdrowotnych u pacjentów pojawia się frustracja związana z leczeniem. Skomplikowany system opieki zdrowotnej i konieczność odwiedzania wielu różnych placówek sprawiają, że pacjenci czują się zagubieni. Wiele osób ma trudności ze zrozumieniem zaleceń lekarskich i nie wie, do kogo się zwrócić po pomoc.

MOŻLIWA FORMA WSPARCIA

Jeśli ten opis pasuje do Twojej sytuacji lub bliskiej Ci osoby, zachęcamy do uczestnictwa w programie EU Navigate. Program ten zapewnia nieodpłatne, roczne wsparcie tzw. nawigatora, czyli osoby przeszkolonej w pomaganiu pacjentom onkologicznym.

MATERIAŁ PRASOWY

Na naszej stronie **https://pbss.cm-uj.krakow.pl/** w zakładce „projekt EU Navigate" znajdą Państwo szczegóły projektu, link do audycji w Radiu Kraków, wypowiedź prof. KATARZYNY SZCZERBIŃSKIEJ (na zdjęciu), link do wydania Kroniki Krakowskiej z naszym udziałem oraz informator o usługach i instytucjach na terenie Krakowa.

KIM DOKŁADNIE JEST NAWIGATOR?

Rola nawigatora polega na pomocy w poruszaniu się po systemie ochrony zdrowia i pomocy społecznej. Nawigator dostarcza też informacji o dostępnych usługach w miejscu zamieszkania chorego (np. możliwość pozyskania sprzętu medycznego czy pomoc w przygotowaniu pism urzędowych). Z drugiej strony nawigator jest również osobą, z którą można porozmawiać o trudnych doświadczeniach związanych z chorobą czy procesem leczenia, a tym samym otrzymać tak ważne w tym czasie wsparcie emocjonalne.

Nawigatorzy zatrudnieni w ramach programu ukończyli specjalistyczne szkolenie i regularnie uczestniczą w treningach z zakresu psychologii i pracy z pacjentami onkologicznymi. Co mówią o swojej pracy? „Projekt wypełnia lukę między pacjentem a opieką szpitalną". „To bardzo motywujące, kiedy mogę dać drugiej osobie przestrzeń, jeżeli nie ma nikogo wokół, kto chciałby jej wysłuchać, lub jest, ale boi się rozmawiać o chorobie".

KTO MOŻE OTRZYMAĆ WSPARCIE

Do programu mogą zgłaszać się osoby powyżej 70. roku życia mieszkające w Krakowie lub w Wieliczce, które chorują na nowotwór i w ostatnim półroczu zauważyły, że pogorszyła się ich sprawność. Zapraszamy również opiekunów rodzinnych lub nieformalnych, czyli osoby, które regularnie wspierają pacjenta w codziennym funkcjonowaniu.

JAK SIĘ ZGŁOSIĆ

Osoby zainteresowane udziałem w programie zachęcamy do kontaktu z Pracownią Badań nad Starzejącym się Społeczeństwem pod numerem telefonu 502 186 434 od poniedziałku do piątku w godzinach 7.30-15.30. Badaczki Pracowni czekają na Państwa i udzielą bliższych informacji, wyjaśnią wątpliwości lub umówią się na rozmowę.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

ZDROWA STAROŚĆ

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 9/2025

Więcej spokoju

KS. ADAM BONIECKI:

Starość jest nowym sposobem istnienia. Trzeba się w nim odnaleźć i doistnieć.

ANNA GOC: Kiedy zaczyna się starość?

KS. ADAM BONIECKI: Być może coraz częstsze stłuczki samochodowe, choć niegroźne, powinny dać nam do myślenia.

„Tylko co robić z bliźnim w cinquecento, który wlecze się lewym pasem (przeznaczonym do wyprzedzania, ale z asfaltem mniej niż na pasie prawym rozjeżdżonym przez TIR-y)? Trąbić? Migać światłami? Cierpliwie jechać za nim, że się zorientuje? W każdym razie mam go kochać jak siebie samego" – żartowałeś wiele lat temu w „Vademecum kierowcy". Ze starości też da się pożartować?

Ze starości dowcipkuje się świetnie, dopóki jest teorią. Kiedy staje się realnością, robi się mniej śmiesznie.

Jeszcze kilka lat temu wyciągnąłbym rękę po książkę, która leży na stole, nie wstając z fotela. Teraz muszę powtarzać sobie w duchu, żeby najpierw dojść do stołu, a potem po nią sięgać. Dawniej sprawa przyjścia czy dojechania na spotkanie nie była problemem. Nawet się o tym nie myślało. Zmęczenie? Wystarczała drzemka.

W starości rzeczy, które kiedyś były dla nas czymś normalnym, stają się sukcesem.

Zaskakuje też to, co starość, czy choroba, robią z pamięcią. Wszystko się zawęża: wiedza, zainteresowania, wspomnienia. Niektórych rzeczy w ogóle się nie pamięta.

I to spada na człowieka nagle.

Bez żadnych sygnałów ostrzegawczych?

Znaki, że starość się zbliża, pojawiają się wcześniej, ale potrafimy je skutecznie ignorować. Widzimy, że pewne rzeczy przychodzą nam z większym trudem, zajmują więcej czasu, udajemy jednak, że wcale tak nie jest, że wciąż możemy robić tyle, ile wcześniej.

Moja starość przyszła nagle, dokładnie wiem kiedy. Położyłem się spać jako działający normalnie człowiek, obudziłem – z udarem.

Nie od razu wiedziałem, że mam wylew. Zjadłem śniadanie, ubrałem się, wyszedłem z domu. Nie czułem się chory, ale wiedziałem, że coś się zmieniło, inaczej się poruszałem. Wszystko zajmowało mi więcej czasu. Wsiadłem do redakcyjnego busa, którym mieliśmy jechać na spotkanie autorskie. Ktoś mnie o coś zapytał, odpowiedziałem – ale cicho i niezrozumiale.

Wtedy zaczęła się moja starość. Nowy sposób istnienia.

To znaczy?

GRAŻYNA MAKARA

KS. ADAM BONIECKI jest dziennikarzem, duszpasterzem i redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

Niektórzy mówią, że starość jest nowym etapem w życiu. Dla mnie jest nowym sposobem istnienia. Trzeba się w nim odnaleźć i doistnieć.

Pojawia się odruch, żeby się poddać.

Człowiekowi strasznie nie chce się chodzić, ale ci, którzy nie próbują, mogą nie mieć kolejnej szansy, bo mięśnie powoli zanikają. Podobnie jest z pamięcią – zaniedbywana cofa się jeszcze bardziej. Żmudna, ale dająca efekty praca polega na tym, żeby tworzyć nowe połączenia w mózgu, wydobywać to, co zapomniane.

Na tym etapie zaczyna się myślenie o tym, co zrobić, żeby nie dać się zepchnąć do stanu wegetatywnego. Żeby zachować pozabiologiczną wyobraźnię

i zainteresowania. Nie sprowadzić życia do jedzenia, mycia, spania. O ile to jeszcze możliwe.

Od czegoś to zależy?

O starości trudno mówić, bo starość jest rozmaita, ma różny przebieg. Na to, jak odnajdziemy się w starości, pracuje się przez całe życie. Co nas interesowało? Czym się zajmowaliśmy? Czy dbaliśmy o przyjaciół?

Przez całe życie spadają na nas rzeczy głęboko bolesne – dostajemy diagnozy, opuszczają nas ludzie, których kochaliśmy, umierają bliscy. To jest bolesne, nie do naprawienia, ale przecież nie będziemy o własnym bólu ciągle opowiadać, trzeba mieć inne rzeczy, którymi można się zająć. Musimy zadawać sobie pytanie, co robić, żeby one nie zasłaniały nam całego świata.

Niezależnie od wieku można poddać się swojemu chwilowemu nieszczęściu. Skoncentrować się na nim. Nie każdy od razu potrafi przyjmować niepowodzenia i klęski jako naturalną część życia. Ale tego da się, a nawet trzeba nauczyć.

W jednym z dawnych tekstów, z podróży po Alasce, opisywałeś starego człowieka i jego zmagania z morzem, które wciągało przycumowany do wybrzeża kuter. „W jego samotnej walce widzę obraz mojego życia i życia wielu znanych mi ludzi. Walka uporczywa i beznadziejna, w której nie można wygrać i nie można ustąpić, walka o przesunięcie opornego ciężaru na stały ląd o kilka centymetrów głębiej, wiedząc, że następna fala być może z powrotem zepchnie kuter do wody”.

Być może łatwiej mi mówić, bo w zakonie nauczyłem się samotności. Także radzenia sobie z trudnymi sprawami w samotności. Te dziedziny, mimo woli, opanowałem dobrze. Ktoś mnie czasem odwiedzi, ale zwykle jestem sam. I to mnie nie przeraża.

Lęk przed samotnością, starością istnieje. Rozumiem go. Dla ludzi, którzy żyli z innymi, których istnienie opierało się na ciągłej komunikacji, starość i związana z nią samotność mogą być trudne. Dotąd potrzebni, zaangażowani w różne sprawy – swoje, swoich dzieci i wnuków, nagle, gdy kończą się dotychczasowe zadania, czują się odstawieni na boczny tor, niepotrzebni. Jednak potem, gdy wchodzi się w starość, człowiek zdaje sobie sprawę, że może nie jest aż tak strasznie.

Po jednym z Twoich spotkań autorskich wstał młody chłopak i powiedział, że czuje pustkę i nie wie, co z nią zrobić.

Jeśli choć raz spróbujemy przejść przez trudny moment, nie udawać, że go nie ma, być może kolejnym razem będzie nieco łatwiej. Można próbować samemu, można z czyjąś pomocą.

Ludzie zmagają się, zadają sobie szereg pytań. W co angażowałem swój czas? Czy to miało sens? Dlaczego ktoś, kogo kochałem, odszedł? Takie doświadczenia, jeśli ich za wszelką cenę nie będziemy próbowali zagłuszać, mogą okazać się nawet oczyszczające.

W życiu mamy zwykle bardzo dużo ważnych rzeczy. Właściwie trudno powiedzieć, co jest najważniejsze. Nic w tym złego, takie jest życie. Ale w pewnym momencie, może właśnie wtedy, gdy czujemy starość, to wszystko, czym żyliśmy, unicestwia się. Zmienia się poczucie ważności spraw.

Co jest wtedy ważne?

Żeby umierać możliwie przytomnie. Wiem, że nie takiej odpowiedzi oczekuje się od starych ludzi. Ale nie myśl, że to jest proste. Człowiek ma w życiu różne cele – bliższe, dalsze. Teraz mam jeden – żeby zachować przytomność, choć wiem, że to nie zależy ode mnie.

Człowiek w zakonie wprawia się w myślenie o swojej śmiertelności. Co miesiąc robię gruntowny rachunek sumienia, który jest przypomnieniem o śmierci. Być może dlatego myślenie o śmierci nie jest takie trudne. Raczej realne, bez dramatyzowania. Tego też trzeba się nauczyć.

Na starość zupełnie zmienia się myślenie o sprawach wiary.

W jaki sposób?

Dotychczasowe wyobrażenia o tym, co „będzie po”, wizje tego, jak to może wyglądać, stają się bezużyteczne. Jest za to więcej spokoju.

Jeśli mi się uda, przyjdę i opowiem. Choć już niejeden obiecywał, że przyjdzie po śmierci, i prawie nikt nie przyszedł.

Warto pamiętać, że ten moment nadejdzie. Od dawna mam świadomość, że wszystko może się lada moment skończyć. Że nasz czas jest ograniczony. Gdy ma się czterdzieści lat, czuje się, że życie jest nieskończone. Potem coraz częściej dociera do nas, że pewnych rzeczy w życiu już nie zrobimy. Jeśli nie podejmiemy decyzji w odpowiednim momencie, kolejnej okazji może już nie być. Fatalnie, jeśli czuje się, że wszystko można odłożyć.

Przybywa wolności?

Są różne egoizmy, które przeszkadzają w życiu. Chęć bycia obecnym, lepszym niż inni. Na starość to wszystko staje się nieistotne. Znika potrzeba rywalizacji. Wiesz, że odchodzisz, że nie będziesz już zajmował ważnego miejsca.

W starości można się jednak urządzić. Wydaje nam się, że to już koniec, miałem takie myśli tuż po udarze. A potem okazało się, że człowiek powoli wraca do siebie, lepiej funkcjonuje, odzyskuje pamięć. Umieranie może wcale nie jest jeszcze konieczne. Może wystarczy na chwilę przemeblować sposób życia?

Teraz jestem zajęty tym, żeby zachować normalność, mniej więcej.

Normalność, czyli?

Wstawanie rano, pisanie, czytanie. Dzisiaj przeczytałem połowę „Tygodnika”. Prawdę mówiąc, także po to, żeby nie pisać własnego tekstu. Ale to też jest chyba przejaw normalności, nie? Tym bardziej że nie straciłem czasu, przecież czytałem!

Trzeba sobie wyobrazić, że to wszystko będzie trwało dalej, nawet jeśli nas już nie będzie. Pismo będzie wychodziło, ludzie będą pisali. Znika się powoli z pamięci, dwa lub trzy pokolenia – znika się zupełnie. I z tym trzeba się pogodzić.

Oglądasz się za siebie?

Czasem, choć z niechęcią. Są takie rozdziały w moim życiu, przy których pojawia się pokusa, żeby o nich nie pamiętać. Zminimalizować te momenty, w których nie jesteśmy specjalnie z siebie dumni. Z tego, że trwaliśmy w pewnych rzeczach, choć było wiadomo, że trzeba z nich wyjść. Że podejmowaliśmy jakieś decyzje, choć czuliśmy, że należało zdecydować inaczej.

Są ludzie, którzy mają poczucie, że wspaniale przeżyli życie. Ja o swoim życiu tak nie myślę. Ale może nie trzeba przeżyć całego życia wspaniale, może wystarczy, że coś było w nim wspaniałego?

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Centrum Opieki Geriatrycznej w Sopocie. Listopad 2019 r.

Jak się zdrowo starzeć

PROF. JERZY GĄSOWSKI, GERIATRA:

Im bardziej angażujemy się społecznie, tym nasze życie ma wyższą jakość. Nawet jeżeli jesteśmy obciążeni chorobami, żyje się nam zdrowiej i dłużej.

JERZY DZIEKOŃSKI: Kiedy zaczyna się starość?

PROF. JERZY GĄSOWSKI: Starzenie się to proces rozciągnięty w czasie. Niektórzy uważają, że człowiek ma tyle lat, na ile się czuje, i jest w tym nieco prawdy. Żeby jednak dostać skierowanie do poradni geriatrycznej, trzeba mieć ukończone 60 lat. Nie jest to bezpodstawnie ustanowiona przez NFZ granica, bo ma uzasadnienie w fizjologii człowieka i pokrywa się z definicją starości określoną przez WHO. Nieco inaczej patrzy na tę kwestię Eurostat, który wyznaczył 65. rok życia na moment, w którym człowiek przestaje mieścić się w wieku produkcyjnym.

Żyjemy jednak coraz dłużej, również w dobrym zdrowiu, w związku z czym coraz częściej mówi się o wieku 70, a nawet 75 lat. Jest jeszcze określenie późnej starości i tu punkt odcięcia wyznacza się na 80. albo 85. rok życia, co wiąże się ze zjawiskiem pozytywnym, zwanym długowiecznością. Struktura piramidy demograficznej zmienia się: najszybciej przyrastającą statystycznie grupą wiekową w polskim społeczeństwie stanowią osoby, które ukończyły 80. rok życia.

A co z fizjologią w tym procesie?

Gdybyśmy ustawili na Rynku w Krakowie stoisko i postanowili zbadać ciśnienie tętnicze losowo wybranej grupy w wieku od 30. do 90. roku życia, to zobaczylibyśmy prawidłowość: ciśnienie skurczowe wzrasta razem z wiekiem, a rozkurczowe od ok. 55.-60. roku życia; dalej wypłaszcza się i zaczyna opadać. Punkt, w którym obie krzywe rozchodzą się – czyli ciśnienie skurczowe rośnie, a rozkurczowe opada, wypadłby ok. 60.-65. roku życia. I tu dyskusje się kończą, zmiany czarno na białym możemy zobaczyć za pomocą prostego urządzenia do mierzenia ciśnienia.

Wiąże się to z postępującym z wiekiem sztywnieniem aorty i ma daleko idące implikacje w patofizjologii chorób układu krążenia, zwłaszcza nadciśnienia tętniczego. Oczywiście wiele się zmieniło, dzisiejszy 75-latek często funkcjonuje lepiej niż 65-latek sprzed kilkudziesięciu lat. Stąd też propozycje przesuwania granicy starości. Niestety, rosnąca długość życia (również tego w dobrej jakości) na poziomie populacyjnym wiąże się ze wzrostem liczby lat przeżywanych w niesprawności.

Jakie są choroby charakterystyczne dla wieku senioralnego?

Zacznijmy od tego, że starość sama w sobie nie jest chorobą. W naszych ciałach zachodzą procesy związane z inwolucją układów i narządów i nie jesteśmy w stanie tego odwrócić. Najłatwiej dostrzec to po starzeniu się skóry i tkanki podskórnej: robią się zmarszczki, zmienia się jakość kolagenu, skóra jest mniej jędrna i elastyczna. Obok chorób ze starością wiążą się typowe objawy, wśród których dominują dolegliwości bólowe, zwłaszcza dotyczące układu kostno-szkieletowego.

Typowym dla starszego wieku schorzeniem jest nadciśnienie tętnicze. Każda osoba, która dożywa ok. 50-55 lat, musi mierzyć się z 90-proc. ryzykiem jego rozwinięcia. Innymi słowy, wartości ciśnienia tętniczego u 9 na 10 żyjących osób w pewnym momencie będą przewlekle na tyle wysokie, że niezbędne będzie przyjmowanie leków przeciwnadciśnieniowych.

A na czym polega migotanie przedsionków?

Pacjent odczuwa chaotyczną pracę serca, co spowodowane jest nieuporządkowanym przekazywaniem impulsów aktywujących skurcz komór, a w konsekwencji komory serca nie są w optymalny sposób wypełniane. U starszych osób ze względu na usztywnienie, zwłaszcza lewej komory, skurcz przedsionka jest bardzo istotny. W migotaniu przedsionków on wypada i go po prostu nie ma.

Wspólnym mianownikiem dla powstawania tej oraz innych arytmii czy np. zaburzeń przewodzenia jest rozwój miażdżycy naczyń wieńcowych, czyli choroby niedokrwiennej serca. Jej częstość występowania również rośnie z wiekiem. Choroba ta w niektórych przypadkach prowadzi do ostrego zespołu wieńcowego, a w skrajnej postaci do zawału serca. Trzeba jeszcze wspomnieć o niewydolności serca oraz o możliwych powikłaniach miażdżycowych w samej aorcie, takich jak tętniak aorty, czy powikłaniach mózgowych jak udar mózgu.

Ale człowiek to nie tylko układ krążenia.

Funkcja nerek mniej więcej od 35.-40. roku życia zmniejsza się o 1 proc. rocznie. Skoro na ten naturalny proces nakładają się rozmaite stany chorobowe, infekcje, niedokrwienie, ciężkie stany ogólne, to rozwinięcie przewlekłej choroby nerek w wieku podeszłym nie stanowi rzadkości. U osób w zaawansowanym wieku nie przeprowadza się przeszczepiania nerek, więc w skrajnych przypadkach do końca życia pozostają w programie leczenia nerkozastępczego przy pomocy hemodializ.

Dalej mamy choroby układu kostno-szkieletowego,, chorobę zwyrodnieniową stawów – kręgosłupa, ale także stawów obwodowych. Zmiany te często widoczne są gołym okiem.

A schorzenia neurodegeneracyjne?

One w przestrzeni publicznej wiążą się z ogromnymi obawami. Przykładem jest choroba Alzheimera, najczęstsza przyczyna otępienia u osób po 60. roku życia. Szacuje się, że powoduje ona ok. 70 proc. przypadków demencji. Przy czym nie używamy określenia demencja starcza, bo nie u każdej osoby w starszym wieku rozwinie się otępienie. Mówimy o procesie neurodegeneracyjnym prowadzącym do zaburzeń funkcji poznawczych na tyle zaawansowanych, że zaczynają one mocno wpływać na codzienne życie. Oczywiście procesy neurodegeneracyjne wiążą się nie tylko z chorobą Alzheimera, ale też np. z zaburzeniami naczyniowymi.

Do chorób neurodegeneracyjnych, które występują u osób w starszym wieku, zaliczamy także chorobę Parkinsona, która powoduje zaburzenia koordynacji ruchowej z szeroką gamą możliwych zaburzeń neurologicznych.

Tymi wszystkimi chorobami zajmuje się geriatra?

Jeśli spojrzymy na przekrój schorzeń u osób starszych, na grupy układów i narządów, których dotyczą te patologie, okaże się, że do ich leczenia potrzebne będą różne specjalności medyczne: neurologia, psychiatria, kardiologia czy nefrologia. I tu dochodzimy do ważnej z punktu widzenia pacjenta i systemu kwestii, mianowicie do umocowania specjalności, jaką jest geriatria. Jej zadaniem jest w pewnym sensie „rekonstrukcja" człowieka w poprzek wszystkich wymienionych specjalności.

ANDRZEJ BANAŚ / EAST NEWS

PROF. JERZY GĄSOWSKI pracuje w Katedrze Chorób Wewnętrznych i Gerontologii UJ CM, jest prezesem Kolegium Lekarzy Specjalistów Geriatrii w Polsce.

Próbujemy podchodzić do pacjenta w sposób holistyczny. Wiemy, że u starszej osoby, która ma dziesięć czy kilkanaście przewlekłych rozpoznań chorobowych, która przyjmuje codziennie kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt leków, trudno wyabstrahować pojedynczy narząd i nim się zająć. Podeszły wiek cechuje się rozwojem stanów, które określają pewną predyspozycję do chorób wychodzącą poza fizjologię starzenia. Sztandarowym przykładem jest tzw. zespół kruchości. Zwykle w jego centrum znajduje się ubytek masy mięśniowej, pogorszenie architektury mięśni i ich funkcji, czyli tzw. sarkopenia, zaś wokół rozgrywają się rozmaite fenomeny patofizjologiczne, jak przetrwały niskonasilony stan zapalny, nadmierna kumulacja czynników ryzyka sercowo-naczyniowego czy zmiany neuroendokrynne.

Czym się przejawia ta tzw. kruchość?

Możemy różnie ją mierzyć, np. poprzez ocenę jej składowych elementów. Przykładem niech będzie mała siła mięśniowa oceniana przy pomocy dynamometru albo prostego ćwiczenia pięciokrotnego wstawania z krzesła. Poza tym osoba obciążona kruchością ma małą energię życiową. Jeżeli pacjent zgadza się ze stwierdzeniem, że wszystko, co robi, sprawia mu trudność, możemy stwierdzić, że wynika to z osłabienia siły witalnej. To z kolei, razem z kilkoma innymi elementami, daje nam obraz kruchości będącej fenotypem niekorzystnego starzenia się. Osoba krucha ma większe ryzyko zachorowań, gorsze rokowanie w przypadku zachorowania i znacznie wyższe prawdopodobieństwo szybkiego pogorszenia w wymiarze codziennego funkcjonowania.

Co robić, żeby nie wspinać się po skali kruchości i starzeć się zdrowo?

W pierwszej kolejności warto spojrzeć na tzw. sieć połączeń społecznych. Okazuje się, że im bardziej angażujemy się społecznie: utrzymujemy relacje z rodziną, znajomymi, często rozmawiamy przez telefon, spotykamy się, chodzimy do teatru, na koncerty czy do kościoła – tym nasze życie ma wyższą jakość. Nawet jeżeli jesteśmy obciążeni rozmaitymi chorobami, żyjemy zdrowiej i dłużej.

Przytoczę słowa mojego nieżyjącego już pierwszego szefa, prof. Józefa Kocemby: jeżeli moglibyśmy wybrać jedynie dwie rzeczy, które mogą pomóc starszej osobie, to powinniśmy zalecić adekwatny do stanu ruch i odpowiednią dietę. To podstawy dobrego życia, które doskonale wpływają nie tylko na sylwetkę, mięśnie i układ kostno-stawowy i centralny system nerwowy. A także na metabolizm, odsuwanie w czasie insulinooporności, i co za tym idzie, ryzyka rozwoju cukrzycy typu 2.

Oczywiście, mamy na rynku wiele suplementów witaminowych, które mają pomóc zdrowo się starzeć. Istnieje koncepcja senolityków, mających opóźniać, a nawet odwracać procesy starzenia. W medycynie przeciwstarzeniowej wciąż trwa poszukiwanie kamienia filozoficznego. W mojej opinii nic nie zastąpi trzech elementów, o których wspomniałem: kontaktów społecznych, adekwatnego ruchu i odpowiednio zbilansowanej diety. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 9/2025
REDAKCJA: Maciej Müller | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska | ZDJĘCIE NA OKŁADCE: DAVID L / ADOBE STOCK

PARTNEREM DODATKU JEST
ERGO HESTIA

Na ulicy bez pamięci

JERZY DZIEKOŃSKI

Starość, samotność, demencja, bezdomność. Taka sekwencja wydarzeń może być w starzejącym się społeczeństwie udziałem coraz większej liczby Polaków.

Wózek inwalidzki stał kilka centymetrów od bramy Szpitala Grochowskiego, przed podjazdem karetek. W pozycji półleżącej, z rękoma splecionymi na brzuchu, drzemał na wózku starszy mężczyzna. Smętnie zwisała pusta nogawka, jeden but był na swoim miejscu, czyli na lewej nodze, pod wózkiem leżał drugi oraz siatka z ciastkami i papierami. 2 grudnia, około południa, temperatura w Warszawie wynosiła ok. 2 st. Celsjusza.

Niewidzialny kolega

– Czy potrzebuje pan pomocy? – zapytałem.

– Wszystko w porządku, za chwilę jadę do domu – odpowiedział, a ja wróciłem do swoich spraw.

Kiedy wracałem cztery godziny później, wózek pod szpitalną bramą stał nadal. Siedzący na nim mężczyzna podobnie jak wcześniej spokojnie przekonywał, że nie potrzebuje pomocy. Tyle że teraz telepał się z zimna, a z jego nosa zwisały kilkunastocentymetrowe smugi smarków.

Zacząłem dopytywać. Okazało się, że ma na imię Ryszard, został wypisany ze szpitala i zamierza jechać do domu w jednej z mazowieckich miejscowości. Zaniepokoiło mnie jedno: stwierdził, że jest na przystanku i za chwilę wsiada do autobusu, wskazując przy tym na zaparkowany obok samochód osobowy. Rozmawiał też z niewidzialnym dla mnie Darkiem. Prosił go o ogień i palił niewidzialne papierosy.

Pan Ryszard wykazywał cechy zaburzeń demencyjnych lub psychicznych. Pewne było to, że nie zdawał sobie sprawy ze swojego położenia. Nie jestem medykiem, ale w mojej niefachowej ocenie przesłanka zagrożenia życia i zdrowia rysowała się coraz wyraźniej. Ruszyłem na izbę przyjęć.

Proszę dzwonić do straży

– To bezdomny. Nie chciał transportu medycznego. Jak chce pan pomóc, to trzeba dzwonić do straży miejskiej – poinstruowała mnie rejestratorka. Skorzystałem z rady. Po 20 minutach przyjechał patrol i rozpoczęły się negocjacje. Pan Ryszard nie chciał słyszeć o noclegowni ani schronisku. Twierdził przy tym, że znajduje się w innej miejscowości, że musi jechać, i że za chwilę wsiada do autobusu, bo ma sprawy do załatwienia.

– Pojedzie pan jutro, jak się pan wyśpi i coś zje – chóralnie przekonywaliśmy ze strażnikami miejskimi. Odpowiedź brzmiała: nie. Funkcjonariusze sprawdzili, czy jest trzeźwy. Alkomat pokazał 0.00. Postanowili również poszukać pomocy na izbie przyjęć.

– Proszę dzwonić po karetkę – poradzili pracownicy szpitala, mimo że wózek stał mniej niż 100 metrów od drzwi. W międzyczasie zatelefonowałem do partnerki, która przyniosła kubek gorącej herbaty. Mężczyzna wypił ją niemal duszkiem. Ciepło przyniosło zmianę. Usłyszeliśmy: tak, chcę jechać. Od tego momentu więcej go nie widziałem.

Nie ma wskazań

Nazajutrz wróciłem z pytaniem do Referatu Prasowego Straży Miejskiej m.st. Warszawy, żeby dowiedzieć się, jak historia potoczyła się dalej.

„Strażnicy miejscy mają ograniczone pole działania w sytuacjach, gdy osoba (...) wykazuje objawy demencji, choroby psychicznej lub znajduje się w stanie zagrażającym jej życiu bądź zdrowiu. W takich przypadkach niezwłocznie wzywają na miejsce pogotowie ratunkowe. To służby medyczne podejmują decyzję o ewentualnej hospitalizacji lub skierowaniu do odpowiedniej placówki. W opisywanej sytuacji, po przeprowadzeniu rozmowy w szpitalu, strażnicy uzyskali informację, że stan mężczyzny nie zagraża jego życiu ani zdrowiu – czytam w odpowiedzi Straży Miejskiej. – Działania strażników miały w związku z tym charakter pomocowy i były ukierunkowane na zabezpieczenie schronienia oraz noclegu (...). Funkcjonariusze skontaktowali się ze służbą dyżurną VII Oddziału Terenowego w celu ustalenia miejsca, do którego mogliby przewieźć 62-latka. (...) Mężczyzna został przewieziony do noclegowni na terenie Białołęki w Warszawie. Transport odbył się zgodnie z obowiązującymi procedurami, które wymagają zgody osoby przewożonej”.

Podobnie asekuracyjny ton przyjmuje Szpital Grochowski w Warszawie: „Po wnikliwym przeanalizowaniu sprawy, niniejszym wskazujemy, że w sytuacji gdy nie ma wskazań medycznych do przyjęcia do Szpitala, pacjent nie jest przyjmowany do oddziału. Pacjent, odmawiając pomocy oraz transportu, był świadomy. W odniesieniu do wewnętrznych procedur Szpitala wskazujemy, że Izba Przyjęć posiada wykaz miejsc pomocy niskoprogowej, ponadto w strukturach Szpitala działa pracownik socjalny, który jest często wzywany przez personel Izby Przyjęć w celu wsparcia przy zabezpieczeniu osoby w kryzysie, ale dana osoba musi wyrazić chęć przyjęcia pomocy”.

Przesłanki o zagrożeniu

Innego zdania jest Bartłomiej Matyszewski, wiceprezes Fundacji Fortior, ratownik medyczny, pracownik schroniska dla bezdomnych prowadzonego przez Wspólnotę Chleb Życia siostry

AMELIE BENOIST / EAST NEWS

Warsztaty arteterapii dla osób z demencją prowadzone w domu spokojnej starości w Rueil-Malmaison. Francja, 2018 r.

Chmielewskiej, człowiek, który od wielu lat pomaga ludziom na ulicy i dzięki któremu udało mi się prześledzić dalszą ścieżkę pana Ryszarda. A ta nie zakończyła się w schronisku w Białołęce. Nie pozwalał na to jego stan zdrowia. Został przewieziony najpierw do schroniska siostry Chmielewskiej, gdzie oferowane są także świadczenia opiekuńcze, a następnie – po ocenie jego stanu przez ratowników – ponownie do szpitala.

– Kompletnie nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie jest i co się z nim dzieje. Jeżeli istnieją przesłanki o zagrożeniu zdrowia i życia, zgodnie z ustawą o ochronie zdrowia psychicznego, po ocenie przez medyków, że pacjent nie jest świadomy swojego położenia, nawet w sytuacji niezgody udzielenie pomocy jest obowiązkiem – wyjaśnia Matyszewski. – Ten konkretny człowiek nie powinien opuścić szpitala. Nawet jeśli nie było dla niego miejsca na oddziale w tej konkretnej placówce, powinien zostać przekazany do innej.

Oprócz złego stanu psychicznego, wskazującego na chorobę demencyjną, pan Ryszard zmagał się wieloma innymi problemami zdrowotnymi. Z wypisu wynika, że do Szpitala Grochowskiego został przewieziony w nocy z powodu bólu w okolicach nadbrzusza i wyziębienia. Od czterech dni nie jadł.

Kilka lat temu miał wyłonioną stomię z powodu skrętu jelit. Ta wypadła jakiś czas temu z powodu niezmieniania worków stomijnych. W miejscu jej wyłonienia pojawiły się zmiany martwicze. Kolejny niepokojący objaw to liczne i rozległe owrzodzenia, wskazujące na długotrwałe zaniedbania higieniczne. Do tego przepuklina w miejscach po laparotomii. Stwierdzono także zespół uzależnienia od alkoholu. Mimo to ze Szpitala Grochowskiego wypisano go już następnego dnia – o 7.40, co oznacza, że zanim został przewieziony przez straż miejską do schroniska, następnie do kolejnego, i w końcu znowu do szpitala, pod bramą izby przyjęć przesiedział bez ruchu 9 godzin.

Wieloletni brak wsparcia

Statystyki dotyczące osób w kryzysie bezdomności nie wskazują jednoznacznie, że przyczyny utraty dachu nad głową mogą wiązać się z zaburzeniami otępiennymi. Według danych zgromadzonych przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w szóstym ogólnopolskim badaniu osób bezdomnych, problem ten dotyka nieco ponad 31 tys. Polaków. Ledwie 7 proc. jako przyczynę bezdomności wskazuje problemy zdrowotne. Głównym czynnikiem wciąż pozostaje uzależnienie od alkoholu (19 proc.), są nimi także konflikt rodzinny (17 proc.), eksmisja (11 proc.), rozpad związku (8 proc.), utrata pracy (7 proc.). Zdrowie wymieniane jest na końcu.

Jeżeli jednak spojrzymy na strukturę wiekową badanych, okaże się, że 70 proc. stanowią osoby w wieku produkcyjnym. Z drugiej strony aż jedna trzecia to ludzie w wieku emerytalnym (głównie mężczyźni). Można zatem przypuszczać, że w tej grupie akcenty dotyczące przyczyn bezdomności rozkładają się inaczej. O tym jednak oficjalne statystyki milczą.

Poza tym, jak wskazuje wiceprezes Fundacji Fortior, najnowsze badania dotyczące zjawiska bezdomności kolidują z danymi ministerialnymi. – Bardzo często uzależnienie od alkoholu czy narkotyków, które obserwujemy u osób w kryzysie bezdomności, to tylko efekt pewnych doświadczeń. Uzależnienie jest objawem czegoś, co wydarzyło się w przeszłości, z czym ludzie sobie nie radzą. Tak naprawdę główną przyczyną jest wieloletni brak wsparcia. To konsekwencje PTSD, przemocy, urodzenia się w nieodpowiednim miejscu i czasie – wyjaśnia Bartłomiej Matyszewski.

Z jego 12-letnich doświadczeń pracy na ulicy wynika, że „pensjonariuszami" schronisk, zwłaszcza oferujących świadczenia opiekuńcze, w znaczącym odsetku są ludzie doświadczający różnego rodzaju zaburzeń neurologicznych i szeroko rozumianych kryzysów psychicznych. Bardzo często w wieku senioralnym. Ta grupa jest najbardziej bezbronna wobec powszechnej narracji nastawionej na sukces.

– Często są to osoby po urazach, po mikroudarach, przechodzonych bezobjawowo, które przynoszą jednak konsekwencje. Bywa też, że są to ludzie chorujący na choroby neurodegeneracyjne. Ale o diagnozie możemy mówić dopiero po zbadaniu przez lekarza, a to często ma miejsce dopiero, kiedy człowiek straci już dach nad głową – dodaje Matyszewski.

Szacuje się, że w Polsce chorobami otępiennymi może być dotkniętych nawet 600 tys. osób.

Epidemia demencji

Prof. Tomasz Targowski, konsultant krajowy w dziedzinie geriatrii, przyznaje, że prognozy nie są optymistyczne. W ciągu kolejnego ćwierćwiecza dane ulegną podwojeniu – ocenia się, że na świecie żyje 55 mln ludzi dotkniętych demencją, a w 2050 r. będzie ich już 115 mln.

– Jeśli chodzi o klasyczne otępienia, zazwyczaj powodują je pierwotne neurodegeneracyjne choroby ośrodkowego układu nerwowego. Wśród nich najczęściej występuje choroba Alzheimera. To ok. 50-70 proc. przypadków. Dalej jest otępienie ciałami Lewy'ego (15 proc.), czołowo-skroniowe (5-10 proc.), zdarza się też otępienie w chorobie Parkinsona (5-10 proc.). Rzadsze przyczyny to choroba Creutzfeldta-Jakoba, zespół Hakima czy choroba Huntingtona – wymienia prof. Targowski. – Ale nie tylko. Musimy pamiętać o otępieniach związanych ze schorzeniami internistycznymi, ↦

↦ z wielochorobowością. Mówimy wówczas o otępieniach naczyniopochodnych w przebiegu schorzeń układu sercowo-naczyniowego, zaburzeń lipidowych czy cukrzycy. Szacuje się, że otępienie naczyniopochodne może być nawet drugie, po alzheimerowskim, co do częstości występowania. Jest następstwem palenia papierosów i nadciśnienia tętniczego. I nie wyklucza się oczywiście, że przyczyny otępienia u danego pacjenta mogą być podwójne i wynikać np. z choroby Alzheimera oraz komponenty naczyniowej.

Zachorować może każdy. Najmłodszy odnotowany przypadek choroby Alzheimera dotyczył 19-letniego Chińczyka. Ryzyko rośnie z wiekiem – na zespoły otępienne cierpią głównie seniorzy, częściej osoby pozbawione kontaktów społecznych, nieuprawiające sportu, nadużywające alkoholu czy narkotyków, ale też chorujące na wspomniane choroby. Ryzyko rośnie także u osób przyjmujących opioidy ze wskazań medycznych, np. w leczeniu bólu w przebiegu choroby nowotworowej. Czynnikiem zwiększającym ryzyko może też być niedoczynność tarczycy, cukrzyca i nawracające incydenty hipoglikemii. W populacji najstarszej zanikają komórki okładzinowe w żołądku odpowiedzialne za produkcję czynnika Castle'a, przez co obniżone jest wchłanianie witaminy B12. Jej niedobory również mogą się przyczyniać do wystąpienia stanów otępiennych. Choroba Alzheimera dotyka częściej kobiety, natomiast na zespoły, których przyczyny są naczyniopochodne, częściej zapadają mężczyźni.

Kto może rozpoznać chorobę?

– W zasadzie każdy lekarz jest w stanie zorientować się, że ma do czynienia z pacjentem, który ma głębokie zaburzenia poznawcze. Aczkolwiek musimy zdawać sobie sprawę, że czasami w łagodnych postaciach jest to trudno wychwytywalne i wychodzi dopiero po dłuższym kontakcie – odpowiada prof. Targowski.

Świat osób cierpiących na zespoły otępienne kurczy się powoli. Choroba Alzheimera rozwija się podstępnie, stopniowo; zaczyna się od zapominania nazwisk, od zaburzeń depresyjnych. Pojawia się uczucie rozdrażnienia i podejrzliwość.

– Często chory nie ma poczucia choroby, ale pojawia się widoczna dla jego otoczenia apatia, zubożenie kontaktów towarzyskich, problemy z odnalezieniem adresu. W drugiej fazie, która przychodzi po kilku latach, chory zaczyna zapominać imiona swoich bliskich. Mogą pojawić się zaburzenia rytmu czuwania, nocne „łazikowanie", zagubienie w najbliższym otoczeniu – wyjaśnia profesor. – Taki pacjent nie jest w stanie poradzić sobie bez opieki osób trzecich. Poza tym osoby te odczuwają bardzo silny lęk przed samotnością, potrzebują mieć w zasięgu wzroku twarz osoby, którą kojarzą. Mogą niestety pojawiać się omamy i urojenia, także prześladowcze, stąd np. nieuprawnione podejrzenia o zdradę czy okradanie. Zaawansowane otępienie to nie tylko problem pacjentów, ale też ich bliskich. Spadają na nich zupełnie nowe obowiązki.

> Na świecie żyje 55 mln ludzi dotkniętych demencją, a w 2050 r. będzie ich już 115 mln. W Polsce chorobami otępiennymi może być dotkniętych nawet 600 tys. osób.

Szans na wyleczenie nie ma. Stosowane terapie mogą jedynie spowolnić postęp zmian degeneracyjnych.

Rola sąsiadów i streetworkerów

Kiedy choroba otępienna dotyka osoby samotnej, sytuacja się komplikuje. Jak podkreśla konsultant, takie osoby nie są w stanie same o siebie zadbać, nie mówiąc o prowadzeniu gospodarstwa domowego. Rozwiązaniem pozostaje zakład opiekuńczo-leczniczy albo pielęgnacyjno-leczniczy. Kłopot w tym, że miejsc w Polsce jest zaledwie 40 tys., co w zestawieniu z epidemiologią jest kroplą w morzu potrzeb. Na miejsca czekają wszyscy pacjenci wymagający całodobowej opieki. Zanim zwolni się miejsce w ZOL (czyli w praktyce zajmujący łóżko pacjent umrze), mija często wiele miesięcy. Bywa, że rodziny, nawet dalsze, umieszczają pacjentów w prywatnych domach opieki. W przypadku osób zupełnie samotnych ważną rolę odgrywają empatyczni sąsiedzi i pracownicy socjalni.

– Obecnie prowadzone są prace nad integracją opieki społecznej, socjalnej i zdrowotnej. Liczę, że międzyresortowy zespół ds. polityki senioralnej wypracuje decyzje – mówi prof. Targowski. – Z uwagi na starzenie się społeczeństwa obszary opiekuńcze coraz częściej przeplatają się ze zdrowotnymi. Rozdział kompetencji pomiędzy resortami nie ułatwia wypracowania rozwiązań, bo trudno określić, ile w dziennym domu opieki jest pomocy medycznej, a ile socjalnej, i kto ma to finansować. Dużo się mówi o projekcie dziennych centrów wsparcia, mają ruszyć programy pilotażowe dotyczące schorzeń neurodegeneracyjnych, które miałyby zapewnić m.in. domowe wsparcie dla osób cierpiących na chorobę Alzheimera czy Parkinsona. Wiele mówi się o pomocy dla opiekunów, o opiece wytchnieniowej, ale na razie to melodia przyszłości, miejmy nadzieję niedalekiej.

Sytuacja osób bezdomnych cierpiących na schorzenia otępienne jest wielokrotnie trudniejsza. Żeby trafiły do ośrodka, muszą zostać wychwycone przez streetworkerów, ratowników czy funkcjonariuszy straży miejskiej. Konieczna jest współpraca pracowników socjalnych szpitali, gminnych ośrodków pomocy społecznej oraz personelu schronisk, noclegowni i ogrzewalni.

Widać zmianę

Mimo że, jak podkreśla Bartłomiej Matyszewski, sieć systemu pomocy w ciągu ostatnich lat rozrosła się i możliwości wsparcia są nieporównywalnie większe niż kilka lat temu, w przypadku najbardziej potrzebujących, jak pan Ryszard, wciąż są to rozwiązania doraźne.

Zgodnie z policyjnymi statystykami, tylko w sezonie jesienno-zimowym 2023/2024 z powodu wychłodzenia zmarły w Polsce 32 osoby (rok wcześniej 28, dwa lata wcześniej 44). W porównaniu do stanu sprzed kilku lat widać zmianę. W zimie 2015/2016 r. na ulicy z wyziębienia umarło 108 osób, rok później 111.

Nie znam losów pana Ryszarda, nie wiem, jak przeżył swoje życie ani dlaczego znalazł się na ulicy. Nasze ścieżki przecięły się tylko raz, pozostawiając pytania o nasze postawy wobec starości, uzależnienia, bezdomności i wartości ludzkiego życia. © JERZY DZIEKOŃSKI

Strategia na starość

MAŁGORZATA SOLECKA

W Polsce nie mamy skoordynowanej polityki senioralnej, przez co części problemów nie dostrzegamy, a części nie potrafimy rozwiązać.

Garść danych. Eurostat: w ciągu ostatniej dekady Polska odnotowała największy wzrost odsetka osób starszych spośród wszystkich krajów UE. WHO: w 2050 r. ponad 40 proc. populacji Polski będą stanowić osoby powyżej 60. roku życia. GUS: w 2050 r. 10 proc. Polaków będzie w wieku 80+.

Kim jest senior? Granicą (umowną) jest 60-65 lat – zarówno dla kobiet, jak i mężczyzn. Mężczyźni w całej UE (i we wszystkich krajach wysokorozwiniętych) żyją średnio zauważalnie krócej od kobiet. W Polsce, podobnie jak w innych krajach dawnego bloku komunistycznego, ta różnica jest ogromna. Co ma swoje konsekwencje.

– Nigdy wcześniej w historii obok siebie, na tak wielką skalę, nie żyły cztery pokolenia. Efekt wydłużania się średniej długości życia przynosi jednak również gorzkie owoce – m.in. w postaci dojmującej samotności najstarszych seniorów, na którą składają się przemiany kulturowe i rozbicie rodzin wielopokoleniowych oraz, w przypadku Polski, sięgająca ośmiu lat różnica między długością życia kobiet i mężczyzn – zauważa prof. Bolesław Samoliński, kierownik Katedry Zdrowia Publicznego i Środowiskowego na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym.

Lata w zdrowiu

Przez lata celem polityk zdrowotnych było poprawianie wskaźnika średniej oczekiwanej długości życia. Teraz jednak, gdy długość życia wzrasta (z krótką przerwą na pandemię covidu), praktycznie we wszystkich krajach wysokorozwiniętych na znaczeniu zyskuje inny wskaźnik – liczba lat w zdrowiu. Przesunięcie punktu ciężkości widać choćby w ostatnim, opublikowanym w listopadzie 2024 r. raporcie OECD i Komisji Europejskiej „Health at a Glance. Europe 2024", który tylko odnotowuje, o ile wydłużyła się średnia oczekiwana długość życia seniorów (w UE – nieco o ponad rok).

Polski statystyczny 65-latek ma przed sobą 17,7 lat życia. Mniej niż statystyczny obywatel UE (19,5 roku), dużo mniej niż Hiszpan czy Francuz (ok. 21 lat). Dużo więcej uwagi autorzy raportu poświęcają problemowi zdrowego starzenia się, czyli wskaźnikowi liczby lat w zdrowiu. To on decyduje, jak podkreślają eksperci, o jakości życia seniorów. Ale także – pośrednio lub bezpośrednio – o obciążeniu systemów ochrony zdrowia i wsparcia społecznego. Można powiedzieć, że w trzeciej dekadzie XXI wieku celem i wyzwaniem polityk społecznych krajów UE jest jak największa liczba lat w zdrowiu.

W starość z chorobami

Celem i wyzwaniem, bo problem ze zdrowym starzeniem się ma cała UE. Średnia dla 65-letniego obywatela Wspólnoty to zaledwie 9,1 roku, a więc mniej niż połowa średniej oczekiwanej długości życia. Unia jako całość może jednak czerpać nadzieję z tego, że przynajmniej udało się ów wskaźnik w ostatnich dwóch dekadach zwiększyć. Polska nie może się pocieszyć niczym – jesteśmy jednym z krajów, w których ów parametr spadł: obecni 65-latkowie mają przed sobą 8,1 roku w zdrowiu, podczas gdy w 2005 r. było to 9,5 roku. W tym samym czasie, co warto zauważyć, w niektórych krajach (Szwecja, Słowenia) udało się wydłużyć ten czas o nawet ponad trzy lata!

Żeby nie było zbyt prosto, problemy zaczynają się znacznie wcześniej. Polacy w wiek senioralny wchodzą już ↦

IV Warszawska Olimpiada Seniorów. Warszawa, wrzesień 2022 r.

JOANNA SKŁADANEK / FORUM

LABALAJADIA / ADOBE STOCK

Polipragmazja, czyli wielolekowość

DOTYCZY ponad jednej trzeciej osób powyżej 65. roku życia. Im starszy senior, tym prawdopodobieństwo przyjmowania zbyt wielu leków rośnie, rośnie też ryzyko niepożądanych działań.

POLIPRAGMAZJA jest wypadkową wielochorobowości, leczenia każdej choroby u innego specjalisty, braku systemowych rozwiązań dotyczących „przeglądów lekowych", dokonywanych czy to na poziomie POZ, czy nawet aptek, oraz niedostatecznej komunikacji między lekarzami (luk w systemie e-zdrowie).

Teoretycznie każdy lekarz, do którego zgłasza się pacjent, powinien mieć wgląd w przyjmowane przez niego leki, ale przynajmniej na razie to nie zawsze działa. Dlatego NFZ na swojej stronie radzi pacjentom, by informowali lekarzy o przyjmowanych przez siebie lekach. Nie wszyscy to robią.

ZRESZTĄ nawet gdyby lekarze wiedzieli, co przepisują na receptę inni specjaliści, to przecież pacjenci przyjmują również leki dostępne bez recepty. Te specyfiki także wchodzą w interakcje z innymi medykamentami.

LEKARZE MÓWIĄ o polipragmazji, gdy pacjent przyjmuje pięć lub więcej różnych rodzajów leków, w tym leki bez recepty.
© MS

schorowani – z jedną, dwoma lub nawet trzema chorobami przewlekłymi. Otyłość i jej powikłania, takie jak cukrzyca czy choroby układu krążenia, dotyka co piątego dorosłego Polaka, a jeśli dodać do tego osoby z nadwagą – problem ma blisko 40 proc. populacji.

Jesteśmy niechlubnymi liderami pod względem narażenia na poważny czynnik ryzyka rozwoju całej gamy chorób, jakim jest zanieczyszczenie powietrza. Jesteśmy też w ścisłej czołówce, jeśli chodzi o ryzykowną konsumpcję alkoholu i nałogowe palenie tytoniu. Efekt jest taki, że już u 50-latków rozwijają się poważne obciążenia zdrowotne, które z biegiem lat się tylko pogłębiają.

Seniorzy co prawda, już dotknięci chorobami, nieco modyfikują swoje zachowania, rzadziej sięgają po używki, lepiej się odżywiają (statystycy mierzą to deklaracjami dotyczącymi spożywania zalecanych porcji owoców i warzyw), ale też borykają się z otyłością i nadwagą. Również dlatego, że się... nie ruszają. Ponad trzy czwarte (78 proc.) osób w wieku powyżej 65 lat w UE/EFTA nie spełnia zaleceń WHO dotyczących minimalnego poziomu aktywności fizycznej w tygodniu (raport OECD). Przy czym w Norwegii normy WHO spełnia 60 proc. seniorów, a w Polsce... co dziesiąty. W Bułgarii czy Rumunii seniorzy w ogóle nie są aktywni.

Co robimy źle?

Gdyby nałożyć raport OECD i Komisji Europejskiej na wyniki badań Polsenior 2, można byłoby dojść do wniosku, formułowanego zresztą przez wielu ekspertów zabierających głos podczas dyskusji poświęconych zdrowiu publicznemu i problemom seniorów: brakuje nam skoordynowanej polityki senioralnej, przez co części problemów nie dostrzegamy, a części – nie potrafimy rozwiązać.

Los seniorów zależy, w sporym uproszczeniu, od dwóch polityk: zdrowotnej i społecznej, które – jak wskazują autorzy raportu Polsenior 2, muszą się zmierzyć m.in. z przyspieszeniem procesu tzw. podwójnego starzenia się ludności oraz postępującym wewnętrznym zróżnicowaniem populacji ludzi starych w społeczeństwie. „Określenie »podwójne starzenie się ludności« odnosi się do procesu polegającego na wzroście odsetka osób w wieku 80 i więcej lat, szybszym niż wzrost odsetka ogółu osób starych w społeczeństwie. Z faktu, że 80-latków przybywa relatywnie szybciej niż wszystkich seniorów, wynika wzrost zapotrzebowania na świadczenia zdrowotne i opiekuńcze, różne formy wsparcia i potrzeba dostosowania warunków życia tej grupy ludności do ich zmieniających się możliwości" – piszą.

Można mówić wręcz o podwójnym problemie – braku spójnej oferty dla młodszych seniorów, której celem powinno być utrzymanie ich jak najdłużej w dobrej kondycji psychicznej, fizycznej, w aktywnościach społecznych (również zawodowych), oraz nieodpowiadającej potrzebom polityce wobec najstarszych seniorów (umownie – powyżej 75.-80. roku życia).

Potrzebna opieka

– GUS podaje, że w 2050 r. co dziesiąty Polak będzie mieć więcej niż 80 lat – zwraca uwagę prof. Tomasz Targowski, konsultant krajowy w dziedzinie geriatrii. Singularyzacja i feminizacja starości wymusza rozwój usług opiekuńczych, ale dzieje się to bardzo powoli. Co prawda rozbudowa opieki długoterminowej jest jednym z ważnych punktów Krajowego Planu Odbudowy w obszarze ochrony zdrowia, ale na razie nie widać żadnego przełomu.

Efekt? Jak mówi diabetolog prof. Leszek Czupryniak, wieloma pacjentami w wieku senioralnym, zwłaszcza podeszłym, którzy kończą leczenie szpitalne, nie ma się kto zająć. – Zjawisko tzw. babek świątecznych, czyli seniorów podrzucanych do szpitali przed świętami czy w okresie wakacyjnym, nie jest wcale tak powszechne, jak wynikałoby to z doniesień medialnych. Realnym problemem jest przedłużanie hospitalizacji np. na oddziałach wewnętrznych tych seniorów, którym nikt nie jest w stanie zapewnić opieki. Rodziny, w każdym razie bliskiej, nie ma lub nawet jeśli jest i takiej opieki chciałaby się podjąć, nie ma ku temu żadnej możliwości – mówi prof. Czupryniak. Nie ma możliwości choćby z racji wieku: nie należą do rzadkości sytuacje, w których 90-letnią matką powinna się zająć 72-letnia córka.

Prof. Tomasz Targowski ocenia, że w szpitalach przebywać może w tej chwili około tysiąca osób, którym opiekę

powinny zapewnić zakłady opiekuńczo-lecznicze (tzw. ZOL-e), ale nie zapewnią, bo brakuje miejsc. W kolejkach do nich czeka ok. 20 tysięcy osób. Placówki opieki długoterminowej, finansowane przez NFZ, to dla schorowanych, potrzebujących wsparcia zdrowotnego i pielęgnacyjnego seniorów opcja lepsza niż prowadzone przez gminy domy pomocy społecznej (DPS-y). Choćby dlatego, że pobyt w nich jest finansowany ze środków publicznych, a w gminnych placówkach wymagana jest opłata własna (i często dofinansowanie ze strony bliskich). Tu znów pojawia się dualizm – opieka długoterminowa to obszar, za który odpowiada resort zdrowia, DPS-y zaś podlegają organizacyjnie samorządom, merytorycznie – resortowi pracy.

Problem kadrowy

Eksperci zwracają jednak uwagę, że choć powinniśmy budować placówki opieki długoterminowej, oparcie na nich całego systemu opieki nad seniorami to pułapka. Dopóki to możliwe, osoby starsze powinny być zaopiekowane w miejscach swojego zamieszkania i otoczone profesjonalnym wsparciem. Tu jednak pojawia się problem kadrowy.

W krajach skandynawskich, w których odchodzi się od instytucjonalizacji opieki nad seniorami na rzecz zapewniania im wszechstronnego wsparcia w ich mieszkaniach czy domach, w sektorze ochrony zdrowia i wsparcia społecznego pracuje jedna piąta wszystkich zatrudnionych w gospodarce. Średnia unijna to 11 proc., a wskaźnik dla Polski – niespełna 7 proc. Ochrona zdrowia nie jest i nie będzie atrakcyjnym pracodawcą (choć wiele można usłyszeć o wysokich zarobkach w tym sektorze), bo wydajemy na nią niemal najmniej w Europie.

Sytuację mogłoby poprawić wprowadzenie np. ubezpieczeń pielęgnacyjnych, czyli dodatkowej składki, z której finansowana byłaby opieka nad seniorami. Nikt jednak nie podejmuje tematu. Politykom nie starcza odwagi (powiedzenia Polakom, że bez dodatkowego źródła finansowania problemów nie da się rozwiązać), nie brakuje natomiast zapału do przedstawiania kolejnych propozycji reorganizacji zasobów, którymi dysponujemy.

Przykład to uchwalona w 2023 r. ustawa o szczególnej opiece geriatrycznej. Z inicjatywą wyszedł prezydent Andrzej Duda, a prezydenccy eksperci prace rozpoczęli na długo przed pandemią – hasłem przewodnim stały się „centra 75+", czyli ośrodki dedykowane opiece nad najstarszymi seniorami. Ale już podczas prezentacji koncepcji, przed wyborami w 2019 r., ówczesna wiceministra zdrowia Józefa Szczurek-Żelazko przypominała, że jest jeden problem: brak geriatrów. Minęło pięć lat, ustawa została uchwalona, zdążyła wejść w życie i od roku do dziś pozostaje całkowicie martwa (nie wydano żadnych aktów wykonawczych), natomiast ów problem zdążył się tylko pogłębić.

Zamknięty krąg niemożności

Z danych Naczelnej Izby Lekarskiej wynika, że w tej chwili w Polsce mamy 593 geriatrów, z czego 581 pracuje z pacjentami. Niekoniecznie jednak w swojej specjalizacji – dla dużej części lekarzy geriatria jest drugą lub nawet trzecią specjalizacją. Dla specjalistów kształconych do zajmowania się najstarszymi seniorami, koordynowania ich leczenia, „spinania" decyzji podejmowanych przez innych specjalistów – kardiologów, diabetologów, endokrynologów, neurologów – tak, by dochować wierności kluczowej zasadzie „przede wszystkim nie szkodzić"... nie ma miejsc pracy. Nie ma oddziałów, nie ma pomysłu na poradnie geriatryczne.

Od lat więc ta specjalizacja buksuje w miejscu, młodzi lekarze niechętnie ją wybierają – mimo że znajduje się na liście specjalizacji priorytetowych (a więc pensja, jaką otrzymują lekarze-rezydenci, jest wyższa).

To zamknięty krąg niemożności: od lat nie ma miejsc pracy dla geriatrów, więc nie ma chętnych do specjalizowania się w tym kierunku, więc gdy pojawia się pomysł na zbudowanie sieci ośrodków dedykowanych seniorom... brakuje specjalistów. Jednocześnie jednak to nie brak specjalistów w dziedzinie geriatrii jest największą przeszkodą. Sam geriatra niewiele zdziała, jeśli nie będzie miał całego zespołu – pielęgniarki, fizjoterapeuty, dietetyka, psychologa (wszystkich wyspecjalizowanych w opiece nad seniorami) – i nie będzie dysponował kanałami komunikacji z pozostałymi lekarzami zajmującymi się pacjentem. Dziś taką rolę spełniają – w miarę swoich możliwości i przede wszystkim z braku alternatywnych rozwiązań – lekarze podstawowej opieki zdrowotnej.

Co powinno się wydarzyć? Izabela Marcewicz-Jendrysik, dyrektor Narodowego Instytutu Geriatrii, Reumatologii i Rehabilitacji w Warszawie, uważa, że cząstkowe zmiany, np. tylko w obszarze ochrony zdrowia, nie wystarczą. Musi nastąpić integracja wszystkich instytucji, które odpowiadają za politykę senioralną. Konieczne jest odejście od silosowości rozwiązań.

© MAŁGORZATA SOLECKA

W tekście wykorzystałam wypowiedzi z dyskusji poświęconych problemom seniorów z Kongresu Zdrowia Publicznego, 8-9 grudnia 2024; Medycznej Racji Stanu, 17 grudnia 2024; Kongresu Zdrowa Seniorów, 30 stycznia 2025.

Miasto dla seniora

W 2050 R. co trzeci mieszkaniec dużego miasta będzie w wieku emerytalnym. W tej grupie najszybciej przybywać będzie seniorów po 80. roku życia – wynika z raportu Unii Metropolii Polskich z grudnia 2024 r. Samorządowcy nie mają wątpliwości: starzenie się społeczeństwa jest ogromnym wyzwaniem.

TO SAMORZĄDY odpowiadają za to, by mieszkańcy mieli przyjazną przestrzeń publiczną, dostęp do usług i opieki zdrowotnej. Nie finansują świadczeń, mogą jednak wiele zdziałać np. w zakresie profilaktyki, co zresztą – np. w obszarze szczepień dla seniorów – od lat robiły. Samorządy finansowały dla nich szczepienia przeciw grypie, zanim kilka lat temu weszły one na listę refundacyjną.

PRZYKŁADY DOBRYCH PRAKTYK można mnożyć: Warszawa stawia na centra aktywności międzypokoleniowej. „Tworzenie warunków do aktywności tej grupy stanowi profilaktykę osamotnienia, wykluczenia, pogorszenia zdrowia fizycznego i psychicznego" – reklamuje się jeden ze stołecznych CAM-ów. Wyzwaniem jest wspieranie osób ze złożonymi problemami zdrowotnymi, w tym – demencyjnymi. © MS

Zmiana zaczyna się w głowie

DAGMARA SENDA, prezeska Fundacji Integralia:
Bywa, że osoba z niepełnosprawnościami boi się podjąć pracę, innym razem to pracodawca nie wie, jak się zabrać za rekrutację w tej grupie. Jesteśmy po to, by ułatwić to spotkanie.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Seniorzy i osoby z niepełnosprawnościami (OzN) to pozornie odrębne grupy. Tylko pozornie.

DAGMARA SENDA: Całkiem niedawno nasza fundacja, dotąd zajmująca się wyłącznie osobami z niepełnosprawnościami, rozszerzyła statut o wsparcie m.in. dla osób starszych. Badania pokazują, że coraz trudniej jest im na rynku pracy, zwłaszcza kiedy już straciły zatrudnienie – i dotyczy to już wieku średniego, nawet 45+!

Tymczasem zmiany demograficzne sprawiają, że większy odsetek seniorów w społeczeństwie przekłada się na wzrost liczby osób z niepełnosprawnościami – chociaż nie wszystkie choroby związane z wiekiem oznaczają od razu wydanie orzeczenia o niepełnosprawności.

Aktywność zawodowa OzN pozostaje – pomimo niskiego bezrobocia w Polsce – na niskim poziomie. Wśród osób w wieku produkcyjnym pracuje mniej więcej co trzecia i niewiele się tu zmienia. Dlaczego?

To zależy, w jakim okresie te zmiany śledzimy. Jeśli spojrzymy na dwie ostatnie dekady, w czasie których funkcjonuje nasza fundacja, widać bardzo duże zmiany. Dwadzieścia lat temu nie dość, że wspomniany odsetek wynosił kilkanaście procent, to jeszcze większość spośród tych aktywnych pracowała w zakładach pracy chronionej.

Fakt, te nasze 34 proc. to wciąż mniej niż średnia unijna – ambicją Polski jest to, by do 2030 r. zwiększyć ten odsetek do 40 procent. Optymistyczne jest jednak, że widać postęp – np. fakt, że osoby z niepełnosprawnościami coraz częściej funkcjonują na otwartym rynku pracy. W instytucjach publicznych, w prywatnych firmach.

Także w Ergo Hestii?

Około 140 pracowników to u nas osoby z niepełnosprawnościami, co stanowi 4 proc. całej kadry. A chcemy, żeby było ich więcej!

Dlaczego na poziomie kraju nie jest tak wesoło?

Duże wyzwania stoją przed samymi OzN, szczególnie wśród pokoleń starszych. Boją się często utracić rentę, zmierzyć się z rynkiem pracy. „Po co mam to robić, skoro już tyle lat nie pracowałem / nie pracowałam?" – pytają. To niejednokrotnie wyuczona postawa, do której przyczyniło się otoczenie, często rodzice, mówiąc np.: „Co się będziesz angażować, wystawiać na dodatkowy stres, skoro już masz rentę?". Pamiętajmy też, że osoby starsze, jeśli niepełnosprawność towarzyszyła im od dziecka, nie miały możliwości otrzymania dobrego wykształcenia, z powodu barier komunikacyjnych i tych w systemie edukacji.

Dziś w młodszych pokoleniach widzimy, że rodzice zupełnie inaczej wspierają dzieci, także będące już młodymi dorosłymi. Właśnie dzięki rodzicom się kształcą, studiują, zachowanie renty przestaje być wartością samą w sobie. Ważniejsza jest niezależność, funkcjonowanie na rynku pracy. OzN bywają konkurencyjni dla osób pełnosprawnych – podczas rekrutacji często nie widać różnicy między kwalifikacjami kandydatów z obu grup.

A jakie są bariery po stronie pracodawców?

Inaczej jest w Trójmieście, inaczej w Krakowie, a zupełnie inaczej w małej miejscowości. Tam bariery powstają na długo przed wejściem na rynek pracy: młoda osoba nie jest w stanie bez wsparcia bliskich dojechać do dobrej szkoły, później na dobrą uczelnię.

A pracodawcy też miewają mentalne bariery. Niektórzy uważają np., że będą musieli zmienić budynek, żeby zatrudnić osoby z niepełnosprawnościami, co często jest nieprawdą. Albo że będą zmuszeni zakupić jakieś drogie oprogramowanie, mimo że takie wyposażenie jest już dzisiaj ogólnodostępne. Dostępność architektoniczna, cyfrowa jest rozwijana jak nigdy dotąd – zmiana zaczyna się więc bardzo często w głowach. Także pracodawców.

Prowadzimy teraz program „Sprawny staż" [więcej na www.sprawnystaz.pl – red.], współpracując z dużymi firmami zatrudniającymi setki osób. Dzięki programowi firmy zatrudniają osoby z niepełnosprawnościami na staże – i często jest to pierwszy kontakt firmy z przedstawicielami tej grupy. Pracodawcy bywają zaskoczeni, że to nie jest ani takie straszne, ani nie oznacza jakiegoś wielkiego przygotowania. Wrażenia są niemal zawsze pozytywne, a stażyści zostają w firmie na dłużej.

Najwyższa Izba Kontroli zauważyła ponad dwa lata temu, że „pracodawcy zatrudniali niechętnie osoby niepełnosprawne, zwłaszcza starsze, mimo iż takie zatrudnienie dawało pracodawcom szereg korzyści".

Chodzi zapewne o zwolnienie pracodawcy z płacenia składek na PFRON w sytuacji, gdy zatrudnia OzN. Tyle że niektóre wielkie korporacje płacą nawet miliony na ten fundusz, a pomimo tego nie chcą się nawet zainteresować kwestią zatrudnienia osób z niepełnosprawnościami. Zatem dla nich to żadna korzyść – wliczają PFRON w koszty, nie myśląc specjalnie o tym, jak mogliby skorzystać na zatrudnieniu przedstawicieli tej grupy. Jak to się przełoży na różnorodność w zespołach, na empatię, na inne postrzeganie produktów czy usług, które oferują klientom itd. A przecież ci klienci, pamiętajmy, to często także osoby starsze i/lub z niepełnosprawnościami.

MATERIAŁ PARTNERA

MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

DAGMARA SENDA jest od 2024 r. prezeską zarządu Fundacji Integralia. Od 2015 r. związana jest z Grupą Ergo Hestia. Z wykształcenia socjolożka i historyczka.

Bywa odwrotnie, co nie znaczy lepiej: „NIK jest zaniepokojona faktem, że część pracodawców traktuje osoby niepełnosprawne jak tanią siłę roboczą: zatrudniają je na czas uzyskiwania z tego tytułu refundacji i finansowań i zwalniają". Anna Golus opisała w „TP" proceder rekrutowania OzN do firm ochroniarskich. W jednym z ogłoszeń poszukiwano osoby z niepełnosprawnością, a wśród wymagań wymieniano... sprawność.
To niestety rodzaj nowotworu na tkance polskiego rynku pracy osób z niepełnosprawnościami – o firmach ochroniarskich wykorzystujących przepisy dotyczące OzN krążą faktycznie legendy. Podobnie o osobach, które pod wpływem tego procederu szukają u siebie rozmaitych schorzeń po to, by zatrudnić się w takiej firmie.

Jednak szerszym zjawiskiem jest to pierwsze: niezatrudnianie OzN wynikające z prozaicznych przyczyn. Pracodawcy nie wiedzą często, jak to robić, gdzie, jak zachęcić ludzi, by podczas rekrutacji ujawnili swoją niepełnosprawność – bo przecież nie napiszą wprost w ogłoszeniu tak jak te firmy ochroniarskie, że poszukują OzN, bo to trudne etycznie. Tu możemy zrobić więcej. I robimy jako fundacja, pomagając i pracodawcom szukać pracowników, i kandydatom szukać zatrudnienia. Obie strony nie wiedzą często, jak się zabrać za szukanie. My pomagamy tym dwóm grupom się spotkać.

Działamy też na uczelniach, pomagając studentom z niepełnosprawnościami uzyskać pierwsze doświadczenia na rynku pracy. Często potrzebują na początku takiego „inkubatora": boją się zaaplikować od razu do wielkiej korporacji, by konkurować z innymi, ale aplikując do firmy mającej wsparcie fundacji – czują się pewniej.

Cały czas rozmawiamy głównie o barierach mentalnych – i pracowników, i pracodawców. Ale może jest coś po stronie państwa, co wymaga pilnego naprawienia?
Taką sprawą jest niewątpliwie zapowiadana od dawna ustawa o asystencji osobistej [chodzi o przydzielenie osobom z najcięższymi niepełnosprawnościami bezpłatnego asystenta wspierającego OzN w życiu codziennym, społecznym, zawodowym – red.]. Np. osoba niewidoma mająca takiego asystenta może zmienić całkowicie swoje życie, podejmując wymarzoną pracę właśnie dzięki temu, że będzie miała przy sobie kogoś wspierającego.

Rozmawiając o rynku pracy nie da się nie wspomnieć o edukacji.
To prawda: bardzo ważny jest dostęp dzieci z niepełnosprawnościami i do edukacji włączającej, i do szkolnictwa specjalnego. Przy czym nie ma tutaj reguły: dla każdego dziecka inny typ szkoły może być najkorzystniejszy. Zależy to od stopnia niepełnosprawności, jej typu, sytuacji życiowej. Np. niektóre dzieci niewidome będą chciały być z innymi dziećmi będącymi w tej samej sytuacji, inne będą wolały – i będzie to dla nich korzystne – uczęszczać do szkoły integracyjnej. Zresztą sama obecność dzieci z niepełnosprawnościami w szkołach może przyczynić się do społecznej zmiany, która zaowocuje po latach – włączaniem na rynku pracy.

To czasami niewiarygodne, z jakimi niepełnosprawnościami ludzie potrafią robić kilka kierunków studiów, a później wspaniałe zawodowe kariery. Widzę to także w naszej firmie.

Proszę o tym na koniec opowiedzieć.
Świetnym przykładem jest Mariusz, kolega z Ergo Hestii. Specjalizuje się w ściśle matematycznym obszarze – controllingu w branży ubezpieczeń. I osiąga sukcesy menedżerskie. Jego niepełnosprawność polega na tym, że urodził się bez prawej ręki.

Zaczynał od infolinii, pracę dostał przez naszą fundację. Potrzebował tylko dobrego startu, a potem wziął rozwój w swoje ręce.

Dodatkowo osiąga sukcesy sportowe, uczestnicząc w wyścigach Iron Man, zakładających długie dystanse w biegu, na rowerze i w wodzie. Ostatnio Mariusz wystąpił w filmie promującym rozwój zawodowy osób z niepełnosprawnościami. Został ambasadorem fundacji.

To częsta sytuacja: ktoś z niepełnosprawnością ma kompetencje, chęci, wszystko. Chce wejść na rynek pracy i wtedy pomagamy, a taka osoba często bardzo szybko się usamodzielnia. Bywa nawet, że odchodzi z naszej firmy, ale nadal jej kibicujemy.

©℗ Rozmawiał
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Wieś w Polsce dramatycznie się wyludnia, zanikają całe społeczności! Niegdyś tętniące życiem miejscowości zamierają, młodzi wyjeżdżają do miast. Starsi mieszkańcy często zostają bez opieki, czują się samotni i mają utrudniony dostęp do pomocy oraz wsparcia.

Naszą misją jest niesienie pomocy hospicyjnej na wsiach. Docieramy do ludzi zapomnianych przez świat, a czasem rodzinę i instytucje.

Przekazując 1,5% podatku Fundacji Hospicjum Eliasz przywracasz miłość i nadzieję ludziom u kresu życia zapomnianym przez świat.

Trzeba uświadamiać oraz niejednokrotnie wkładać kij w mrowisko systemu. Pokazywać, że można zrobić coś inaczej i że przynosi to efekty. Budowa hospicjum na wsi, nowy model hospicjum domowego czy projekt „Dać to, czego naprawdę potrzeba", który ma na celu pomoc wszystkim osobom potrzebującym mieszkającym na wsiach u kresu ich życia – to przykłady na to, że rzeczywistość można zmieniać.

dr Paweł Grabowski
założyciel i lekarz w Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza

REKLAMA

Więcej informacji znajdziesz na: **www.hospicjumeliasz.pl**

ELIZA

Kącka: *Polacy są dobrzy, z urodzenia*

Dworzec Centralny, noc. Wychodzę na powierzchnię i drepcę ku metru. Przy chodniku styropianowy stojak z balonikami nieco sflaczałymi. Sprzedająca: „Kupi pani". „Aha?". „Po północy promocja!". „No to jedno". „Samotne? W walentynki?!". „Hehe, już po północy". „No właśnie! Patrzy pani, powietrze im schodzi ze smutku. Parkę pani przygarnie". „Może się rozmnożą". „O! Na pewno! Zobaczy, za rok mi tu konkurencję zrobi".

Pociąg z Wrocławia do Warszawy. Tuż za miastem stajemy. Gość w garniturze: „Powinni nagrać komunikat: »Wyrabiamy spóźnienie«". Pierwsza starsza z ukontentowaniem: „A mnie syn i tak odbierze". Gość: „Gratulacje, ale nie na temat". „Mój syn nie na temat?! Ja matka jestem". „Ech". Druga starsza: „Ale co się stało, matko jedyna". Gość: „Nic". „Musiało się coś stać". „Zdziwiłaby się pani". „Pociąg nie stoi bez powodu". „Jest powód: żeby nas upokorzyć". „Co pan!". Idzie konduktor. Pierwsza: „A ten pan mówi, że specjalnie stoicie w polu...". Konduktor: „Poproszę bilety". „...żeby nam było przykro". Konduktor: „Postój techniczny". Gość: „Hehe". Druga: „Techniczny! Wiedziałam! Polacy są dobrzy". Gość: „Z urodzenia".

Oferta z dziennika uczniowskiego: „Szanowni Państwo, biuro, z którym współpracowaliśmy w roku zeszłym, przedstawia na dzień dzisiejszy dwie oferty wycieczek: Auschwitz plus Energylandia oraz Auschwitz plus Kraków. Niezmiennym elementem kompozycji pozostaje Auschwitz, trzeba jednak coś dobrać, bo sam obóz się nie kalkuluje. Większość opiekunów jest za Energylandią by uczniowie odpoczęli po ciężkim zwiedzaniu. Chodzi o higienę psychiczną młodych. Ankieta wypadła na korzyść połączenia obozu z parkiem, albowiem po dawce trudnej wiedzy i obiedzie, uczniowie pragną zażyć wrażeń. Co do obiadu zdania są podzielone: może być problem ze zjedzeniem czegoś w Auschwitz, więc możemy iść na obiad po dojeździe do Energylandii, co jest opcją droższą, ale przyjemnie zjeść w miejscu rozrywki. Możemy też w drodze zajrzeć do McDonalda, uczniowie uwielbiają ten wariant. W przypadku, gdyby z Auschwitz pożądane były pamiątki, prosimy o danie kieszonkowego. Auschwitz z Krakowem mniej przypada do gustu. Nie chcemy uczniom narzucać. Jeśli tak Państwo jednak zdecydują przewidujemy Wawel i Sukiennice. Może jakieś krótkie muzeum. Przewoźnik sugerował, że Kraków to bardziej program dla podstawówki. Nasi uczniowie są już dojrzali, ale też, muszą się wyszaleć. Nie możemy tylko uwrażliwiać".

Pociąg do Wrocławia, naprzeciwko małżeństwo z dzieckiem i z babcią. Siedzę w pilotce, awaria ogrzewania. Dziewczynka śmieje się do mojej czapki, puszczam oko. Babcia: „Salomea, nie zaczepiaj osoby dorosłej". Uśmiecham się: „Ależ bardzo miło". Babcia: „Proszę pani, ja teraz dziecko wychowuję". Ojciec do mnie: „My z mamą i żoną próbujemy, proszę pani, wykierować córkę na osobę wysokofunkcjonującą". „Pojmuję". „Bo wie pani, jak się odpuści, to dziecko ludzi zaczepia". „E, nie czuję się zaczepiana...". Ojciec na irytacji: „Dobra dobra, nie ma pani dzieci, to pani prowokuje dziecko". Siedzimy w milczeniu. Matka: „Mąż nie chciał pani zrobić przykrości, ale niech nas pani zrozumie". „Jasne". „Obcy człowiek nie ryzykuje, wie pani, my wracamy od psychologa". „Na pewno". Babka: „Pani ironizuje?". „Nie". „Bo pani wyraźnie jest z tej sytuacji zadowolona". Ojciec: „No to właśnie mówię: prowokuje. A my mamy dramat tu!". Wyszedł, krąży po korytarzu. Ja: „Nie prowokuję, uśmiechnęłam się tylko do córki". Matka: „To jest wielki ciężar, proszę pani". „Wiem". Babka: „Wie! Dobre!". Odpuszczam, zdejmuję czapkę. Mała w płacz. Wkładam – śmieje się. Matka, na chwilowym porozumieniu: „Czy może pani jeszcze potrzymać tę czapkę na głowie? Muszę zrobić z nią ćwiczenia z obrazkami". Potwierdzam, choć ogrzewanie już działa (całą drogę przejechałam w czapce).

Lidzbark Warmiński, kilka lat temu. Wróciło dziś, bo kolega wyciągnął stare nagrania. „Cześć, Elizo. Słuchaj, przeglądam nasze archiwum, i tu są jednak nieprawdopodobne rzeczy". „?...". „No wiesz, ja się umówiłem z tobą i małą na górce przy torach". „Pamiętam". „Górce z twojej opowieści. Moja dziewczyna spuściła psy". „Charty, pamiętam". „No tak, ale twoja córka od razu pobiegła za nimi. Dzwoniłem do kamerzysty na górce, że musi robić materiał, bo ona już biegnie". „Pamiętam, bo się przestraszyłam i zaczęłam biec. Nie nadążałam". „Wiem, za tobą puściłem Kubę. Wskoczyłaś na drzewo przy strumieniu, żeby szybciej przeskoczyć, ale spadłaś na skraju wody i zraniłaś się w rękę". „No, pamiętam drzewa, pamiętam, że krwawiło, ale tylko trochę. Nie mogłam jej dogonić". „Wiesz, byłem zły na początku, że nie trzymacie się scenariusza. Ty mi mówiłaś, że ona jest inna, że może nam się zerwać, ale myślałem, że nad nią zapanujesz". „Przepraszam". „Nie! Nie przepraszaj, wyszło lepiej. Bo wiesz, równolegle do niej ktoś biegł w dole góry, w gąszczach jeżyn". „Kto?". „Lis". Żartujesz?!". „Nie, wiesz, lisy się zdarzają na Warmii". „No przecie wiem. Ale czy ona go widziała, Łukaszu?". „Ruda? No nie, na pewno nie. Biegła aż do Cmentarza Rumuńskiego, myśmy to jakoś nagrywali. Lis przebijał się przez gąszcz, ona biegła ścieżką. Ależ jest lekka". „Elficka, nie?". „Oj, tak. Ten twój wypadek nie ułatwił...". „Przepraszam". „Daj spokój, ale Kuba wyciągał cię, zamiast biegać za lisem". „Widziała go?". „No nie, nie. Nie myślę. Chyba że przeczuła". „Zapytam". „To było dawno". „»Dawno« nic nie znaczy. Takich przecięć się nie zapomina". Pytam Rudej: „Pamiętasz?". Mówi: „Na polance był lis. Ty nie zdążyłaś". Nie zdążyłam. Tyle. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

ŚWIAT

MANDARYNKI I GRUZ

Palestyńczycy na Zachodnim Brzegu Jordanu codziennie doświadczają bezprawia. Wojskowe buldożery mogą dowolnie niszczyć ich domy. Jak w tej wsi pod Jerozolimą.

JOANNA SARNECKA Z AL-NABI SAMWIL (PALESTYNA)

Rodziny Aeeda i Nawal nikt spoza ich wioski nie może odwiedzić. Mieszkają na Zachodnim Brzegu Jordanu w strefie C, czyli na terenach kontrolowanych przez izraelskie wojsko. W zasadzie ich tu już nie ma. Mają zniknąć.

Podział Zachodniego Brzegu na strefy A, B, C to efekt podpisanych w 1993 i 1995 r. porozumień z Oslo. Zakładały wzajemne uznanie się Izraela i Organizacji Wyzwolenia Palestyny oraz miały być fundamentem procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie.

Porozumienie to stało się prawną podstawą do zaistnienia Autonomii Palestyńskiej. Przewidywało, że w kolejnych latach nastąpi transformacja ku pełnej palestyńskiej niezależności. Tymczasem lata mijają, okupacyjna prowizorka utrwala się, a Izrael nigdy jednoznacznie nie określił swojej wschodniej granicy. Tak okupacja stała się codziennością.

ZA MUREM | Wioska, w której mieszkają Aeed i Nawal, położona jest w administracyjnych granicach Jerozolimy, w obrębie tzw. muru separacyjnego. Ale jest wyłączona spod jerozolimskiej władzy i uznana za część Zachodniego Brzegu. Nikt z wioski nie ma prawa wjechać do miasta. Chyba że dostanie specjalne pozwolenie, ale po 7 października 2023 r., czyli ataku Hamasu, to w zasadzie jest niemożliwe.

Szanse nie są równe. We wsi od pewnego czasu mieszkają osadnicy żydowscy. Mają największy dom na początku, przy bramie. Im nic nie grozi. Nikt nie ogranicza ich praw, do Jerozolimy mają pełny dostęp. Mogą wszystko.

Wieś położona jest przy grobie proroka Samuela, stąd jej nazwa: Al-Nabi Samwil. Prorok Samuel to wspólna postać imaginarium trzech religii monoteistycznych, podobnie zresztą jak wszyscy biblijni prorocy. Mogłoby to być więc miejsce spotkania. Ale tu nie chodzi o wiarę ani o dostęp do miejsc uważanych za święte, nawet jeśli tak się to przedstawia. Izrael używa biblijnych opowieści do celów politycznych.

W wielu miejscach uznanych za biblijne można demolować Palestyńczykom życie, odbierać przestrzeń, burzyć domy, by tworzyć biblijny Disneyland. I kreować narrację, która niweluje fakt obecności rdzennej ludności na tej ziemi i pozwala anektować kolejne tereny.

Wieś jest ogrodzona. Co pewien czas jeżdżą wojskowe samochody. Droga jest kręta, a widoki oszałamiające. Wzgórza porastają oliwne sady i drzewa cytrusowe. Właśnie dojrzewają cytryny. Mógłby to być przemiły zakątek, gdzie żyje się spokojnie, mając piętnaście minut do pobliskiej Jerozolimy. Mógłby, ale nie jest.

ZMĘCZENIE | Rodzina Aeeda i Nawal już trzy razy rozbierała swój dom, a po jakimś czasie, gdy Izraelczycy przestawali się nimi interesować, budowała od nowa prowizoryczne schronienie. Osiem razy musieli też rozbierać stajnie (tradycyjnie hoduje się tu owce i kozy). Rozebrano też prowadzony wraz z rodziną biznes – małą myjnię samochodową.

Nawal jest nauczycielką, uczy matematyki w podstawówce we wsi. Jest koło pięćdziesiątki, tak jak ja. Ma spokojną, poważną twarz, w której dziś – jak się dłużej przyjrzeć – daje się zauważyć napięcie.

Gdy rano usłyszała, że przyjechały buldożery i wojsko, bała się, że to znowu idzie o jej dom. Natychmiast wróciła, by sprawdzić, co się dzieje. Tym razem padło na brata jej męża i jego rodzinę. Zaraz do nich pobiegła. Chciała być z nimi i pomóc ratować, co się da.

– Żeby móc niszczyć domy Palestyńczykom, Izrael wykorzystuje wszystkie możliwe prawa, także historyczne: prawo z czasów Otomanów, jordańskie, brytyjskie, prawo cywilne i wojskowe. To, co im akurat pasuje, byle skutecznie pozbawić nas domów – tłumaczy potem palestyński znajomy. To samo mówią organizacje praw człowieka.

Zwykle jednak przynajmniej zachowuje się pozory, czeka do końca sprawy sądowej, jeśli taka się toczy. Rodzina, której dom dziś rozjechały buldożery, była w trakcie procedury sądowej. Teoretycznie to powinno czasowo wstrzymać rozbiórkę. Rodzinę wspiera dobry izraelski prawnik. Wszyscy zrobili, co mogli.

Ale Izrael nie liczy się z prawem. Prawo dotyczy tylko żydowskich osadników.

Zatem wojsko z niczego nie musiało się tłumaczyć. Po prostu przyjechali i zrobili, co chcieli. Izraelska wersja demokracji.

CIERPLIWOŚĆ | Nawal prowadzi też centrum dla kobiet. Spotykają się, wspierają, pomagają sobie. Czasem razem gotują, zwłaszcza gdy we wsi są uroczystości, np. ślub. Tworzą też tradycyjne rękodzieło. Takie koło gospodyń wiejskich w podjerozolimskiej wsi.

Kilka lat temu buldożery rozjechały także centrum dla kobiet. Zaledwie w kilka miesięcy po jego wybudowaniu. Bez żadnego nakazu, żadnej decyzji.

Teraz wszystkie kobiety schodzą się więc w domu Nawal. A w zasadzie w altanie z desek, w której teraz siedzimy, a która spełnia rolę salonu. Pijemy kawę z termosu. Jeszcze jest ciepło, ale wieczorem temperatura spadnie do 10 stopni. – Robimy, co się da, żeby wesprzeć ludzi. Są bardzo zmęczeni – mówi Nawal.

Niby to wciąż Jerozolima, a jednak nikt z mieszkańców wsi nie ma prawa wstępu do miasta. Mają dokumenty z Zachodniego Brzegu, czyli teoretycznie innego kraju. Rzecz w tym, że ta odrębność działa tylko wobec Palestyńczyków. Izraelczycy mogą przemieszczać się, dokąd chcą.

Palestyńscy mieszkańcy wsi po zakupy muszą więc jeździć do Ramallah, głównego miasta Autonomii Palestyńskiej. Ale i to nie jest proste. Najpierw trzeba poprosić o zgodę wojsko i zgłosić, co będą wieźć. Mając zgodę i tak muszą przejść kontrolę na checkpoincie przy wjeździe do Ramallah. Z możliwością wjazdu bywa różnie. Na każdym kroku problem – po arabsku *mushkila*.

Palestyńska codzienność. Ludzie tu muszą być cierpliwi. Zresztą chyba zaczęli uważać cierpliwość za swoje narodowe dziedzictwo, bo wielokrotnie słyszę: mamy za sobą 70 lat okupacji, możemy poczekać. Nie spiesz się, czekamy już 70 lat, mamy czas. Nawet na lekcji arabskiego, zwracając uwagę na wymowę, nauczyciel odwołuje się do cierpliwości: nie ma się co spieszyć, Palestyńczycy czekają już wiele lat.

POD GRUZAMI | Niemniej w takich sytuacjach, kiedy traci się dom, cierpliwość się kończy. Tym razem padło na dom Hany i Ameera. Hana jest ze społeczności żydowskiej. Nie zasłania włosów, trochę inaczej się ubiera, ale to nic nadzwyczajnego. Małżeństwa mieszane dziś zdarzają się rzadziej, kiedyś były bardzo częste.

Jednak jako żona Palestyńczyka Hana nie ma przywilejów przynależnych obywatelom i obywatelkom Izraela. Jest częścią tej społeczności i razem z innymi znosi opresję. ↦

Niszczone przez wojskowy buldożer domy Palestyńczyków w Jerozolimie, styczeń 2025 r.

ARCHIWUM PRYWATNE

JOANNA SARNECKA

Wyrwane z korzeniami drzewa. Może uda się je uratować, zasadzić jeszcze raz. Al-Nabi Samwil, Zachodni Brzeg Jordanu, strefa C

↦ Tego dnia, patrząc, jak buldożery zamieniają jej dom w kupę gruzu, próbowała je zatrzymać. Została aresztowana. Gdy docieramy na miejsce, właśnie wraca do rodziny, zwolniona już z aresztu. Inna osoba, która też nie miała siły biernie przyglądać się dewastacji, jest w szpitalu. Ma złamaną rękę.

– Zwykle przychodzą o świcie, jest dużo wojska, zamykają ulicę – mówi F., znajomy Palestyńczyk. – Potem przyjeżdża buldożer i dewastuje budynki. Jeśli rodzina nie wiedziała, że jest nakaz rozbiórki, i nie zdążyła zabrać swoich rzeczy, wszystko zostaje pod gruzami.

Hana i jej rodzina po rozbiórce domu nie mają prawa przebywać w wiosce. Już ich nie ma. Nie istnieją w systemie. Nie mogą tu być, nie mogą się przemieszczać, dostać zgody na zakupy w Ramallah. – Jestem teraz gościem w mojej własnej wsi – mówi Hana, gdy spotykamy się niedługo później.

OWOCE | Wyburzenie odbyło się tak.

– Rano zobaczyłam izraelskiego drona, który latał nad wsią – mówi Nawal. – Zniżył lot i był właściwie na wysokości mojej twarzy. Chciałam mu pomachać – śmieje się.

Była ósma rano. O ósmej czterdzieści pod domem Ameera pojawiło się około stu żołnierzy. Otoczyli dom, zaczęły się przepychanki. Tymczasem buldożer robił swoje.

Ameer z braćmi zbudowali ten dom pięć lat temu. Był wygodny, w sam raz dla rodziny z trójką dzieci. Wokół posadzili drzewa i właśnie dojrzewały na nich pierwsze owoce.

Wysiadamy z samochodu. Na ziemi, między kawałkami gruzu, leżą rozdeptane mandarynki. Pachnie tynkiem i świeżym sokiem. Powoli zachodzi pomarańczowe słońce.

Rodzina jest już spokojna, pogodzona, bo i cóż dadzą płacz czy krzyk. Każdy zbiera, co może. Zaraz przyjdzie noc. W wiadrach stoją wyrwane z korzeniami drzewa. Może uda się je uratować, zasadzić jeszcze raz. Meble, drobiazgi, obrazy. Ciotki, sąsiadki i koleżanki pomagają kobietom. Mężczyźni dźwigają większe rzeczy. Naradzają się.

Spotykamy gospodarza nieistniejącego domu. Drobny mężczyzna koło pięćdziesiątki. – Strasznie nam przykro z powodu tego, co się stało – mówimy. Ameer uśmiecha się delikatnie i pokazuje na niebo. Zawsze i wszędzie tam, gdzie nie zostaje nic, wiara przynosi nadzieję.

TYMCZASOWOŚĆ | Rodzina i społeczność tu to najcenniejsze, co się ma. Nikt nie jest sam. Zawsze wokół są ludzie. Hana, Ameer i ich dzieci znajdą schronienie, to pewne. A potem? Może znów odbudują dom albo dokleją pokoik dla siebie i dzieci do domu brata czy kuzyna?

Tymczasowość ma wpływ na architekturę, materiały budowlane, formy. Gdy się mieszka w strefie C, budując, można tylko liczyć na to, że pozostanie się niezauważonym, że system przynajmniej na jakiś czas o nas zapomni.

Rzeczywistość okupacyjna jest jednak bezwzględna: nic nie jest na zawsze. Wobec tego znów potrzeba cierpliwości: bo wszystko, co się zaczyna, ma też swój koniec, każda władza, każda dyktatura pewnego dnia upada. Trzeba przeczekać.

Tak o tym mówią, wiele osób. Czekanie, przeczekiwanie to niezbędna do przeżycia filozofia. Podczas spotkania w jednym z tutejszych protestanckich kościołów słyszę o „rewolucyjnej cierpliwości". Faktycznie tak to wygląda. Najsilniejszy opór toczy się w codzienności. A tym, co pomaga przetrwać, prócz wiary, są relacje: wspierająca ludzka sieć.

W ŚWIETLE ZACHODU | Za jakiś czas spotkamy się znowu z Haną. Dostaną pomieszczenie, które wcześniej służyło ich dalszej rodzinie jako magazyn. Tu mogą się zatrzymać. Co dalej? Nie wiadomo.

Tego wieczora odjeżdżamy. W złotym świetle zachodu ludzie zbierają swój drobny rozsypany dobytek. Rozjechane gąsienicami buldożerów życie.

Widoki wkoło są na swój sposób obłędne, ale jest w tym coś intymnego. Jakbyśmy, nieproszeni, wkroczyli do sypialni. Milczymy zawstydzeni.

© JOANNA SARNECKA

Autorka jest antropolożką i animatorką kultury, od grudnia 2021 r. działa na granicy polsko-białoruskiej. Od listopada do lutego przebywała w Palestynie jako wolontariuszka EAPPI, zajmując się monitoringiem łamania praw człowieka.

Polityka nieamerykańska

HAROLD HONGJU KOH, BYŁY DORADCA DEPARTAMENTU STANU USA:

Wysyłanie tysięcy imigrantów do Guantanamo, gdzie jedzenie dowozi się samolotem, a woda pitna jest kiepskiej jakości, to szaleństwo.

MARTA ZDZIEBORSKA: Trump najpierw wysłał do bazy amerykańskiej marynarki wojennej pierwszych nielegalnych imigrantów, a teraz ich stamtąd zabrał. Większość trafiła do Wenezueli, a jedna osoba wróciła do USA. Prezydent ocenił, że jego plan, by trzymać 30 tysięcy osób w Guantanamo, jest nierealistyczny?

HAROLD HONGJU KOH: Być może ocenił, że nie warto dać się zalać kolejnymi pozwami dotyczącymi transferu imigrantów. Przetrzymywanie ich w Guantanamo to także zbyt kosztowna i skomplikowana logistycznie operacja.

Działania administracji Trumpa w połowie lutego zaskarżyły organizacje praw człowieka, podnosząc argument, że imigranci nie mają dostępu do prawnika. Czy wysyłanie tych ludzi z USA do Guantanamo – bazy, gdzie od 2002 roku przetrzymuje się podejrzanych o terroryzm – jest w ogóle legalne?

Może być, chyba że udowodni się w sądzie, że imigranci mają ograniczony dostęp do reprezentacji prawnej i rzetelnego procesu. To, że wysłano ich do Guantanamo, nie przekreśla praw, które przysługiwały im na amerykańskiej ziemi. Sądy federalne mogą także potencjalnie zablokować cały proceder, uznając, że nie można wysyłać ludzi na terytorium nienależące do Stanów Zjednoczonych. Teren, na którym znajduje się baza, dzierżawiony jest bowiem od Kuby. Jest jeszcze trzecia sprawa. W przypadku przetrzymywania imigrantów w Guantanamo przez dłuższy czas potrzebna jest zgoda Kongresu.

Pierwszą kłodę administracji Trumpa rzucił sędzia federalny ze stanu Nowy Meksyk, który prewencyjnie zablokował transfer trzech Wenezuelczyków. Na jakiej podstawie to zrobił?

Przetrzymywani w amerykańskim ośrodku detencyjnym imigranci mieli wyznaczoną na początek marca kolejną rozprawę. Gdyby administracja Trumpa do tego czasu wysłała ich do Guantanamo, sędzia straciłby możliwość orzekania w ich sprawie.

Dodajmy, że prawnicy imigrantów twierdzili, iż wpisują się oni w profil osób wysyłanych do Guantanamo. Trafiło tam prawie 180 Wenezuelczyków. Niektórych z nich podejrzewano o powiązania z gangiem Tren de Aragua.

Podejrzewano – to adekwatne słowo. Jak wynika z doniesień amerykańskich mediów, administracja Trumpa być może tak naprawdę nie wie, kim są i co zrobili nielegalni imigranci, których wysłała do Guantanamo. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego twierdzi, że wszyscy mają na koncie wyroki deportacyjne, a część z nich to członkowie gangów. Tylko że w tej drugiej kwestii nie udowodniono im winy. Mam wrażenie, że część mogła być uznana za przestępców najwyższego kalibru tylko dlatego, że mają na ciele tatuaże.

Czy administracja Trumpa celowo nie podała nazwisk pierwszych imigrantów wysyłanych do Guantanamo, by utrudnić zaskarżenie ich transferu?

Myślę, że to przede wszystkim dowód na to, że administracja działała po omacku. Nie można wysyłać ludzi poza terytorium Stanów Zjednoczonych po prostu twierdząc, że są najgorszymi kryminalistami. Osoby podejrzane o powiązania z gangami trafiły do więziennego budynku o podwyższonym rygorze, gdzie kiedyś przetrzymywano członków Al-Kaidy. To oburzające. Gdyby Trump naprawdę chciał usprawnić deportacje ↦

Wenezuelscy migranci deportowani z bazy Guantanamo na lotnisku Simon Bolivar w Maiquetia. Wenezuela, 20 lutego 2025 r.

LEONARDO FERNANDEZ VILORIA / REUTERS / FORUM

↦ nielegalnych imigrantów, wziąłby się za budowę nowych ośrodków detencyjnych w USA.

Nayna Gupta, prawniczka z organizacji American Immigration Council, oceniła, że wysłanie ludzi do Guantanamo to był desperacki ruch, by znaleźć dodatkowe miejsce do przetrzymywania imigrantów. Pan tak uważa?

Absolutnie nie. Wysyłanie tysięcy ludzi do Guantanamo – miejsca, gdzie jedzenie dowozi się samolotem, a woda pitna jest kiepskiej jakości – to czyste szaleństwo. Na terenie bazy marynarki wojennej działa tylko jeden szpital, gdzie pomoc medyczna jest ograniczona. Dodatkowo, rozlokowanie tysięcy imigrantów w namiotach może skończyć się szybkim rozprzestrzenianiem chorób za sprawą insektów i grasujących szczurów.

Baza Guantanamo już kiedyś zamieniła się w prowizoryczny obóz. Było to w czasie kryzysu migracyjnego w 1994 roku, gdy Amerykanie wysyłali tu Kubańczyków wyłapywanych na morzu, jeszcze przed dotarciem do wybrzeży Florydy.

W szczytowym okresie przetrzymywano tu 25 tysięcy ludzi. Pomysł Trumpa jest jednak absolutnie bezprecedensowy: nigdy w amerykańskiej historii nie wysyłano do Guantanamo imigrantów, którzy przebywali już na terenie USA.

Był Pan kiedyś w Guantanamo?

Tak, wiele razy.

Jak wygląda Migrant Operations Center – ośrodek, gdzie trafiła część imigrantów przywieziona w lutym przez administrację Trumpa?

To niewielki, parterowy budynek. Kiedy go odwiedzałem przed laty, miał tylko około stu cel. Migrant Operations Center mieści się w innej części bazy wojskowej, po lewej stronie zatoki Guantanamo. Więzienie, gdzie od 2002 roku przebywają podejrzani o terroryzm, znajduje się po prawej stronie.

Sekretarz obrony Pete Hegseth, który służył kiedyś w bazie wojskowej w Guantanamo, twierdził w styczniu, że to „idealne miejsce" do przetrzymywania imigrantów.

W Guantanamo panuje suchy, nieprzyjazny klimat. Większość budynków jest prowizoryczna. Stołówka mieści się w namiocie.

Tylko trzeba dodać, że sekretarz Hegseth służył tam co najwyżej rok. Pamiętam, że jeszcze w latach 90. personel wojskowy przebywał tam maksymalnie przez trzy miesiące. To w związku z trudnymi warunkami na miejscu. W Guantanamo panuje suchy, nieprzyjazny klimat. Większość budynków jest prowizoryczna. Nawet stołówka, gdzie jada personel, mieści się w namiocie. Kiedyś słyszałem, że o mały włos nie zmiótł go do zatoki huragan.

Mówi Pan o prowizorce, tymczasem samo utrzymanie więzienia dla podejrzanych o terroryzm to gigantyczne koszty. Według najbardziej aktualnej analizy „New York Timesa" z 2019 r., to wydatek rzędu ponad 13 mln dolarów rocznie na jednego więźnia. Dlaczego tak dużo?

Sporą część kosztów zżera opłacenie personelu i działającego w Guantanamo sądu wojskowego.

Jeszcze w 2019 r. w bazie stacjonowało 1800 żołnierzy. Według najświeższych doniesień „New York Timesa" mowa o 800 żołnierzach i grupie pracowników kontraktowych.

Do tych wysokich kosztów trzeba jeszcze doliczyć regularne przeloty sędziów, prawników i dziennikarzy. Nie zapomnijmy o przewożeniu więźniów, którzy coraz starsi i coraz bardziej schorowani potrzebują opieki medycznej w USA. Pamiętam, że gdy w latach 90. amerykańskie władze przetrzymywały w Guantanamo haitańskich migrantów zakażonych HIV, jeden z mężczyzn, którego reprezentowałem, transportowany był do kliniki na Florydzie aż pięć razy.

Dzięki Pana walce sąd federalny w 1993 r. nakazał wypuszczenie Haitańczyków, którzy ostatecznie trafili do USA. Dlaczego Trump już w pierwszych tygodniach rządów zrobił pokaz siły i wysłał imigrantów do Guantanamo?

Bo chciał udowodnić, że skutecznie rozprawia się z – jak to ujął – „największymi przestępcami wśród nielegalnych imigrantów". Guantanamo od dawna postrzegane jest jako miejsce, gdzie z dala od USA można pozbyć się problemu. Trump działa jak Putin, który przed laty umieścił Aleksieja Nawalnego w kolonii karnej na Syberii, tak by był jak najdalej od Moskwy i opinii publicznej.

Putin nie musi wysyłać oponentów politycznych poza granice swojego kraju. Wystarczy, że umieści ich właśnie na Syberii.

Putin hipotetycznie mógłby jednak wykorzystać to, co robi teraz Trump, wysyłając, dajmy na to, 30 tys. politycznych więźniów na jakąś wyspę poza Rosją. Z Ameryki płynie także zły sygnał dla Chin, które mogłyby wpaść na pomysł, by wywozić Ujgurów z Sinciangu [mniejszość muzułmańska prześladowana przez Pekin – red.].

Jak ocenia Pan w szerszej skali pierwsze aresztowania nielegalnych imigrantów za rządów Trumpa? Czy działania służb imigracyjnych mocno różnią się od tych podejmowanych za Bidena?

Na pewno są bardziej nagłaśniane. W social mediach publikowane są zdjęcia z aresztowań, co ma robić wrażenie na opinii publicznej. W pierwszych tygodniach rządów Trumpa zwiększono co prawda liczbę aresztowań imigrantów, ale pytanie, czy da się to utrzymać w długofalowym okresie. Głównym celem łapanek są miasta-azyle, jak Los Angeles, Chicago i Nowy Jork, które odmawiają współpracy z federalnymi służbami odpowiedzialnymi za deportacje. Administracja Trumpa chce pokazać, że będzie deportowała ludzi pomimo kłód rzucanych jej pod nogi.

Nowa administracja pozwała już za to władze stanów Nowy Jork oraz Illinois. W pozwie nowojorskim oskarżono władze o to, że wydają prawo jazdy nielegalnym imigrantom i zakazują przekazywania służbom imigracyjnym informacji na temat

posiadaczy tych dokumentów. Czy ten pozew jest zasadny?

To złożona kwestia do rozstrzygnięcia przez sądy. Władze stanowe mogą w dużym stopniu kształtować politykę wobec swoich mieszkańców, bez względu na ich obywatelstwo. Na przykład mogą oferować nielegalnym imigrantom opiekę medyczną albo organizować dla nich programy dożywiania. W tej sprawie administracja Trumpa idzie na noże, choć na dobrą sprawę strzela sobie w kolano. Chce zwiększyć deportacje nielegalnych imigrantów, choć amerykański rynek pracy mocno na nich polega. To oni pracują w rolnictwie, harują w fabrykach i na budowach. Nie rozumiem też próby Trumpa, by zakończyć przyznawanie amerykańskiego obywatelstwa dzieciom, które urodziły się w USA, ale ich rodzice są nielegalnymi imigrantami.

To, co robi Trump, jest głęboko nieamerykańskie. Pamiętam czasy, gdy dzieci imigrantów postrzegano jak pokolenie mające szansę na osiągnięcie sukcesu w Ameryce. Sam jestem synem imigrantów, dlatego działania administracji Trumpa tak mocno mnie dotykają.

Jednak przyzna Pan, że pewne zagrania Trumpa są kontynuacją polityki Bidena. Demokrata w 2023 r. dogadał się z Meksykiem, że ten kraj będzie przyjmował deportowanych z USA nielegalnych imigrantów – konkretnie takich, których trudno odesłać do kraju pochodzenia. Administracja Trumpa zawarła teraz podobną umowę z Panamą, Gwatemalą i Kostaryką.

Nie chcę być adwokatem Bidena, bo nie zgadzam się z jego niektórymi decyzjami. Ale on w przeciwieństwie do Trumpa stawiał na dyplomację i rozmowy. Stosował przy tym strategię kija i marchewki. W zamian za przyjęcie większej liczby nielegalnych imigrantów kraje takie jak Meksyk mogły liczyć na dodatkową transzę pomocy zagranicznej. Trump nie waha się wymuszać ustępstw brutalnymi środkami.

Przykładem są jego groźby wojny handlowej z Meksykiem lub straszenie Panamy przejęciem Kanału Panamskiego.

W kontekście Panamy oburzające są doniesienia dotyczące pierwszych imigrantów, których deportowali tam Amerykanie. Administracja Trumpa lekką ręką pozbyła się problemu. Nie musi się przejmować, czy imigranci [z azjatyckich i afrykańskich krajów – red.] będą mogli złożyć w Panamie wniosek o azyl i czy ich prawa będą tam przestrzegane.

U.S. MISSION TO THE UNITED NATIONS IN GENEVA

HAROLD HONGJU KOH – profesor prawa międzynarodowego na Uniwersytecie Yale. Doradca prawny w Departamencie Stanu w latach 2009-2013, za administracji Baracka Obamy, oraz krótko za rządów Bidena. W latach 90. skutecznie zaskarżył decyzję o przetrzymywaniu haitańskich imigrantów w Guantanamo. Koh reprezentował Ukrainę przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w sprawach przeciwko Rosji.

Wracając do podobieństw, jest chyba jeszcze jedna rzecz, która łączy Trumpa i Bidena.

Co ma Pani na myśli?

Biden w czasie pandemii utrzymał trumpowskie restrykcje na południowej granicy USA. Na ich mocy zawracano większość nielegalnych imigrantów, nie wnikając, czy mają podstawę do ubiegania się o azyl. Jesienią 2021 r. jeszcze jako doradca prawny w Departamencie Stanu napisał Pan notatkę służbową krytykującą ten ruch.

Zabrałem wtedy głos, bo nie można się zasłaniać względami epidemicznymi, by w czasie dużego napływu imigrantów uszczelniać granicę i odmawiać im prawa do ubiegania się o azyl. Nie mówiąc już o wsadzaniu ludzi do samolotów deportacyjnych do krajów pochodzenia, gdzie grożą im prześladowania. A to w szczególności dotyczyło Haitańczyków. Ostatecznie administracja Bidena zrezygnowała z tej polityki, ale myślę, że Trump będzie starał się ją wskrzesić.

Powróćmy do Guantanamo i więzienia dla podejrzanych o terroryzm. Pomimo obietnic nie zdołali go zamknąć ani Biden, ani Barack Obama, który zakończył rządy w 2017 r. Dlaczego to jest takie trudne?

Pierwsza sprawa to opór ze strony części Kongresu, a druga to, że zamknięcie Guantanamo nigdy nie było wysoko na liście priorytetów. Dla Obamy najważniejsze było przepchnięcie reformy opieki zdrowotnej, dzięki której ubezpieczenie zyskały miliony Amerykanów. Na końcówce drugiej kadencji Obamy przetransferowano jedynie część więźniów do innych krajów. Joe Biden zrobił to samo i dlatego dziś w więzieniu zostało tylko 15 osób. Gdy Trump objął rządy, ogłosił, że zrobi z Guantanamo jeden wielki obóz dla nielegalnych imigrantów. Tak kończy się krótkowzroczne myślenie polityków. Zamiast znaleźć rozwiązanie, tworzą kolejny problem.

W ostatnich latach do Guantanamo trafiali niekiedy nielegalni imigranci zatrzymani przez amerykańską straż przybrzeżną. Według „New York Timesa" przebywali tam średnio przez pół roku. Rekordzista utknął na niemal cztery lata. Dlaczego na tak długo?

Bo czasem przedłużają się negocjacje w sprawie przyjęcia imigrantów przez inne kraje. Na przykład Haitańczycy czasem trafiali do Kanady, a Kubańczycy do Australii. Główny cel jest taki, by wysłać ich w miejsce, z którego nie będą chcieli wyjeżdżać i ponawiać próby przedarcia się do Stanów Zjednoczonych. Wyobraźmy sobie, że administracja Trumpa trzyma w Guantanamo 30 tys. ludzi i musi wynegocjować ich transfer. To mogłoby być bardziej skomplikowane niż w przypadku mniejszej grupy imigrantów. Z której strony by spojrzeć, plan Trumpa jest niedorzeczny.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

Tekst ukończono 21 lutego.

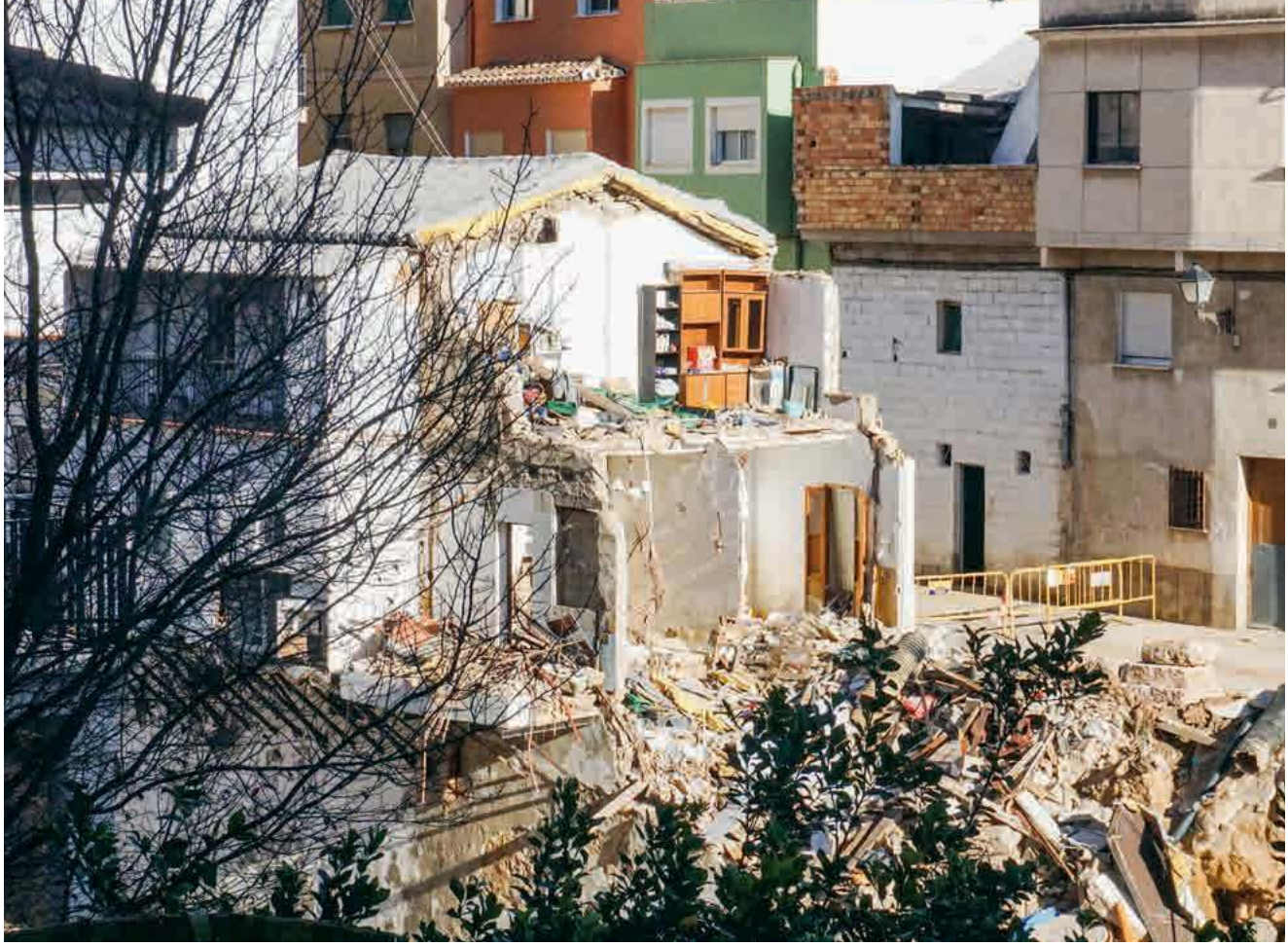

Wiele budynków po przejściu fali powodziowej nadaje się tylko do wyburzenia. Chiva, Hiszpania, styczeń 2025 r.

Higiena dla myśli

TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z PAIPORTY, CATARROJI I CHIVY (HISZPANIA)

Pracowałam jako wolontariuszka w okolicy Walencji – na terenach, przez które sto dni temu przetoczyła się niszczycielska powódź.

Isidre ma 49 lat. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna nerwowo zerka na zegarek. Brama do jego garażu jest otwarta, a w środku stoi niemal nowy samochód hybrydowy.

– Pół godziny temu miała być laweta i ciągle nic – Isidre nie jest zdziwiony spóźnieniem, znając hiszpańskie podejście do czasu.

Tyle że on czeka już ponad dwa miesiące, aby ktoś zabrał z garażu jego czteroletni niesprawny samochód.

– Chcę zapomnieć, zacząć nowy rozdział, a oglądanie auta za 20 tys. euro, którym nigdy już nie pojadę, jest trudne – mówi.

Isidre doskonale pamięta tamten dzień, 29 października 2024 r. Ledwo wrócił z ostatniego montażu drzwi i zaparkował auto, a przyszła ogromna fala. W kwadrans stracił nie tylko samochód, ale też zakład stolarski, który prowadził wraz z młodszym bratem.

Gdy tak czekamy na lawetę, Isidre zaprasza do środka garażu. Czuć wilgoć, w powietrzu unosi się kurz. Tuż obok samochodu jest regał z książkami, gdzieniegdzie widać jeszcze błoto i nawilgłe kartki. Isidre nie chce ich wyrzucać, to pamiątka po ojcu.

W powodzi, która pod koniec października 2024 r. spustoszyła rejon Walencji, zginęło co najmniej 220 osób.

Bez pracy i domu

W głębi garażu jest ów zakład stolarski, a właściwie pozostałości po nim. Wszystkie maszyny trzeba było wyrzucić. Jest już kilka nowych, które Isidre kupił z pierwszej wypłaty odszkodowania.

Jednak od stu dni jest bezrobotny, podobnie jak jego brat Jordi. Młodszy o dwa lata, jest szczuplejszy i niższy. Świeci słońce, a on ma czapkę i szalik zaciągnięty na usta. Nie patrzy na mnie, wzrok ma wbity w podłogę.

– Tego dnia nie zapomnę. Byłem w mieszkaniu na parterze, gdy po kilku minutach woda zaczęła sięgać mi do szyi. Udało mi się wypłynąć z domu, ale uratowałem tylko telefon. Straciłem wszystko – mówi.

W domu Jordiego nie ma już błota. Przez piętnaście dni wyrzucał je wraz z kilkunastoma wolontariuszami. Teraz jest pustka. Z sypialni dobiega tylko hałas włączonego osuszacza powietrza, który Jordi dostał od Czerwonego Krzyża.

Są też plastikowe worki, paczki z ręcznikami i pościelą, a nawet telewizor, który dostał z darów, od ludzi i firm. Wszystko stoi nierozpakowane.

Jordi jeszcze przez wiele miesięcy nie będzie mógł wrócić do domu. Jest za dużo wilgoci, ściany muszą wyschnąć. Inaczej malowanie nie ma sensu.

Jordi prowadzi mnie na taras z widokiem na wąwóz. Pokazuje miejsce, w którym znaleziono ciało jednej z mieszkanek

Popowodziowy cmentarz samochodów w Catarroja

miasteczka. Zginęła w swoim samochodzie.

Strefa zero

Jordi i Isidre są mieszkańcami Paiporty, 25-tysięcznej gminy. Z Walencji są tu tylko trzy kilometry: prosta droga, trzy ronda.

Paiporta została nazwana „strefą zero" powodzi. Kilkadziesiąt jej ofiar to mieszkańcy Paiporty. Wielu to starsi schorowani ludzie, mieszkający na parterze, a także kierowcy uwięzieni w autach, a nawet przechodnie.

Dziś Paiporta zamieniła się w plac budowy. Całe miasteczko poszukuje elektryka, murarza czy stolarza. Na dachach samochodów przewożone są prowizorycznie przymocowane drabiny. Mnóstwo też żółtych barierek, odgradzających nieprzejezdne miejsca, i czerwono-białych taśm na pozamykanych placach zabaw i parkach.

Na ulicach prawie nie ma już błota, gdzieniegdzie ostało się na konarach palm.

Jednak większość biznesów pozostaje zamknięta. Otwartych jest raptem parę kawiarni i barów, w których wystawiono stoliki na zewnątrz. Przy tej samej ulicy zamknięty pozostaje sklep papierniczy (kartka głosi: „Wrócimy wkrótce"), otwarto już za to salon piękności – ten jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki uniknął wielkiej fali.

Świece na zboczu

Na ulicach wciąż widać wozy policyjne, wojsko i UME, wojskowy oddział ds. klęsk żywiołowych. Jest też nadal kilka punktów, gdzie mieszkańcom rozdaje się jedzenie i środki czystości.

Za szybami samochodów widać kartki z napisem „działa" albo „nie działa, przed usunięciem zadzwoń na podany numer".

Oprócz aut ucierpiała też elektryka: tysiące budynków straciło windy i domofony; informują o tym kartki przy drzwiach wejściowych.

Nie działa też stacja metra (linia biegnie do Walencji) i pewnie długo będzie niedostępna.

Wąwóz w Paiporcie, z którego wylała woda, jest teraz całkowicie wyschnięty. O tragedii przypominają rzędy wypalonych świec na jego zboczu. Każdego 29. dnia miesiąca przynoszą je mieszkańcy.

W pobliskiej gminie Chiva wysiedlono całą ulicę leżącą najbliżej tego wąwozu i rzeki; budynki nie nadają się do zamieszkania. Wielu podmytym starym murom grozi zawalenie.

Miasteczka zniszczone przez powódź łączy charakterystyczny widok: ulic z ciągnącymi się rurami. Przy studzienkach wciąż słychać przelewającą się wodę.

Liczenie strat

Minęło ponad sto dni, odkąd zjawisko pogodowe zwane tu DANA uderzyło w południowo-wschodnią Hiszpanię. Burze, intensywne opady (w Chivie nawet 500 mm w ciągu ośmiu godzin) doprowadziły do wylania rzek.

Prócz ofiar ludzkich, zniszczonych zostało ponad 530 km dróg i 15 km linii kolejowych. W kilkudziesięciu miasteczkach w okolicy Walencji uszkodzonych lub zniszczonych zostało 130 tys. domów i ponad 120 tys. aut (dla nich stworzono specjalne „cmentarze"). Władze Walencji szacują, że ponad 60 proc. biznesów z terenów powodziowych pozostaje nieczynnych. Także 48 tys. uczniów z terenów powodziowych nie wróciło wciąż do szkół; kontynuują naukę zdalnie.

Walencki Instytut Badań Ekonomicznych (Ivie) szacuje straty materialne na ponad 17 mld euro.

Ucierpiały też zwierzęta: tylko w pierwszych dniach potwierdzono śmierć ponad 3 tys. zwierząt hodowlanych. Kilka dni po przejściu fali uruchomiono platformę internetową, by w jednym miejscu zbierać informacje o zagubionych, znalezionych lub widzianych gdzieś zwierzętach domowych. Jak dotąd opublikowano 450 wpisów, a jedna trzecia tych zwierząt wróciła do właścicieli.

Z kolei w mediach społecznościowych lokalne schroniska publikują zdjęcia i opisy zwierząt porzucanych. Jak ten: „13-letnia suczka szuka nowych właścicieli. Jej rodzina straciła dom i już nie może się nią zająć".

Czynnik ludzki

DANA nie jest czymś nowym na Półwyspie Iberyjskim: to zjawisko pogodowe, gdy masa polarnego powietrza zderza się z ciepłym znad Morza Śródziemnego. Tym razem jednak zaskoczyła jego intensywność.

– Rozumiem, że może zdarzyć się powódź, ale bolało mnie, że nas nie ostrzegli ↦

Isidre w pozostałościach swojego zakładu stolarskiego pokazuje, dokąd sięgała woda. Paiporta, styczeń 2025 r.

↦ i pozostawili samym sobie – mówi stolarz Jordi.

Wprawdzie krajowa agencja meteorologiczna AEMET opublikowała na portalu X ostrzeżenie przed „ekstremalnym zagrożeniem" już 29 października przed ósmą rano, ale lokalny rząd Walencji wysłał alert na telefony mieszkańców dopiero po dwudziestej. Znaczna część miejscowości była już wtedy pod wodą.

Frustrację mieszkańców Paiporty dało się odczuć podczas wizyty pary królewskiej kilka dni później. Filipowi VI i królowej Letycji towarzyszyli premier Pedro Sánchez i prezydent Walencji Carlos Mazón. Mieszkańcy rzucali w ich stronę błotem, krzycząc: „Zabójcy!" i „Precz stąd!".

Wizyta miała być symbolem jedności, bo premier-socjalista pojawił się obok konkurenta z konserwatywnej Partii Ludowej. Wkrótce jednak zaczęły się wzajemne oskarżenia. Potem, podczas kolejnych wielkich demonstracji, mieszkańcy Walencji żądali dymisji Mazóna. Ten uważa jednak, iż nie ma sobie nic do zarzucenia i obwinia Konfederację Hydrograficzną Júcar, która podlega ministerstwu transformacji ekologicznej i rządowi centralnemu w Madrycie. Mazón uważa, że Júcar nie poinformowała na czas o rosnącym poziomie wody.

Tymczasem prokuratura prowadzi śledztwo. Pozew przeciw kilku lokalnym politykom i szefowi Júcar złożyło stowarzyszenie bliskich ofiar DANY „Huerta Sud". Ze zbiorowym pozwem wystąpili też krewni ofiar skupieni wokół Stowarzyszenia SOS Zaginieni.

Rzecz o nadziei

Ale powódź stała się też demonstracją solidarności – tej dającej nie tylko wsparcie materialne, ale i nadzieję.

Media obiegły zdjęcia ciągnących do Walencji wolontariuszy. Już w pierwszych dniach listopada przyjechało ich ponad 15 tysięcy – z kraju i zagranicy. W sklepach, zakładach fryzjerskich, a nawet szkołach tańca w całej Hiszpanii zbierano produkty i organizowano koncerty czy mecze, z których dochód przeznaczano na odbudowę zalanych miasteczek.

Manuel Deronde, koordynator wolontariuszy z Red Civil de Voluntarios (grupa powstała dzień po przejściu DANY), zwraca uwagę, że problemem wśród powodzian jest brak podstawowych informacji: – Drogi do zalanych miejscowości są już przejezdne, ale wciąż jest wiele do zrobienia. Skupiamy się teraz na pomocy starszym osobom, które mają problemy z poruszaniem się. Do nich wysyłamy wolontariuszy. U nas działa obecnie ok. 100 osób, ale potrzeb jest więcej.

– Wciąż spotykamy ludzi, którzy mimo wilgoci odmalowują domy i liczą daremnie, że będą mogli się szybko wprowadzić – mówi Deronde. Aby wyjaśniać mieszkańcom, co warto robić, a czego nie, powstały specjalne profile na Instagramie i Telegramie.

– Pytasz o wyzwania? To polityka – mówi mi były żołnierz, a od półtora miesiąca wolontariusz, który woli pozostać anonimowy. – Władzom nie podoba się obecność cywilnych wolontariuszy, nie pozwolili też działać oddziałowi ratunkowemu żołnierzy z Meksyku. Dlaczego? Uważam, że jest wiele rzeczy do ukrycia, wiele zaniedbań, wciąż odnajdowane są ciała zaginionych, a skala zniszczeń jest większa od tej oficjalnie podawanej.

Higiena dla myśli

Laura Prieto z miasteczka Benetússer, psycholożka, pracuje z poszkodowanymi w powodzi. – Mimo upływu czasu moi pacjenci wciąż mają flashbacki, wracające wspomnienia, ataki lęku i paniki. Boją się zostawiać starszych rodziców samych w domu. Widoczna jest też apatia – mówi Prieto.

Jej gabinet w pierwszych dniach po powodzi świecił pustkami. – Ludzie odwoływali wcześniej umówione wizyty, skupiali się na podstawowych potrzebach i instynkcie przetrwania – mówi Prieto.

Dlatego Laura Prieto, wraz ze specjalistami z Kolegium Psychologów w Walencji, zdecydowała się udzielać bezpłatnych porad. Wykorzystuje też media społecznościowe, aby uczyć dbałości o – jak to nazywa – higienę myśli. Uczy też technik relaksacyjnych i zasad zdrowego odżywiania. Uważa, że to ważne w powrocie do rzeczywistości po takim dramacie. Choć i tak w wielu przypadkach, aby uporać się z traumą, potrzebna będzie terapia.

Jordi, 47-letni stolarz z Paiporty, liczy na oczyszczenie wąwozu, który znajduje się w sąsiedztwie jego domu, i na budowę nowych tam oraz zbiorników. – Bez tych prac odbudowa naszych domów nie ma sensu.

– A jeśli taka powódź ma się jeszcze raz powtórzyć, nie chcę już dalej żyć – dodaje.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Nie zginęli na darmo

PATRYCJA BUKALSKA

21 lutego 2018 r. zastrzeleni zostali słowacki dziennikarz śledczy Ján Kuciak i jego narzeczona Martina Kušnírová. Po tej zbrodni Słowacy zażądali reformy kraju. Czy coś się od tamtej pory zmieniło?

Katarína Nagy Pázmány miała wówczas niespełna 28 lat. Wiadomość o zabójstwie dwojga młodych ludzi usłyszała w radiu, jadąc autem. Podano ją między jakimś newsem z Dubaju a prognozą pogody.

Katarínie nie chciało się wierzyć, że po czymś takim w radiu ktoś będzie mówić o opadach śniegu, że będzie grać muzyka. Zaczęła przerzucać radiowe stacje, by dowiedzieć się więcej. Poczuła szok, smutek i gniew.

W pierwszym odruchu zadzwoniła do męża. Oboje byli wtedy rówieśnikami Jána i Martiny. Oboje uznali, że coś muszą zrobić. Wraz z kilkoma znajomymi wystosowali w sieci apel o upamiętnienie zamordowanych. Niespodziewanie odpowiedziały im tysiące ludzi.

Nie kończyło się na pierwszej demonstracji w Bratysławie, 2 marca 2018 r. Potem odbywały się kolejne, również w innych miastach i małych miasteczkach. Pod hasłem „Za uczciwą Słowację".

Gdy rozmawiałam wtedy z Katarínią, podkreślała, że chodziło o opowiedzenie się także za demokracją i wolnością słowa, o pokazanie, że to nie tylko gniew, ale też smutek i miłość. Demonstrujący mieli dwa postulaty: żądali niezależnego śledztwa w sprawie tej zbrodni z udziałem międzynarodowych śledczych i nowego wiarygodnego rządu.

Ówczesny premier Robert Fico pod presją podał się do dymisji. Jednak w 2023 r. wrócił do władzy. Jeśli chodzi o śledztwo i proces, to nie udało się doprowadzić do skazania domniemanego zleceniodawcy (wykonawca i pośrednicy są w więzieniu).

Z pytaniem o sytuację na Słowacji siedem lat po śmierci Kuciaka i Kušnírovej wracam do Kataríny Nagy Pázmány. ©℗

PATRYCJA BUKALSKA: Gdy siedem lat temu Słowacy wyszli na ulice, chodziło o upamiętnienie Jána i Martiny, ale też o naprawę kraju, o uczciwą Słowację. Taka zmiana wydawała się wtedy możliwa. Jak wygląda to teraz?

KATARÍNA NAGY PÁZMÁNY: Pragnienie uczciwie i dobrze rządzonego kraju jest jeszcze większe. Ostatnie lata były burzliwe, obfitowały w kryzysy: pandemia, wojna w Ukrainie, kryzys klimatyczny, także i to zachwiało powszechnym zaufaniem ludzi. Nagle zmieniły się zasady i świat, jaki dotąd znaliśmy. Wiele dezinformacyjnych sieci to wykorzystało i widzimy, że ludzie są bardziej skłonni im wierzyć. Widzę jednak, że ten trend występuje nie tylko na Słowacji, ale także w innych krajach.

Na Słowacji od tamtego czasu zmieniały się rządy, ale obecnie znów rządzi koalicja z Robertem Ficą w roli premiera, który powtarza, że to nie rok 2018 i teraz nie ustąpi. To trochę smutne, widzieć, jak łatwo ludzie zapomnieli...

ROBERT NEMETI / ANADOLU / EAST NEWS

Antyrządowa demonstracja w szóstą rocznicę zamordowania dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej. Koszyce, 21 lutego 2024 r.

Obecne protesty są inne niż te w 2018 r.? To ta sama energia czy może ludzie są bardziej rozczarowani?

Z pewnością ludzie są bardziej rozczarowani i wielu zrezygnowało lub wyjechało za granicę. Zauważam też, że ludzie nie są tak zjednoczeni jak wtedy. W 2018 r. udało nam się dotrzeć i połączyć ze sobą zróżnicowane grupy. Teraz grupa protestujących jest bardziej jednorodna, choć widać, że nadal jest bardzo liczna. Organizatorzy protestów rozszerzyli też swoje działania i nawiązali do innych kwestii, jak pokój na Ukrainie.

Kolejna różnica to fakt, że mamy obecnie na Słowacji silną opozycję, która też organizuje protesty. Czasem zdarza się, że protesty opozycyjne i obywatelskie odbywają się naprzemiennie. Generalnie jednak cieszę się, że nadal istnieje duża grupa ludzi, którzy od lat, gdy zajdzie taka potrzeba, nawet co tydzień wychodzą na ulice, w małych i dużych miastach, mimo swoich obowiązków zawodowych i rodzinnych. I wciąż kolejne miasta się przyłączają.

Sprawa śmierci Jána i Martiny pozostaje niezakończona. Czy sądzi Pani, że uda się ją wyjaśnić?

Dla mnie jest to bardzo ważna sprawa, także ze względu na rodziny Jána i Martiny. Ale także za względu na całe społeczeństwo, które zasługuje na to wyjaśnienie. Staram się mieć zaufanie do osób zaangażowanych w pracę sądu, do instytucji i procedur prawnych, choć trudno jest wykazać się tu cierpliwością.

Będzie Pani na kolejnych protestach?

Oczywiście! Choć u nas w rodzinie trochę zmieniła się sytuacja, już nie mieszkamy w Bratysławie, przeprowadziliśmy się na wieś. Ale organizuję protesty również tutaj. W piątek 21 lutego po manifestacji moderuję też dyskusję, której celem jest wzbudzenie jakiejś nadziei i zastanowienie się, dlaczego warto pozostać na Słowacji i być z tego dumnym. ©℗

Rozmowa odbyła się 18 lutego.

NOWA PRENUMERATA

PROSTO DO MOJEGO DOMU

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA
Kwartał – 12 wydań	170 zł
NOWOŚĆ Półroczna – 26 wydań	**320 zł**
Rok – 52 wydania	590 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	500 zł
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	110 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	690 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	600 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty cyfrowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Ceny prenumeraty łączonej (prenumerata drukowana i dostęp cyfrowy) nie ulegają zmianie.
Sprawdź pełną ofertę na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

„TYGODNIK POWSZECHNY" SUWERENNY DZIĘKI TOBIE

FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN / OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 9/2025

CYRYL RATAJSKI i jego Poznań

„Tylko z miłości powstaje czyn twórczy”

ANDRZEJ ZARZYCKI

Już wtedy, gdy przez 12 lat pełnił w II RP urząd prezydenta Poznania, nazywano go „ojcem miasta”. Ale nie tylko Wielkopolska była sferą jego publicznej aktywności. Kim był Cyryl Ratajski – polityk i przedsiębiorca, który urodził się 150 lat temu?

Należał do tych ludzi, którzy potrafią wyzwalać twórcze działania tam, gdzie inni ich nie widzą lub nie potrafią wykorzystać. Takimi ludźmi w II Rzeczypospolitej byli m.in. Władysław Grabski, Eugeniusz Kwiatkowski, Wojciech Korfanty, Wincenty Witos czy gen. Władysław Sikorski. Ich wszystkich Ratajski znał i z nimi współdziałał.

Bez wątpienia tę i inne jego cechy, a także jego zasługi dla Poznania dostrzegł Ignacy Jan Paderewski, pisząc do niego w jednym z listów: „dzięki Panu urząd ten [prezydenta miasta – red.] stał się u nas jednym z najwyższych”. Nie był to zwrot grzecznościowy. Stały za tym lata pracy na stanowisku prezydenta Poznania (1922-34) i związany z tym dynamiczny rozwój stolicy Wielkopolski.

Jego pracę dla Poznania poprzedziła działalność społeczno-polityczna pod pruskim zaborem na Śląsku (Racibórz, Cieszyn). W odrodzonej Polsce był też ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Grabskiego (1924-25).

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Prezydent Ignacy Mościcki z żoną Marią Mościcką i prezydent Poznania Cyryl Ratajski. Poznań, 4 lipca 1931 r .

Wykazał się odwagą we wrześniu 1939 r., gdy ponownie, z woli obywateli, został włodarzem Poznania (po tym, jak władze cywilne i wojskowe opuściły miasto). W latach 1940-42 sprawował zaś funkcję pierwszego Delegata Rządu RP na Kraj, współtworząc Polskie Państwo Podziemne.

Moje miasto, a w nim...

Zacznijmy tę opowieść od Poznania.

Cyryl Ratajski, który prezydentem został w wieku 47 lat, miał kluczowy udział w przekształceniu tego miasta z dawnego prowincjonalnego pruskiego miasta garnizonowo-urzędniczego (*Garnison- und Beamtenstadt*) w ośrodek wielkomiejski o randze europejskiej.

Jeszcze przed objęciem urzędu uczestniczył w powołaniu Uniwersytetu Poznańskiego (1919 r.), który nadał miastu status ośrodka akademickiego. Rangę miasta podniosło też uruchomienie Radja Poznańskiego 27 kwietnia 1927 r., którego był współorganizatorem i kuratorem. Była to trzecia rozgłośnia w Polsce – po Warszawie (1925 r.) i Krakowie (15 lutego 1927 r.).

Nie sposób wymienić wszystkich prekursorskich audycji poznańskiego radia, jak m.in. pierwszych w kraju transmisji dzieł operowych, mszy św. z katedry (od 1927 r.) czy gimnastyki porannej (od 1928 r.) lub meczów piłkarskich (od 1929 r.).

Poznańskie radio, obok uniwersytetu, odegrało rolę kulturotwórczą, edukacyjną oraz informacyjną, będąc jednym z elementów integracji odrodzonego państwa polskiego.

...Powszechna Wystawa Krajowa

Takie zadanie w obszarze gospodarczym spełniła z kolei słynna Powszechna Wystawa Krajowa (PeWuKa) z 1929 r. Ratajski był jej współinicjatorem i prezesem Rady Głównej, a dr Stanisław Wachowiak dyrektorem naczelnym.

W ciągu zaledwie dwóch lat, od stycznia 1927 r. do maja 1929 r., mimo niezliczonych przeszkód natury politycznej, finansowej czy technicznej, zdołano zorganizować wielką wystawę. Nawet prawdziwa „zima stulecia" (1928/29 r.) z mrozami sięgającymi minus 30 stopni nie odroczyła terminu jej otwarcia. Było to rekordowe tempo także na światowe warunki. Przeważnie bowiem tak duże imprezy wystawowe przygotowywano z wyprzedzeniem od pięciu do ośmiu lat.

Ratajski zaraził swoją wizją, optymizmem i pracowitością (niejednokrotnie pracował wówczas po 18 godzin na dobę) mieszkańców Poznania, którzy wraz z nim przystąpili do organizacji wydarzenia.

Powierzchnia ekspozycyjna PeWuKa obejmowała 65 hektarów, czyli była trzykrotnie większa niż obecny obszar Międzynarodowych Targów Poznańskich (22 ha). Kryte pomieszczenia mieściły się w 111 budynkach, których część nadal służy mieszkańcom, jak choćby kilka monumentalnych gmachów: Collegium Anatomicum i Collegium Chemicum, hotel „Polonia", którego budowa trwała jedynie 13 miesięcy (do 2020 r. był to szpital) lub Dworzec Zachodni – obecnie PKP.

Dworzec postawiono w 70 dni. To było tempo! I to bez takich sprzętów jak obecnie.

„Na przekór wątpiącym"

W prace nad stworzeniem PeWuKa włożono ogromny wysiłek – i otwarto ją na czas, rozwiewając niemiecką legendę o nieudolności polskiej gospodarki.

W dniu otwarcia wystawy, 16 maja 1929 r., Ratajski – w obecności m.in. prezydenta państwa Ignacego Mościckiego i ambasadorów 15 krajów – stwierdził, iż ma ona „przede wszystkim służyć pokrzepieniu serc, ma wielkim głosem wołać: *Sursum corda!* Na przekór wątpiącym i zrozpaczonym, na przekór hamulcom życia narodowego".

Jarosław Iwaszkiewicz, opisując wystawę, stwierdził, że była „ewenementem kulturalnym, towarzyskim, ekonomicznym, jednym słowem ewenementem pierwszej klasy". Wystawa, jak dotąd jedyna tego typu w Polsce, trwała długo, bo do 30 września 1929 r. (130 dni). Zwiedziło ją 4,5 mln osób, w tym 200 tys. z zagranicy (wśród nich 900 dziennikarzy z ponad 30 krajów).

Próżno jednak w wielu monografiach historii Polski szukać o niej informacji – zazdroszczono jej Poznaniowi. Dla porównania, w zorganizowanej jak dotąd największej imprezie w dziejach III RP, Mistrzostwach Europy w Piłce Nożnej w 2012 r., do Poznania przybyło 80 tys. zagranicznych gości, a ogółem do Polski – 500 tys. kibiców z zagranicy.

W ramach inwestycji związanych z PeWuKa zbudowano też nowoczesną elektrownię i spalarnię śmieci (1927 r.), jedyny tego typu ówcześnie obiekt w Polsce. Następne powstały dopiero po 75 latach (po 2000 r.). Dzięki spalarni i dobrej organizacji służb oczyszczania Poznań stał się miastem słynącym z czystości i porządku. Natomiast za sprawą rozbudowy infrastruktury komunalnej budynki w Poznaniu należały (obok Katowic) do najlepiej w kraju wyposażonych w sieć wodociągową, kanalizacyjną, gazową i elektryczną.

Dzielnica odrębna

Drugim ważnym przedsięwzięciem, związanym z prezydentem Ratajskim, była rozbudowa Targów Poznańskich i podniesienie ich do rangi międzynarodowych (od 1925 r.). ↦

Międzynarodowe Targi Poznańskie (MTP) zajmowały wśród tego typu imprez czwartą pozycję w Europie, jeśli idzie o powierzchnię ekspozycyjną, liczbę wystawców i obroty – plasowały się za Lipskiem, Lyonem i Mediolanem. Przez swój kształt przestrzenny i architektoniczny, do którego dążył Ratajski, teren Międzynarodowych Targów Poznańskich tworzy do dziś jakby odrębną, rozpoznawalną dzielnicę Poznania.

To były sukcesy, choć przecież w latach 1922-34 nie brakowało też błędów, porażek, niedociągnięć i poważnego zadłużenia miasta, m.in. w wyniku wspomnianych przedsięwzięć, choć proinwestycyjnych. Występowały też, mniejsze lub większe, problemy społeczne związane z brakiem mieszkań, bezdomnością i bezrobociem.

Wobec Wielkiego Kryzysu

Problemy te spotęgowały się w latach światowego kryzysu gospodarczego (1929-35).

W 1932 r. w Poznaniu 14 tys. osób pozostawało bez pracy. Jeśli uwzględnimy jednak utrzymywane przez nich rodziny, to spośród ok. 246 tys. mieszkańców Poznania z tego okresu, aż 43 tys. były pozbawione normalnych warunków życia (ok. 17 proc. ogółu). W Poznaniu brakowało też ok. 6 tys. mieszkań (dla ok. 10 proc. ogółu poznaniaków).

Nic więc dziwnego, że do prezydenta miasta docierały błagalne pisma o pracę i mieszkanie. W jednym z nich napisano: „Dla nas biedaków jest wszystko jedno, czy przyjdzie Niemiec, Żyd, bolszewik, albo Chińczyk i będzie rządził krajem, byle nie cierpieć z głodu, to przecież nie jest nasza Ojczyzna. To wasza Ojczyzna pełna brzuchów... dajcie Pracy!".

Sytuacja społeczno-gospodarcza w kraju była wówczas dramatyczna i trudna do rozwiązania, mimo podejmowanych w tym celu działań. W tym – osobistej pomocy finansowej prezydenta Poznania dla potrzebujących w mieście.

Dary serca

Dyskretnie udzielał prezydent Ratajski pomocy finansowej również znanym postaciom życia kulturalnego, będącym w trudnej sytuacji. Świadczy o tym np. list Stanisława Przybyszewskiego do najbliższego współpracownika prezydenta: „Wielce Szanowny Panie! Ponieważ w mojem życiu cuda się nie dzieją, co najwyżej jakieś małe cudziki do maksymalnie wysokości 50-ciu złotych, więc możesz Pan sobie wyobrazić ogrom mego zdumienia, gdy nagle otrzymałem 500 złotych i próżno sobie łamię, jaki cudem się to stało!".

Dlaczego Ratajski mógł sobie na to pozwolić? Bo był człowiekiem zamożnym, którą to pozycję społeczną i materialną osiągnął nie tylko dzięki pracowitości, zaradności i gospodarności, ale i przez małżeństwo z zamożną Stanisławą May (1908 r.), współwłaścicielką fabryki nawozów sztucznych w Poznaniu.

Po 1919 r. Ratajski stał się też współwłaścicielem Spółki Akcyjnej dr. Romana Maya – Chemicznej Fabryki w Luboniu k. Poznania, która dobrze prosperowała do czasów światowego kryzysu.

Niezależnie jednak od sytuacji finansowej, Ratajski zawsze miał serce otwarte dla innych. Jeszcze jako młody adwokat w Raciborzu wspomógł Polskie Towarzystwo Turystyczne „Beskid Śląski" w Cieszynie, które zresztą założył w 1910 r. Ofiarował wówczas Towarzystwu parcelę na szczycie góry Ropiczki (Roppitz, 1082 m n.p.m., obecnie Czechy). Trzy lata później stanęło tam pierwsze polskie schronisko turystyczne w tym regionie, który dotąd opanowany był przez niemieckie towarzystwo Beskidenverein.

„Staram się, jak mogę"

Z innych darów serca wymienić można choćby złoty łańcuch – symbol godności prezydenta miasta (1924 r.), który nadal służy władzom Poznania. Ponadto obrazy, portrety wybitnych postaci, w tym m.in. Paderewskiego, Edwarda Raczyńskiego czy obraz upamiętniający wizytę marszałka Ferdynanda Focha w Poznaniu.

Wydarzenie to miało miejsce 8 maja 1923 r. przed ratuszem. Zapamiętano z tego dnia taką anegdotę: Foch, zwycięski dowódca armii francuskiej, przyjmując defiladę różnych organizacji, w tym młodzieży szkolnej, w pewnym momencie zwrócił się do Ratajskiego: „Macie tutaj wiele dzieci". W odpowiedzi usłyszał: „Staram się, jak mogę".

Wrażliwość na potrzeby innych, jak i szacunek dla drugiego człowieka cechowały zresztą Ratajskiego niezależnie od zajmowanej pozycji. Wiele przykładów jego społecznej wrażliwości (na wymienienie wszystkich nie ma tu miejsca) to choćby pomoc finansowa dla kilku wielodzietnych rodzin. Dzieciom tych rodzin, jako ich ojciec chrzestny, pozakładał książeczki oszczędnościowe.

Z chłopskiej rodziny

Poznań zasługuje na szczególną uwagę w tej opowieści, gdyż tu przypadło apogeum publicznej działalności Cyryla Ratajskiego w II RP. Jego ziemią rodzinną była jednak wielkopolska prowincja: w małej wsi Zalesie Wielkie przyszedł na świat 3 marca 1875 r. – 150 lat temu – w rodzinie chłopskiej Wojciecha i Teofili z Filipowskich (wywodzącej się ze zubożałej szlachty). Kolejne etapy jego drogi to klasyczne gimnazjum Ad Sanctam Mariam Magdalenam w Poznaniu (o tradycji sięgającej 1302 r.) i Wydział Prawa na Uniwersytecie Berlińskim.

Gdyby szkicować jego portret polityczny, pod pruskim zaborem związał się z endecją, ale w odrodzonej Polsce zbliżył się do tzw. Frontu Morges i Stronnictwa Pracy. Reprezentował bowiem tradycję solidarystyczną, typową dla Wielkopolan: wierzył, że dla całości społeczeństwa ważniejsze jest to, co łączy, niż to, co dzieli. Preferował model państwa demokratycznego opartego na ideach katolicyzmu społecznego, z ograniczoną własnością państwową, o rozwiniętej strukturze prywatnej, samorządowej i spółdzielczej.

Jako człowiek politycznego centrum, dał się poznać bardziej jako organizator-

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 9/2025
REDAKCJA: Wojciech Pięciak
OKŁADKA: Cyryl Ratajski / NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE
TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara
PARTNERZY DODATKU
WYDAWNICTWO MIEJSKIE POSNANIA
POZnań

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Prezydent Poznania Cyryl Ratajski podczas otwarcia wystawy Aleksandra Laszenki (po lewej) w Sali Błękitnej hotelu Apollo. Poznań, 7 stycznia 1927 r.

-menadżer niż polityk. Trwałymi jego dokonaniami są założone lub współtworzone przez niego instytucje, które działają do dziś. Są to: Oddział PTTK Beskid Śląski w Cieszynie (1910 r.), Dom Narodowy „Strzecha" w Raciborzu (1911 r.; dziś Dom Kultury), Oddział Poznański PTTK (1913 r.), Towarzystwo Miłośników Miasta Poznania (1922 r.) oraz organ Towarzystwa „Kronika Miasta Poznania" (od 1923 r.), Międzynarodowe Targi Poznańskie (1925 r.), Radio Poznań (1927 r.), Stomil Poznań S.A. (1928 r.), Państwowe Przedsiębiorstwo Żegluga Polska w Gdyni (1926 r.; obecnie Żegluga Morska w Szczecinie) i Fabryka Chemiczna im. dr. R. Maya w Luboniu (1920 r.; obecnie pod nazwą Luvena).

Delegat na Kraj

Działał jednak nie tylko w małej ojczyźnie. Po tym, jak w kwietniu 1940 r. na krótko go aresztowano i osadzono w Forcie VII w Poznaniu (pierwszym hitlerowskim obozie koncentracyjnym na ziemiach polskich), w maju 1940 r. został wysiedlony – jak kilkaset tysięcy Polaków wygnanych z Wielkopolski. Poszukiwany przez Gestapo, szczęśliwie uniknął aresztowania i przedostał się do Warszawy.

Tutaj to, w grudniu 1940 r. – już w wieku 65 lat – został powołany przez premiera i wodza naczelnego gen. Sikorskiego na urząd pierwszego Delegata Rządu RP na Kraj (tj. najwyższego przedstawiciela cywilnych władz podziemnych).

Głównym jego zadaniem było organizowanie struktur tajnej administracji i informowanie rządu w Londynie o sytuacji pod okupacją niemiecką i sowiecką. Mimo trudności pod kierunkiem Ratajskiego zorganizowano Centralną Agencję Delegatury, w tym Biuro Delegata, odpowiadające kompetencjom przedwojennego Prezydium Rady Ministrów. Następnie po 1941 r. powołano dziesięć departamentów (odpowiedniki ministerstw), w tym m.in. Spraw Wewnętrznych (kryptonim „Ład") oraz Pracy i Opieki Społecznej („Praca"). Utworzono też dziewięć delegatur okręgowych.

„Panie Karski, nie odmawiajmy"

Choć jako Delegat Rządu sam działał z ciągłym narażeniem życia, pozostał wrażliwy na nieszczęście innych. Jeden z przykładów takiej postawy zrelacjonował autorowi tego tekstu Jan Karski ps. „Witold", kurier podziemia, gdy spotkaliśmy się w 1991 r. w Waszyngtonie.

Oto na początku września 1942 r. Ratajski – występujący pod przybranym nazwiskiem Celestyn Radwański i pseudonimami „Wartski", „Wrzos", „Górski" – wezwał do siebie Karskiego. Oświadczył mu, jak wspominał Karski: „Witold, mamy problem. Tu są dwie organizacje żydowskie, jedni syjoniści, drudzy bundowcy – socjaliści. Ja się nie orientuję w żydowskich sprawach politycznych. Oni się o Panu dowiedzieli. Pan jest znany, że Pan jedzie [do Londynu – red.]. Zwrócili się do mnie, że chcą Pana wysłać także w ich imieniu (...). Czy Pan się zgadza na to? (...) Witold, mnie się zdaje, że my nie powinniśmy im odmawiać".

Dzięki tej decyzji Karski mógł poinformować rządy aliantów o sytuacji polskich Żydów i przekazać ich prośbę o natychmiastową pomoc.

Rolę Ratajskiego w reakcji na los Żydów podkreślił Abraham Cykiert w artykule „Paradoks, któremu na imię Polska", opublikowanym w jidysz w 1993 r. w ukazującym się w Australii tygodniku „Di Ojstralische Najes". Pisał tam: „W tym tkwi wielki paradoks stosunków żydowsko-polskich w okresie zagłady. W czasie gdy żaden inny naród w Europie nie liczył się z opinią żydowską (...) warszawski delegat polskiego rządu w Londynie traktował żydowskie postulaty tak jak postulaty równoprawnych obywateli i przekazał je wysłannikowi. (...) Gdyby Ratajski zataił żydowską prośbę (...) czy ktokolwiek dowiedziałby się o tym?".

Jak wiadomo, Karski przekazał postulaty Żydów między innymi szefowi MSZ ↦

↦ Wielkiej Brytanii Edenowi, prezydentowi USA Rooseveltowi i prezesowi Światowego Kongresu Żydów. Jednak ginącej społeczności nie udzielono żadnej realnej pomocy.

Virtuti dla cywila

Zmarł 19 października 1942 r. w wieku 67 lat. Po jego śmierci do konspiracyjnego mieszkania, w którym odszedł, przybył gen. Stefan Rowecki „Grot", komendant główny Armii Krajowej. Wcześniej blisko współpracowali przy tworzeniu Państwa Podziemnego. Świadek wspominał: „Generał stał długo nad trumną w zadumie. Potem przybrał wojskową postawę na baczność i zasalutował".

„Za wykazaną odwagę osobistą, stwierdzoną, wielokrotnie wobec wroga" generał Sikorski odznaczył go Orderem Wojennym Virtuti Militari (odznaczeniem przyznawanym głównie żołnierzom).

Wcześniej odznaczony został m.in. francuską Legią Honorową, czeskim Orderem Białego Lwa i Orderem Polonia Restituta. Pośmiertnie prezydent Lech Wałęsa nadał mu natomiast Order Orła Białego.

„Ojciec miasta"

Cyryla Ratajskiego, już w czasach jego kadencji jako prezydenta Poznania, określano mianem „ojca miasta". Słusznie, gdyż dzięki zdolnościom, pracowitości, twórczemu działaniu oraz ofiarności na rzecz miasta i mieszkańców w pełni sobie na to zasłużył.

Uważał, że w każdej sytuacji można coś zrobić i – cytując Stefana Kisielewskiego – „polityka to realizowanie aktualnych możliwości".

© ANDRZEJ ZARZYCKI

DR ANDRZEJ ZARZYCKI jest autorem kilkunastu monografii poświęconych dziejom Poznania i Wielkopolski, w tym biografii „Na przekór wątpiącym i zrozpaczonym. Cyryl Ratajski 1875-1942" oraz inicjatorem budowy pomnika Cyryla Ratajskiego, który odsłonięto w Poznaniu w 2002 r.

Najlepszy prezydent

STANISŁAW ZASADA

Cyryl Ratajski przeżył w Poznaniu większość swoich lat. Na pół wieku został zapomniany. Udajmy się na spacer po stolicy Wielkopolski, po miejscach z nim związanych.

Gdzie się nie obejrzeć, zaznaczył swoją obecność. Tutaj chodził do szkoły, ożenił się, mieszkał, przez kilkanaście lat rządził miastem. Ma pomnik, plac, pamiątkowe tablice i grób na cmentarzu zasłużonych.

Najlepszy prezydent Poznania długo był przemilczany. Uznania doczekał dopiero w wolnej Polsce.

„Marynka": matura z wyróżnieniem

Skończyli poloneza, teraz próba walca – w sobotę studniówka. Spóźniona w tym roku z powodu terminu zimowych ferii.

Mury Liceum Świętej Marii Magdaleny pamiętają połowę XIX w. Przy placu Bernardyńskim postawiono wtedy budynek z czerwonej cegły. Choć szkoła jest dużo starsza: początki sięgają XIV w. – uchodzi za najstarszą placówkę świecką w Polsce, która działa do dziś.

Na zadrzewionym dziedzińcu mijam ospałe o tej porze akacje, lipy i platan. Dla niektórych kończą się już piątkowe lekcje.

Kto się tutaj nie uczył? Stanisław Staszic; wielkopolscy organicznicy: Karol Libelt, Hipolit Cegielski i Karol Marcinkowski; odkrywca Paweł Edmund Strzelecki; prymasi: Leon Przyłuski i Florian Stablewski; poeta Jan Kasprowicz; międzywojenny marszałek Sejmu i Senatu Wojciech Trąmpczyński; Henryk Zygalski (matematyk i łamacz niemieckiej maszyny szyfrującej „Enigma"); słynny ortopeda Wiktor Dega; opiekun trędowatych Marian Żelazek; Jerzy Waldorff; Stefan Stuligrosz.

Cyryl Ratajski naukę w tym gimnazjum zaczął jako nastolatek. Szalała germanizacja. Gimnazjalista Cyryl należał do tajnego Towarzystwa Tomasza Zana: z rówieśnikami czytał potajemnie polską literaturę, poznawał ojczystą historię i geografię. Najbardziej zapamięta, jak 29 listopada – w rocznicę wybuchu powstania listopadowego – ślubowali wierność ojczyźnie.

Młodzież do dziś zachowała tu buntowniczego ducha: kilka lat temu w ramach „tęczowego piątku" wbrew dyrekcji licealiści zrobili sobie przed szkołą zdjęcie z tęczowymi emblematami. Było o tym głośno w mieście.

Na internetowej witrynie „Marynki" (tak poznaniacy nazywają tę szkołę) portrety absolwentów. Jest wśród nich Ratajski. Te same portrety dyrektor liceum Jerzy Sokół pokazuje mi w auli, gdzie maturzyści ćwiczą walca przed studniówką. Zapewnia, że uczniowie są zaznajomieni z postacią – co roku pierwszoklasiści przed złożeniem ślubowania oglądają film o dziejach szkoły, wśród znanych absolwentów jest też Cyryl Ratajski.

„Marynka" od zawsze się nim szczyciła. Na zjazd byłych uczniów gimnazjum w 1939 r. przygotowano gazetkę-jednodniówkę. Znalazła się tam karykatura Ratajskiego: trzyma makietę pawilonu Powszechnej Wystawy Krajowej. To bodaj jego największe dzieło.

W 1896 r. zdał maturę z wyróżnieniem.

Ulica Chopina: czerwone róże

– Jak pan chce poznaniaków przekonać do tego, że będzie pan dobrym prezydentem miasta, skoro pan nawet w tym mieście nie mieszka? – kilka lat temu kandydatka na prezydenta Poznania pyta swojego kontrkandydata.

– Czy pani uważa, że Cyryl Ratajski był dobrym prezydentem? – kontrkandydat odpowiada pytaniem.

– Oczywiście.

– A gdzie mieszkał?

Cisza.

– W Puszczykowie – podpowiada kontrkandydat.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Cyryl Ratajski, kwiecień 1928 r.

(Żadne z nich prezydentem nie zostało).

Zaraz po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Ratajski kupił w Puszczykowie willę. Do skarpy schodzącej do Warty cumował swoją motorową łódź. Dziś na ogrodzeniu budynku jest pamiątkowa tablica. Czasem palą się pod nią znicze.

Ale gdy został prezydentem, mieszkał w służbowym mieszkaniu przy Chopina 3a w centrum Poznania. Za sąsiada miał marszałka Trąmpczyńskiego. Na elewacji jest pamiątkowa tablica, przy niej wiązanka ze świeżych czerwonych róż i z szarfą w narodowych barwach.

Szary dwupiętrowy budynek z wysokim parterem; nic specjalnego. Dzwonię domofonem przy stalowej furtce: przez otwarte okno u góry rozmawia ze mną starszy mężczyzna. Wie, kto tu mieszkał. Ale lokalu Ratajskiego nie pokaże mi. Mówi, że budynek został zniszczony w czasie wojny, a po odbudowie zmieniono układ mieszkań.

Ładna ta Chopina: cicha uliczka, wysadzana kasztanowcami. Obok park Moniuszki z popiersiem kompozytora – Ratajski współfinansował monument. Podczas II wojny światowej Niemcy go zniszczyli, obecny odbudowano po 1945 r.

Dawna historia miesza się z tą mniej odległą: zaraz za rogiem ulicy skwer Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Dwa domy dalej siedziba dawnego konsulatu USA ze słynną biblioteką, gdzie można było poczytać „Newsweeka" i „The Economist". Pokazywano tu filmy, których nigdzie indziej nie można było obejrzeć. – Taka oaza wolności – wspominają bywalcy z czasów KOR-u i Solidarności.

Ale za jego czasów konsulatu jeszcze nie było. Tak samo jak pobliskiego klasztoru i kościoła dominikanów. Po tym, jak zostali wypędzeni przez Prusaków, zakonnicy w białych habitach i czarnych kapach powrócą do miasta, kiedy Ratajski nie będzie już prezydentem.

Przeszło pół wieku później naprzeciwko kościoła odsłonięto pomnik Polskiego Państwa Podziemnego – Cyryl Ratajski był jednym z jego twórców.

Rynek: portret nadburmistrza

Zaraz południe. Na Starym Rynku ze sto osób zadziera głowy: na wieży renesansowego ratusza ukażą się zaraz dwa metalowe koziołki.

– Widzisz, Krzysiu? Widzisz, jak się trykają? – starsza kobieta dopytuje kilkulatka.

Oklaski i piski jak na rockowym koncercie, niektórzy machają, komórkami robią ostatnie zdjęcia – koziołki chowają się w wieży. Tak jest codziennie.

Patrzę na kamienne schody. We wrześniu 1939 r. Niemcy chcieli, żeby tutaj przekazał im publicznie klucze do ratusza; byłoby się czym pochwalić w gazetach III Rzeszy. Stanowczo odmówił, choć mu grozili.

W przebudowanym przez włoskiego architekta Jana Baptystę Quadro ratuszu przyjmował wyjątkowo. Urzędował nieopodal – w Nowym Ratuszu, też zbudowanym przez Quadro.

Kazał zawiesić portret ostatniego niemieckiego nadburmistrza – Georga Ernsta Wilmsa (cenił jego starania o rozwój miasta). Nie wszystkim się to podobało. Na koniec swoich 12-letnich rządów zaprosił Wilmsa, żeby pokazać mu Poznań, jaki sam zostawiał.

Nowy Ratusz zniszczono w 1945 r. w czasie walk o miasto. Budynek odbudowano jako siedzibę Wagi Miejskiej. ↦

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pomnik „Macierzyństwo", dar prezydenta miasta Cyryla Ratajskiego. Poznań, 5 marca 2020 r.

↦ Przed wejściem można spotkać dziś elegancko ubrane pary, jak podnoszą z bruku drobne monety – odbywają się tu świeckie śluby.

Na Starym Rynku jest jeszcze co najmniej jedno miejsce z nim związane. Narożna kamienica, gdzie mieszkał niegdyś architekt Quadro. Ratajski kupił ją i ufundował posążek włoskiego mistrza: Quadro w renesansowym stroju trzyma duży szkicownik – może szkicuje akurat projekt ratusza?

Posążek zniszczono w czasie wojny, obecny jest repliką. W kamienicy otwarto Muzeum Literackie Henryka Sienkiewicza – oddział Biblioteki Raczyńskich.

Pośród rękopisów i starodawnych wydań dzieł noblisty znajduję nowelę „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela" – o życiu polskich uczniów zmuszanych przez Prusaków do nauki w języku niemieckim. Może gimnazjalista Ratajski czytał ją po kryjomu z rówieśnikami w tajnym Towarzystwie Tomasza Zana?

Targi: symbol miasta

„Ewenement pierwszej klasy" – zachwycał się Jarosław Iwaszkiewicz. Poeta „Skamandra" i sanacyjny dyplomata pisał tak o Powszechnej Wystawie Krajowej, która w 1929 r. odbyła się w Poznaniu na dziesięciolecie istnienia Niepodległej.

To bodaj najśmielszy pomysł prezydenta Ratajskiego. Był w końcu „niepoprawnym optymistą" (tak nazwał go miejski architekt Władysław Czarnecki).

Z myślą o przyszłej PeWuKa (jak ją nazywano) przebudowano dworzec, okoliczne ulice. Wzniesiono charakterystyczny budynek z ażurową iglicą i portykiem z kolumnami w doryckim stylu, gdzie był reprezentacyjny pawilon wystawowy. Tędy wchodziło się na Krajową Wystawę – dlatego nazywano go westybulem. „Ciekawy przykład klasycyzmu akademickiego" – można przeczytać na wmurowanej w elewację starej tablicy. I jeden z symboli miasta.

Ratajski pewnie nie poznałby dzisiejszego terenu Międzynarodowych Targów Poznańskich, które zajmują wielki kwartał miasta. Na przeszklonym budynku wschodniego wejścia migają reklamy z zapowiedzią ligowego meczu Lecha Poznań, lotniczych połączeń i targowych imprez. Tylko na marzec zaplanowano targi książki, mieszkań i domów, polskich win i winnic.

Nawet w południe ruch tu jak na Marszałkowskiej w Warszawie.

Plac: socrealizm i cukiernia

– Na Cyryla? – umawiają się poznaniacy, gdy chcą się spotkać na placu Cyryla Ratajskiego.

Samo centrum miasta, naokoło kilkupiętrowe budynki. Tylko dwie kamienice z czerwonego klinkieru są z końca XIX w., reszta to socrealizm. Choć odświeżone elewacje łagodzą architektoniczną brzydotę.

Odnowiono klomby z krzewami i kwiatami, postawiono nowe ławki, nawet nowe przystanki tramwajowe z torowiskiem nie psują urody tego miejsca. Jest renomowana cukiernia prowadzona przez poznańską rodzinę z długą tradycją, bar, kafejki – w jednej z nich urządza spotkania poznański Klub „Tygodnika Powszechnego".

Krzyżującym się tu ulicom patronują wielkie nazwiska: Karol Libelt, Seweryn Mielżyński, trochę dalej Aleje Karola Marcinkowskiego z pomnikiem tego lekarza i filantropa.

Nazwę placu wiele razy zmieniano. Za czasów pruskich i potem hitlerowskiej okupacji był to plac Królewski (*Königsplatz*), między dwiema wojnami – Rynek Nowomiejski, w Peerelu – plac Młodej Gwardii.

Imię Cyryla Ratajskiego dostał po upadku komuny. Wcześniej komuniści jego postać przemilczali, prezydencki portret trzymano zakurzony w magazynie.

Na budynku Izby Skarbowej, na jednym z rogów placu, upamiętnia go teraz pamiątkowa tablica. „Przywiodła mnie na to miejsce miłość miasta, w którym się wychowałem" – zdanie z jego przemówienia, które wygłosił, gdy obejmował urząd prezydenta.

Pewnie wiele razy chodził tędy ze służbowego mieszkania na Chopina do pracy w magistracie. Jeśli szedł tędy, to przecinał pobliski plac Wolności, który dzisiejszy wygląd jemu zawdzięcza.

Choć trasę często zmieniał: chciał zobaczyć, co w mieście szwankuje. Podobno w czasie tych spacerów potrafił podnieść z chodnika niedopałek papierosa i wrzucić do kosza.

Pomnik: z widokiem na miasto

Tutaj rozsiadł się w wielkim fotelu, płaszcz zarzucił na prawe ramię. Zamyślony, patrzy w dal. W ręku trzyma zwój jakiegoś dokumentu. Na piersiach prezydencki łańcuch – imitacja tego ze złota, który sam ufundował miastu.

Tak uwiecznił go na pomniku warszawski artysta Jan Kucz. Monument odsłoniła w kwietniu 2002 r. wnuczka Cyryla Ratajskiego, Zofia Ratajska-Thaler. Towarzyszyli jej byli prezydenci miasta: Andrzej Wituski i Wojciech

Szczęsny-Kaczmarek oraz urzędujący wówczas Ryszard Grobelny. Licealiści z „Marynki" przyszli z pocztem sztandarowym.

Datę wybrano nieprzypadkowo – tego dnia minęło 80 lat, odkąd objął rządy w mieście.

„Prezydent stołecznego miasta Poznania" – wyryto na cokole pod imieniem i nazwiskiem. To nawiązanie do stołecznej roli miasta za czasu pierwszych Piastów. W końcu chciał uczynić z Poznania „drugą stolicę Rzeczypospolitej".

Za plecami prezydent Ratajski ma nowoczesny wieżowiec Poznańskiego Centrum Finansowego, przed nim wysmakowana galeria handlowa, która znalazła miejsce w murach byłego browaru. Po prawej stronie zaczyna się Wilda: w jego czasach robotnicza dzielnica. Na zbiegających się tu ulicach spieszący ludzie, jak to bywa w metropoliach.

Dumny byłby pewnie z tego widoku – Poznań marzył mu się z rozmachem, nowoczesny.

Wzgórze św. Wojciecha: znicz z orłem

Zaraz zamkną bramę. W mroku gdzieniegdzie jaśnieje zapalony za dnia znicz.

Kilka godzin wcześniej, gdy świeciło słońce, po alejkach spacerowali ludzie. Jak ta rodzina z Zielonej Góry: on studiował tutaj, przychodził czasem się pouczyć („Bo cicho i nastrój" – wspomina zieleń i pokazuje nagrobek z rzeźbą dziewczyny, która młodo zmarła dawno temu).

Cmentarz Zasłużonych Wielkopolan ma ponad 200 lat. Rozłożył się na samym szczycie i na stokach Wzgórza Świętego Wojciecha. Latem pachnie tu kwitnącymi lipami, jesienią leżą kasztany.

Zaraz za murem kościół i klasztor karmelitów bosych. Niedaleko kościół świętego Wojciecha i Poznańska Skałka: sto lat temu proboszcz zaczął w to miejsce przenosić prochy znanych Wielkopolan.

Na Cmentarzu Zasłużonych też spoczywają wielcy: Edmund Callier (dowódca powstania styczniowego w Wielkopolsce), Jarogniew Drwęski (pierwszy polski prezydent Poznania), premier i prezes PSL Stanisław Mikołajczyk. I bardziej współcześni: Janusz Ziółkowski (rektor uniwersytetu i szef kancelarii prezydenta Wałęsy), ekonomista Wacław Wilczyński, Przemysław Bystrzycki (pisarz, a podczas II wojny światowej jeden z „cichociemnych").

Aby dojść do grobu Cyryla Ratajskiego, od bramy trzeba iść w górę. „Prezydent Poznania, Delegat Rządu na Kraj, Nieugięty Polak" – na nagrobku wyryto wersalikami jego zasługi. Poniżej imiona żony Stanisławy i syna Ziemowita, którzy też tu spoczywają.

Prawie po sąsiedzku grób generała Stanisława Taczaka, dowódcy powstania wielkopolskiego z 1918-19 r.

Ratajski spoczął tutaj dopiero 20 lat po swojej śmierci: gdy w 1962 r. zmarła jego żona Stanisława, rodzina ekshumowała po kryjomu szczątki Cyryla z warszawskich Powązek, gdzie pochowano go po tym, jak zmarł w stolicy w 1942 r.

Z tym powtórnym pochówkiem były perypetie. Komunistyczne władze nie chciały się zgodzić – międzywojenny bohater nie pasował do ich ideologii. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa zatrzymali księdza, który miał prowadzić pogrzeb.

Grób jest zadbany. Na płycie pali się znicz w kształcie lampionu – biało-czerwony, z orłem. Jakby ktoś go przed chwilą zostawił. © STANISŁAW ZASADA

STANISŁAW ZASADA jest reporterem, mieszka w Poznaniu. Skończył polonistykę na UMK w Toruniu i Polską Szkołę Reportażu. Ostatnio w wydawnictwie Agora ukazała się jego książka „Kurierka. Historia kobiety, która mogła zatrzymać Holocaust". Publikuje w „Press", „Gazecie Wyborczej" i „W drodze". Stale współpracuje z „TP".

Plac Cyryla Ratajskiego w Poznaniu

RADOSŁAW MACIEJEWSKI / ADOBE STOCK

CO SIĘ STAŁO 66 MLN LAT TEMU

Słynne wymieranie kredowe zbiegło się w czasie z uderzeniem asteroidy i wzmożonym wulkanizmem. Geolodzy debatują, które z tych zdarzeń przypieczętowało los dinozaurów.

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Ślady w skałach wskazują, że 66 mln lat temu miało miejsce wielkie wymieranie. Na całej Ziemi niższe warstwy osadów (zarówno morskich, jak i lądowych) są bogate w szkielety zwierząt, a wyższe – ubogie. Widać to także w Polsce – choćby w profilu w Bochotnicy w Górach Świętokrzyskich. Granica między tymi warstwami rozdziela dwa okresy geologiczne: kredę i paleogen (zarazem dwie ery geologiczne: mezozoiczną i kenozoiczną).

Szacuje się, że zniknęło wtedy ok. 60-75 proc. gatunków, w tym wszystkie nieptasie dinozaury czy pospolite w morzach i oceanach ery mezozoicznej głowonogi o zakręconych muszlach – amonity. Krótko – w geologicznej skali czasu – po wielkim wymieraniu ssaki urosły w siłę i rozmiar, z czasem zwiększyły im się także mózgi, dzięki czemu stały się władcami lądów.

To piąte w ciągu ostatniego pół miliarda lat wielkie wymieranie współwystępuje z dwiema katastrofami. Każda z nich mogła wywołać masowe ginięcie. W naszą planetę 66 mln lat temu uderzyła ogromna asteroida. Jednocześnie na płaskowyżu Dekan na Półwyspie Indyjskim wulkany wyrzucały lawę, gazy oraz sadzę. Dowodem na to są rozległe skały bazaltowe. Które z tych zjawisk było decydujące? A może znaczenie miały oba?

Ciepło, zimno, gorąco

Zacznijmy od tego bardziej znanego zjawiska. Jeszcze niespełna pół wieku temu geolodzy nie przypuszczali, że na granicy kredy i paleogenu w Ziemię uderzyła potężna asteroida. Aż do chwili, gdy fizyk Luis Alvarez (laureat Nagrody Nobla z 1968 r. za eksperymenty na cząstkach elementarnych) i jego syn Walter (geolog) przebadali próbki skał z tego okresu. Znaleźli wówczas ciekawy chemiczny sygnał: około 30-krotny wzrost zawartości irydu w skałach. Ten pierwiastek z grupy metali rzadko występuje na Ziemi, a powszechnie – w asteroidach. W 1980 r. obaj uczeni opublikowali w „Science" wyniki badań i postawili hipotezę, że jakieś ciało uderzyło wtedy w Ziemię. To ono, ich zdaniem, doprowadziło do masowego wymierania.

Dziesięć lat później kanadyjski geolog Alan Hildebrand odkrył ślad po tej katastrofie. 150-kilometrowy krater, noszący nazwę jednego z meksykańskich miasteczek – Chicxulub – znajduje się w połowie na półwyspie Jukatan, a w połowie pod wodami Zatoki Meksykańskiej.

W Ziemię trafiła wówczas potężna, przynajmniej 10-kilometrowej średnicy, i nietypowa asteroida. Pochodziła z daleka – spoza orbity planety Jowisz, podczas gdy większość spadających na Ziemię asteroid to przybysze z pasa pomiędzy Jowiszem a Marsem. Składała się z węglanów – a nie, jak wiele innych, z żelaza i jego związków. W dodatku tam, gdzie spadła, znajdowały się złoża gipsu, czyli uwodnionego siarczanu wapnia.

Centrum zderzenia Ziemi z asteroidą znajdowało się w oceanie. Uwolniło energię, która została zamieniona w gorąco, światło i hałas. Wszystko w promieniu tysiąca kilometrów natychmiast zamieniło się w parę. To, co było dalej, doświadczyło huraganowych wiatrów i trzęsień ziemi. Ogrzanie powietrza wywołało pożary, które pustoszyły Ziemię. Sadza i pył, podniesione przez meteoryt, wzbiły się w powietrze. Zasłoniły promienie słoneczne i Ziemię z czasem opanowały ciemności oraz mrozy. Z nieba padały krople gorą-

DAVIDE ZANIN / ALAMY / B&EW

cego szkła, powstałe z upłynnionych skał i pyłu – a także, jeszcze długo, kwas siarkowy, po tym jak wyrzucona do atmosfery siarka połączyła się z wodą. Wiemy, że to wszystko stało się w okolicy czerwca, choć nie potrafimy precyzyjnie wskazać roku. Miesiąc udało się ustalić głównie dzięki roślinom, które zastygły na określonym przez paleobotaników etapie rozwoju.

Po mrozie, gdy pyły opadły, nadeszły upały – w atmosferze przybyło dwutlenku węgla, który napędzał efekt cieplarniany. Na planecie zapanowały warunki jak w szklarni. Ekosystemy w żaden sposób nie mogły wrócić do przeszłości.

Węgiel i siarka

W te zjawiska nikt nie wątpi. Tak samo jak w to, że mniej więcej w tym samym czasie wybuchały ogromne wulkany. Ich śladem są grube na dwa kilometry skały bazaltowe w dzisiejszych Indiach i na archipelagu Seszele. Obecnie obejmują one obszar ponad 500 tys. km kw. Ich objętość szacuje się na milion kilometrów sześciennych. Duża ich część już zniknęła (zerodowana przez wiatr i wodę) – pierwotnie mogły pokrywać 1,5 mln km kw.

Kilka poprzednich wielkich wymierań, z których największe (tzw. permskie, rozdzielające perm i trias) miało miejsce 252 mln lat temu, na różne sposoby wiązano z gwałtownym wulkanizmem. Np. po wymieraniu permskim pozostały wielkie połacie skał wulkanicznych na Syberii. Erupcje miały wyrzucać związki węgla i siarki, które spowodowały złożone zmiany w klimacie Ziemi. To dlatego w kontekście wymierania kredowego uwagę naukowców przykuwa nie tylko asteroida, ale także skały bazaltowe na Dekanie. Erupcja na tym terenie zachodziła w czterech seriach. Zaczęła się ona około 300 tys. lat przed końcem kredy i trwała dalej w paleogenie. Kolejne serie erupcji były rozdzielone przez okresy względnego spokoju. Największy wybuch miał miejsce w czasie masowego wymierania.

W wyniku masowych erupcji i emisji dwutlenku węgla ok. 100 tys. lat przed wielkim wymieraniem doszło do ocieplenia klimatu o 3 st. C. Z kolei 70 tys. lat później temperatura spadła, do czego prawdopodobnie przyczyniły się aerozole siarki.

W 2023 r. magistrant geologii Alexander Cox i jego promotor, C. Brenhin Keller, obydwaj z Kolegium Dartmoutha w amerykańskim Hanover, opublikowali w „Science" wyniki interesującej komputerowej symulacji, w której poszukiwali najbardziej prawdopodobnych przyczyn zmian ilości węgla i siarki w przyrodzie bez czynienia żadnych geologicznych założeń. Próbowali więc dojść od znanych dzięki pomiarom skutków zjawiska do geologicznych przyczyn – które można by utożsamić z przyczynami wymierania. Dzięki temu w analizie można było ↦

Rekonstrukcja tyranozaura w Ostellato, Włochy.

↦ uniknąć ludzkiej stronniczości wspierającej którąś z hipotez.

Komputery wygenerowały 300 tys. możliwych scenariuszy zachodzenia zmian ilości dwutlenku węgla i siarki w przyrodzie, a także związanych z tym zmian klimatu i ich konsekwencji dla życia, w ciągu miliona lat poprzedzających wymieranie i miliona lat następujących po nim. Potem porównały te wszystkie scenariusze z sobą i wyłoniły jeden.

Z przeprowadzonych obliczeń wynikało, że to same wulkany mogły wyrzucić takie ilości dwutlenku węgla i siarki do atmosfery, które powodowały zmiany klimatyczne. Do ich zajścia żaden meteoryt nie był już konieczny. Jego uderzenie musiało wywołać lokalną katastrofę, ale na globalne zmiany nie miało decydującego wpływu.

Siarka zwiększa kwasowość oceanów, a w górnych warstwach atmosfery jej związki, gdzie dostały się dzięki unoszeniu się ogrzewanego przez wyrzuty lawy powietrza, powodują odbijanie promieni słonecznych i zaciemnianie Ziemi. Działają więc odwrotnie niż dwutlenek węgla, który pochłania promienie słoneczne, nagrzewając planetę. Z czasem ilość dwutlenku węgla w atmosferze wzrosła i przełamała chłodzący efekt siarki – zrobiło się więc cieplej. Być może nawet na ok. 5 tys. lat.

Dwoje winnych?

W tym samym 2023 r. Sara Callegaro z Uniwersytetu w Oslo i współpracownicy opublikowali w „Science Advances" inną pracę poświęconą wulkanom na Dekanie. Badacze przyglądali się przede wszystkim poziomom siarki i fluoru w przyrodzie – ten ostatni pierwiastek nie miał jednak wywrzeć istotnego wpływu na klimat. Badacze ci zakwestionowali pogląd, że to same wulkany ponoszą odpowiedzialność za wielkie wymieranie sprzed 66 mln lat, a meteoryt musiał wylądować już na grobach dinozaurów. Ich zdaniem scenariusz był inny: powodowane przez wulkanizm (i przez uwalniane do atmosfery pierwiastki) cykle ocieplenia i ochłodzenia klimatu odbiły się na kondycji ekosystemów – a asteroida dokończyła dzieła zniszczenia.

Za scenariuszem dzielącym odpowiedzialność pomiędzy obie te katastrofy ma przemawiać kilka danych. Np. według analiz największe uwolnienie siarki miało miejsce ok. 100 tys. lat przed masowym wymieraniem – powodując krótkotrwałe ochłodzenie, które zachwiało ekosystemami. Z kolei późniejsze ocieplenie, związane ze wzrostem ilości dwutlenku węgla, miało miejsce podczas mniejszej aktywności wulkanicznej, szacowanej na podstawie objętości lawy w łańcuchu górskim w Indiach zwanym Ghatami Zachodnimi. Namieszać w atmosferze musiał więc także inny czynnik – pozaziemski. Autorzy zauważają, że aktywność wulkanów wzrosła już w paleogenie, a więc po wymieraniu, i była powiązana ze stosunkowo małymi zmianami temperatury.

Zdaniem tych autorów krótkotrwałe ochłodzenia pod koniec kredy mogły być więc powodowane aerozolami siarki z pojedynczych erupcji wulkanicznych. Potem następuje wzrost temperatur. Na początku paleogenu temperatura znów rośnie z powodu erupcji wulkanicznych, ale w tempie wolniejszym niż na końcu kredy.

Na temat przyczyn wymierania kredowego opublikowano wiele innych badań. Przykładowo, zespół kierowany przez prof. Gertę Keller z Uniwersytetu Princeton w 2020 r. na łamach „Global and

WIKIMEDIA / DOMENA PUBLICZNA

Wulkan na pustyni Danakil w Etiopii

Wulkany i wymierania

WPŁYW WULKANÓW na klimat, a przez to także na losy żyjących na Ziemi gatunków, jest złożony. Choć uważa się, że przynajmniej trzy lub cztery z pięciu wielkich wymierań w ciągu ostatniego pół miliarda lat miały związek ze wzmożoną aktywnością wulkaniczną na Ziemi, to każde z tych zdarzeń przebiegało inaczej.

PRZYKŁADOWO, podczas wymierania permskiego (252 mln lat temu) wybuchy wulkanów na Syberii wyrzuciły w powietrze ogromne ilości dwutlenku węgla, które przełamały efekty schładzających atmosferę związków siarki i pyłów, także uwolnionych w czasie erupcji. Konsekwencją był gwałtowny wzrost temperatury – nawet o kilkanaście stopni – trwający setki tysięcy lat.

Z KOLEI wcześniejsze wymieranie – dewońskie sprzed ok. 372 mln lat – nastąpiło w wyniku globalnego ochłodzenia. Wpływ na nie miała szybka kolonizacja lądu przez rośliny, w tym po raz pierwszy w historii Ziemi – wysokie drzewa, które wysysały dwutlenek węgla z atmosfery, a także zapuszczały korzenie, zwiększając erozję skał i dostawanie się rozmaitych pierwiastków do mórz. To z kolei powodowało zakwit glonów, które dodatkowo pochłaniały węgiel z atmosfery. Na to wszystko nałożyły się erupcje wulkanów, które dostarczyły do atmosfery odbijający promienie słoneczne dwutlenek siarki – a do mórz dodatkowe składniki odżywcze dla glonów.

DO PIĘCIU WIELKICH WYMIERAŃ nie wlicza się innego zdarzenia, które zaszło w czasach, gdy życiu nie śniło się jeszcze o kolonizacji lądów – i nie miało związku z wulkanizmem. Około 2,4 do 2 mld lat temu pewne jednokomórkowe organizmy nauczyły się produkować bardzo reaktywny gaz – tlen. Wówczas jego zawartość w atmosferze zauważalnie wzrosła (osiągając poziom ok. 10 proc. współczesnej zawartości). Tlen łączył się z różnymi pierwiastkami, niszcząc wiele form nieodpornego nań wczesnego życia. Zdarzenie to znane jest pod nazwą „katastrofy tlenowej".

©℗ ŁK

Planetary Change” napisał, że to jednak wulkanizm z Dekanu był główną przyczyną końca dinozaurów. Uczeni ci oszacowali siłę erupcji na podstawie specyficznego chemicznego sygnału, jakim był wzrost ilości rtęci w morskich osadach w ciągu pół miliona lat przed końcem kredy. Nie chodziło o to, że ten ciężki metal zatruł ekosystemy, lecz że wyrzucona do środowiska w wyniku erupcji rtęć pozwala precyzyjniej niż inne sygnały oszacować, jak bardzo aktywne były wówczas wulkany. Pomiarów dokonano m.in. daleko od miejsca erupcji – w Tunezji i Izraelu. Z przeprowadzonych analiz wynika, że to właśnie wulkany miały w decydującym stopniu wstrząsnąć ziemskim klimatem tuż przed upadkiem asteroidy.

Inna grupa badawcza, z Lauren O’Connor z Uniwersytetu w Manchesterze na czele, opublikowała w 2024 r. w „Science Advances” pracę, w której analizowała zmiany temperatury w ciągu 100 tys. lat poprzedzających uderzenie asteroidy – na podstawie badań zawartości torfowisk w USA. Według autorów w tym okresie temperatura wzrosła o ok. 3 stopnie, z przerwami na fale nawet 5-stopniowego ochłodzenia po silnych erupcjach wulkanicznych. Jednak ok. 20 tys. lat przed masowym wyginięciem temperatury już się ustabilizowały. A same te wahania, zdaniem autorów, nie mogą tłumaczyć masowego wymierania, które nastąpiło już po upadku asteroidy.

Który z tych licznych scenariuszy jest prawdziwy? Zmarły w zeszłym roku profesor ekologii Zbigniew Maciej Gliwicz powtarzał, że jest „wrogiem wyjaśnień jednoczynnikowych” – bo skutki mogą wynikać z wielu przyczyn jednocześnie. Z takiej perspektywy za wymieranie mogą odpowiadać i wulkany, i asteroida, a znalezienie „głównego winowajcy” może być niemożliwe. Tym bardziej że w literaturze naukowej pojawiają się także głosy, iż uderzenie asteroidy... mogło doprowadzić do wzmożenia aktywności wulkanicznej na Dekanie, czyli przypieczętowało los dinozaurów, ale pośrednio.

Sprawy raczej szybko nie rozstrzygniemy. Acz dinozaurom nie robi to chyba różnicy.

© WOJCIECH MIKOŁUSZKO

OPP / FOT. GRAŻYNA MAKARA

AGNIESZKA ISKRA, wiceprezeska FTP. Na zdjęciu z prezesem Fundacji Aleksandrem Kardysiem

Projekty, za które odpowiadam w Fundacji – wśród nich coroczny Międzynarodowy Festiwal Literatury im. Josepha Conrada – przenoszą wartości „Tygodnika Powszechnego” poza jego łamy. W naszej Fundacji współtworzymy przestrzeń dialogu i działamy na rzecz społeczeństwa świadomego, odpornego na zagrożenia dla demokracji. Twoje 1,5% to inwestycja w fundamenty cywilizacji, w naszą bezpieczną i świadomą przyszłość. Naprawdę!

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania? Zadzwoń: 12 426 53 31 lub napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl – chętnie pomożemy!

1,5%

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Twoje wsparcie pozwala zmieniać świat. Naprawdę

SKANDALISTA MIMO WOLI

„Emilia Pérez" przejdzie do historii kina co najmniej z jednego powodu. Mając na koncie aż trzynaście nominacji do Oscara, w tym dla najlepszego filmu, jest krytykowana jak mało który oscarowy tytuł. Czy słusznie?

ANITA PIOTROWSKA

W ósmej dekadzie życia uchodzi za jednego z najbardziej wszechstronnych i nieprzewidywalnych twórców współczesnego kina. Swobodnie przeskakuje między gatunkami, miejscami, stylami, dotykając tematów najbardziej zapalnych i zbijając z tropu każdym kolejnym tytułem. Do niedawna taka zmiennokształtność byłaby atutem, dziś tu i ówdzie zarzuca mu się, że jest znającym się na wszystkim „dziadersem". Poznajmy bliżej Jacques'a, Audiarda – reżysera, który niedawno rozbił bank z oscarowymi nominacjami. I równocześnie, w czasach ostrych wojen tożsamościowych, stał się ulubionym chłopcem do bicia.

Francuski Scorsese

Jest nieodrodnym dzieckiem francuskiego kina. Jego ojciec, Michel Audiard, był przez całe dekady cenionym za błyskotliwe dialogi scenarzystą i czasami reżyserem, dużo bliższym „kinu papy" niż nowofalowym poszukiwaniom. Przyszły twórca „Proroka" z *nouvelle vague* wziął przynajmniej jedno – namiętną kinofilię, bo na pewno nie tak zwaną „politykę autorską", stawiającą na rozpoznawalność i wyjątkowość reżyserskiego charakteru pisma.

Twórca „Emilii Pérez" wypracował ich wiele, po ojcu zaś odziedziczył niewątpliwe zdolności pisarskie. Stąd przez pierwsze dwie dekady zaznaczał swoją obecność w rodzimej kinematografii jedynie jako scenarzysta. Dla siebie pierwszy scenariusz napisał, w duecie zresztą, już będąc dojrzałym człowiekiem, i być może w tym tkwi tajemnica jego obecnej żywotności. Pomny reżyserskich porażek ojca, aż do czterdziestki zbierał siły, zanim wreszcie stanął za kamerą. Pierwszy film, „Patrz, jak idą na dno" (1994), przyniósł mu statuetkę Cezara za debiut, a Mathieu Kassovitzowi za rolę. Aczkolwiek historia o „upadających mężczyznach", wplątanych w intrygi kryminalne i psychologiczne gry, nie zwiastowała jeszcze narodzin „francuskiego Scorsese".

Bywa tak określany co najmniej od czasów „Proroka" (2009), choć obecnie mógłby to być komplement również dla amerykańskiego mistrza. Zanim jednak Audiard nakręcił film o brutalnym hartowaniu się potomka maghrebskich imigrantów we francuskim więzieniu, nagrodzony Grand Prix w Cannes i nominowany do Oscara, zdobywał szlify w opowiadaniu historii niemniej drapieżnych i angażujących. Takie było „Na moich ustach" (2001), gdzie niedosłysząca kobieta wikła się w erotyczną i zarazem kryminalną aferę, w której ma być wykorzystana jej umiejętność czytania z ruchu warg. Już wtedy twórca „Emilii Pérez" pokazał, co to znaczy wyzwolić maksymalną energię z historii czy z aktorów (Emmanuelle Devos, Vincent Cassel). I kontrolować ją aż do ostatniej sekundy, ręką żelazną i lekką jednocześnie.

Na Dzikim Zachodzie

Podobne wrażenie sprawia „W rytmie serca" (2005) z Romainem Durisem, uwspółcześniona wersja amerykańskich „Palców" (1978) Jamesa Tobacka, gdzie paryski półświatek zderzony zostaje z muzyczną pasją głównego bohatera. Gdyby szukać w twórczości Audiarda jakichś wędrownych motywów, to właśnie obsypany Cezarami film o młodym pianiście, obdarzonym rodzinnym talentem, ale i przestępczą schedą, wyznaczałby główny trop. Chodzi o próbę odkupienia, moralnego oczyszczenia z najgłębiej wżartego w skórę brudu, i powróci ona nieraz, w kostiumie emigranckim, westernowym, gangsterskim.

To jednak nie ważką problematyką zwracał Audiard międzynarodową uwagę, a raczej inscenizacyjnym i narracyjnym szwungiem. We wspomnianym „Proroku" rozsadził gatunek dramatu więziennego. Owszem, dzięki konsultacjom z byłymi osadzonymi i mocnej roli Tahara Rahima sugestywnie odtworzył więzienne hierarchie i podziały, prezentując symboliczny wycinek francuskiej rzeczywistości. Przede wszystkim jednak wykreował osobny, klaustrofobiczny świat, na granicy realizmu i halucynacji, co zdecydowanie wyróżnia jego kino na tle podobnych, „rzemieślniczych" produkcji. ↦

Jacques Audiard. Paryż, 15 lutego 2025 r.

MIKE MARSLAND / GETTY IMAGES

MATERIAŁY PRASOWE X4

„EMILIA PÉREZ” – *reż. Jacques Audiard. Prod. Francja 2024. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 28 lutego.*

Audiard pozwala uwierzyć nawet w wydumany z pozoru melodramat o treserce orek, która traci w wypadku obie nogi. Jak w filmie „Z krwi i kości” (2012), gdzie miłosna szamotanina bohaterki (Marion Cotillard) z pogubionym kickbokserem (Matthias Schoenaerts) miała w sobie filmową świeżość i wigor, jakich wielu nie spodziewało się po tym reżyserze. Zaowocowały jego największym jak dotąd sukcesem kasowym, choć znacznie większe zaskoczenia dopiero miały przyjść.

Na przykład wtedy, kiedy francuski z krwi kości reżyser wziął się nagle za kino rodem z Dzikiego Zachodu, nakręcone w języku angielskim, na podstawie kanadyjskiej powieści, z udziałem gwiazd tej miary, co Joaquin Phoenix czy Jake Gyllenhaal. Wydawać by się mogło, że western przenicowano już gruntownie, lecz „Bracia Sisters” (2018) przynieśli ponowne odświeżenie gatunku. Rzecz jasna w duchu krytycznym i trochę parodystycznym, bowiem ociekająca przemocą historia poszukiwaczy złota znajduje finał wyjątkowo poczciwy, który dałoby się streścić słowami „nie ma jak u mamy”.

Paryż, akcja, romans

Trzy lata wcześniej, jako że Audiard „zna się na wszystkim” i nie boi się ryzykownych kontaminacji, podobne zderzenie zastosował na gruncie kina społecznego. Nagrodzeni Złotą Palmą „Emigranci” prześwietlają problem potencjalnych azylantów z podrobionymi papierami. Kimś takim jest Dheepan, uciekinier ze Sri Lanki, były bojownik Tamilskich Tygrysów, który przez wojnę domową stracił najbliższych i teraz znalazł się po niewłaściwej stronie historii. Ze zmienioną tożsamością i fałszywą rodziną chciałby zacząć nowe życie na podparyskim blokowisku, lecz jego wojowniczy temperament plus przemocowe realia rychło każą mu znowu chwycić za broń. Dla twórców filmu to okazja, by opowieść o skomplikowanym imigranckim losie wyciągnąć z oswajanej w innych filmach rodzajowości i nadać jej gatunkową dynamikę. Chwilami mamy wręcz do czynienia z ostrym kinem akcji albo krwawym *slasherem*. Audiard należy do filmowców, którzy nie obawiają się, że sięgnięcie po rozpoznawalne konwencje odbierze filmowi prestiż, a problemowi wagę.

Tak jak frywolna lekkość wcale nie musi oznaczać błahości, czego dowodem przedostatni film reżysera, „Paryż, 13. dzielnica” (2021). Wyrósł on z amerykańskich powieści graficznych Adriana Tomine’a, skąd zaczerpnął kilka przeplatających się historii, przeniesionych do jednego z paryskich wieżowców w kompleksie Les Olympiades. Reżyser sportretował bohaterów młodszych od siebie o dwa pokolenia, co niektórym zdawało się bezczelną uzurpacją. Zwłaszcza że rzecz dzieje się w środowisku wielokulturowym i wielorasowym, z całą mozaiką specyficznych dla niego zjawisk.

A w największym stopniu ten czarno-biały obraz skupia się na życiu erotycznym młodych ludzi, czym Audiard naraził się wyznawcom teorii, że „o młodziakach tylko młodziaki”. Powstał tymczasem bezpretensjonalny film o seksie i miłości w czasach mediów społecznościowych, płynnych relacji i zbyt długo współdzielonych mieszkań. Jeśli nie o prawdziwym życiu milenialsów, to z pewnością o tym, jak ich widzą ciekawi świata boomersi. Tu warto dodać, że do pisania scenariusza „13. dzielnicy” Audiard zaprosił Céline Sciammę i Léę Mysius, dużo młodsze filmowczynie, z wyraźnie feministycznym pazurem. Dotąd, od czasów „Proroka”, stałym współscenarzystą Audiarda był Thomas Bidegain.

Gwiazdy i gwiazdki

Poskreślam te fakty, bo przy okazji „Emilii Pérez” spadła na reżysera fala zarzutów, że jego scenariusz, tym razem napisany samodzielnie, wedle własnego libretta niezrealizowanej nigdy opery i z luźnej inspiracji powieścią „Écoute” (2018) Borisa Razona, podszyty jest grzechami bezwzględnie dziś piętnowanymi. Czyli paternalizmem, transfobią, postkolonialnym rasizmem, narodowymi stereotypami, kulturowym zawłaszczeniem, a w najlepszym razie nieautentycznością.

I chyba to ostatnie słowo stanowi klucz do filmu Audiarda. Celowo osadził wymyśloną przez siebie historię w równie zmyślonym Meksyku, niby współczesnym, ale wybudowanym w studiach pod Paryżem. Do trzech głównych kobiecych ról zaangażował gwiazdy i gwiazdki, całość zaś utopił w pulpowej fabule, która tym bardziej nie mogła wzbudzać zaufania.

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM **www.radiokrakow.pl**

Jacques Audiard mniej znany - trzy propozycje

▪ **WIELCE SKROMNY BOHATER** (1996) – ten wczesny film w reżyserskim dorobku, nagrodzony m.in. za scenariusz w Cannes, to cierpka historia z czasów drugiej wojny światowej. Bohater Jean-Louisa Trintignanta powraca do lat młodości (gra go wówczas Mathieu Kassovitz), by opowiedzieć o swej pokrętnej drodze „od zera do bohatera".

▪ **SALON PIĘKNOŚCI VENUS** (1999), reż. Tonie Marshall – mało ktoś dziś pamięta, że Audiard był współscenarzystą tej komedii romantycznej, cieszącej się dużą popularnością i obsypanej najważniejszymi statuetkami Cezara, z rolami Nathalie Baye czy Audrey Tautou.

▪ **120 UDERZEŃ SERCA** (2017), reż. Robin Campillo – przy filmie o aktywistach paryskiego ACT UP, walczących w latach 90. o równy dostęp do leków na AIDS, Audiard pełnił funkcję jednego z producentów, podobnie jak przy kilku swoich tytułach, włączając w to „Emilię Pérez".

Oto znana z „Awatara" Zoe Saldaña wciela się w postać Rity, ambitnej prawniczki, która zostaje porwana przez bossa narkotykowego kartelu i otrzymuje zlecenie przyprawiające o zawrót głowy. Nie tylko oferowaną kwotą. Upiorny typ, Juan „Manitas" Del Monte (w tej roli zaprawiona w hiszpańskich telenowelach transpłciowa aktorka hiszpańska Karla Sofía Gascón), chciałby w tajemnicy spełnić swoje największe pragnienie i wreszcie dokonać korekty płci. Albowiem „Manitas" jest kobietą w męskim ciele, żeby więc przeprowadzić pomyślnie całą operację, musi sfingować własną śmierć, opuścić na zawsze swoją żonę Jessi (w tej roli rozsławiona przez disnejowskie produkcje Selena Gomez) i dwójkę ukochanych dzieci. Rita ma koordynować, by akcja przebiegła sprawnie, bezpiecznie i dyskretnie.

Tym, którzy z różnych powodów prychnęli po tym streszczeniu, mogę obiecać – najlepsze (i poniekąd najgorsze) dopiero przed nimi. Ci, którzy powiedzą, że zabawa tak karkołomna nie może przynieść niczego wartościowego, mają szansę przekonać się, że Audiardowi jednak się udało, chociaż teoretycznie nie miało prawa. Z materii podejrzanej, czasami zawstydzająco taniej, reżyser postanowił wykręcić i nakręcić przegięty musical. Gatunek ten, jak wiadomo, wiele dzisiaj przyjmie (patrz: „Annette" czy „Joker: Folie à Deux"), toteż reżyser zmiksował go z melodramatem, filmem gangsterskim i kinem społecznie zaangażowanym, podlewając telenowelowym sosem, kojarzącym się z latynoamerykańską telewizją. Śpiewa się tutaj wszędzie (w toalecie, w gabinecie lekarskim, na ulicy) i o wszystkim (o miłości, przemocy, śmierci, o tożsamości seksualnej i waginoplastyce). Tyle że dzisiaj coraz trudniej śpiewać w taki sposób, żeby nikogo nie urazić.

W musicalu i w realu

„Emilia Pérez" przejdzie do historii kina z co najmniej jednego powodu. Mając na koncie aż trzynaście nominacji do Oscara, w tym dla najlepszego filmu, jest dziś krytykowana jak mało który oscarowy tytuł. Podczas gdy z prawej strony dostaje się jej po prostu za temat (a obecna prezydentura w USA sprzyja nagonce na transpłciowość), o wiele większe gromy słychać z lewej strony, za sam sposób jego potraktowania. I o ile oskarżenia o banalizację, przerysowania, anachronizmy czy język, będący wszak językiem postaci, a nie reżysera, mogą być uzasadnione (nie każdy musi kupić konwencję tego filmu), o tyle zarzuty, że biały heteroseksualny cis mężczyzna ośmielił się nakręcić film o dramacie osoby trans, wydają się mocno przestrzelone.

A że na tranzycję płciową nakładają się jeszcze inne przemiany bohaterki, tudzież zaskakujące wolty, i na dodatek w jednej ze scen wychodzi z Emilii „męska natura" (choć prędzej: głęboko uwewnętrzniona płeć kulturowa), wyrywa się tę historię z jej cudzysłowu i podbija negatywny odbiór. Trudno z nim polemizować, wszak różne mamy doświadczenia i wrażliwości, nie przekreślajmy jednak filmu za bycie autorską fantazją. Pewnie daleką od wymarzonej poprawności, mającą za to wymierne pozytywne następstwa. Jak pierwsza w historii i w pełni zasłużona nominacja do Oscara dla transseksualnej aktorki, nie mówiąc o wcześniejszych nagrodach, i nawet obraźliwe tweety Gascón sprzed lat, ostatnio hucznie nagłaśniane, nie odbiorą jej tych zasług.

Audiard musi mierzyć się także z innymi zarzutami. Bo jakże to, Francuz robi film o meksykańskiej rzeczywistości, punktując w niej jedynie najciemniejsze strony – kobietobójstwa, porwania, gangi narkotykowe, wszechobecny maczyzm i korupcję. W dodatku obsadza główne role aktorkami spoza Meksyku, czasem słabo znającymi hiszpański, i nadmiernie egzotyzuje latynoską kulturę. Tutaj znowu nasuwa się pytanie, w którym miejscu twórcza wyobraźnia dokonuje szkodliwego przekroczenia i godzi w reprezentację konkretnej zbiorowości. Popkultura kształtuje przecież obraz świata.

W tym przypadku sprawa jest trochę bardziej skomplikowana, gdyż Audiard nie poprzestaje na zabawie czy umowności. Uruchamia konteksty chwilami bardzo realistyczne, związane na przykład z ekshumowaniem ciał należących do ofiar gangów. Wówczas, na przecięciu wszystkożernego musicalu i bolesnego ↦

↦ „realu”, musi coś mocniej zazgrzytać – mimo że „Emilia Pérez” przekracza z większym lub mniejszym wdziękiem wiele granic.

Gorejące serce

Uwzględniwszy przytoczone wątpliwości, nadmuchiwane w dużej mierze pod wpływem przedoscarowej rywalizacji, trzeba przyznać, że Audiard jak mało kto potrafił ożywić zarówno kino, jak i (już mimowolnie) debatę o nim. Cierpi na tym popularność jego i filmu, o czym świadczy obniżająca się wraz z każdą następną aferą liczba gwiazdek na portalach filmowych. Złośliwi mówią, że oto pupilek festiwalu w Cannes próbował wprowadzić transseksualność na czerwone dywany i jednocześnie pod strzechy, lecz tak naprawdę ją ośmieszył, zbierając w dodatku punkty za bycie rzekomo progresywnym i wiecznie „młodym”. Wbrew tego rodzaju insynuacjom „Emilia” przynosi kolejny dowód na wielopostaciowość i twórczą witalność autora „Proroka”.

Gdyby sam był prorokiem we własnym kraju, a zwłaszcza poza nim, przewidziałby zamieszanie i mógłby nieco powściągnąć rozbuchane konie. On jednak postawił na tę dziwaczną hybrydę, w której wszystkiego wydaje się za dużo i wszystko się ze sobą miesza: oskarżenia, aktywizm, empatia, szaleństwo, zabawa. Robiąc film momentami bezwstydnie efekciarski, bliższy operze mydlanej niż operze, kiczowaty niczym gorejące serce z promocyjnego plakatu, wbrew pozorom od początku do końca trzyma lejce mocno w garści.

Równocześnie, serwując ten wysokoenergetyczny koktajl, szuka z widzem połączenia nie tylko na poziomie mrugania okiem, ale i czystych emocji, w całej ich amplitudzie. Zamiast więc doszukiwać się społecznych przekazów, słusznych albo szkodliwych, lepiej na czas seansu wyłączyć w sobie wewnętrznego cenzora, specjalistę od życiowego prawdopodobieństwa czy konesera musicali, i dopiero potem pomyśleć, krytycznie i samodzielnie, co tu się właściwie wydarzyło. Z dala od medialnego zgiełku i tożsamościowego wzmożenia.

© ANITA PIOTROWSKA

POŻEGNANIE

Głębokim smutkiem napełniła nas wiadomość o śmierci

Katarzyny Herbert,

która swoje życie i rozliczne talenty
oddała na służbę miłości i wielkiej poezji,
wspierając swego męża
Zbigniewa Herberta,
dzieląc z Nim
zarówno chwile Jego szczytowych osiągnięć twórczych,
jak i czas chorób i cierpienia.
Zakładając Fundację im. Zbigniewa Herberta
przyznającą nagrodę imienia Poety,
przyczyniła się zarówno do upowszechnienia Jego dzieła,
jak i do promocji wielu autorów i sztuki poetyckiej najwyższej próby.

Rodzinie Zmarłej składamy wyrazy najserdeczniejszego współczucia.

PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA ZNAK

Tańczący w sieci

MICHAŁ LIMBOSKI, MUZYK:

W moim wymarzonym świecie artysta mógłby robić to, co robi, po swojemu i nie wypowiadać się na inne tematy, poza swoją sztuką. Ale ciężko teraz znaleźć takich artystów, przynajmniej na rynku muzycznym.

MARCIN WÓJCIK: Nadążasz za swoim czasem czy się starzejesz?

MICHAŁ LIMBOSKI: Obydwie odpowiedzi są prawdziwe. Z jednej strony zawsze byłem odludkiem i zajmowałem się rzeczami mocno niszowymi. Z drugiej, w ciągu ostatnich kilku lat zauważyłem, że wiele z moich prywatnych marzeń, aspiracji czy tęsknot, tak naprawdę nie było moimi. One były właśnie znakiem moich czasów, albo wynikały z doświadczeń mojego pokolenia.

I teraz też czuję, że w Polsce następuje jakieś przewartościowanie. Bliskość wojny ma na nas ogromny wpływ. Polacy przenoszą swoje firmy z zagranicy do Polski i reagują na to, co się dzieje w zmieniającym się geopolitycznie świecie. Więcej ludzi wraca do Polski, niż z niej wyjeżdża.

Ty też wróciłeś po kilku latach emigracji w Berlinie. Dlaczego?

Kiedy nastąpiła eskalacja wojny w Ukrainie, zaczął się we mnie proces zmiany. Kiedyś rozmawiając z Ukraińcami uważałem, że ich kraj musi być naprawdę trudny. Polacy też mają swój kompleks, narzekają na Polskę i uciekają z niej od dekad, ale oni mieli to jeszcze bardziej. Po wybuchu wojny zacząłem się zastanawiać nad tym, co sprawiło, że Ukraina tak dzielnie się broni. Czują, że mają o co walczyć. Myślałem o tym, co bym zrobił, gdybym był w tym Berlinie, a Rosja zaatakowałaby Polskę? Czy byłbym szczęśliwy, że jestem daleko i bezpieczny? Czy byłbym w stanie

JACEK TARAN

Michał Limboski. Kraków, 20 lutego 2025 r.

funkcjonować w kulturze i wspólnocie, dla której fakt zaatakowania Polski miałby zupełnie inne znaczenie niż dla mnie?

Doprowadziło mnie to ostatecznie do konstatacji, że chciałbym być w Polsce – nawet jeśli będzie się działo źle.

Poczułeś się patriotą?

Chociaż funkcjonujemy w realnym, racjonalnym świecie, to równocześnie jesteśmy kierowani jakimiś siłami, które nie są racjonalne. Zbiorowa nieświadomość narodu polskiego istnieje i nami kieruje. Wcześniej to negowałem, traktowałem jako coś, co nawet jeśli istnieje, to lepiej, żeby nie istniało, bo tylko przynosi problemy. Jeśli miałbym powiedzieć, co czuję w związku ze słowem patriotyzm, to najbliżej mi do jakiegoś rodzaju wdzięczności za nic, albo wdzięczności nie do końca wiadomo za co, poczucia jakiegoś długu, który zaciągnąłem.

I dlatego na singiel promujący nową płytę wybrałeś modlitwę o pokój?

„W kraju poetów" napisałem jeszcze w Berlinie. Pierwszy raz od bardzo długiego czasu poczułem, że napisałem coś, co ma ciężar. Do tego stopnia, że zdarzało mi się wzruszyć nagrywając tę piosenkę, śpiewając te słowa i miałem poczucie, że znowu kontaktuję się z tym, co sprawiło, że robię to, co robię w życiu.

Kiedyś śpiewałeś o podrywaniu dziewczyn w Indiach, a teraz piszesz modlitwę o to, żeby nie było wojny.

„W kraju poetów" to modlitwa, ale też rozmowa ze sobą. Każdy ma w sobie kapitana, który albo dowodzi, prowadzi do słońca, albo śpi lub jest niedysponowany.

W Berlinie nagrałeś też płytę „Duality" z Rayem Thomsonem, muzykiem Gospel, którą bardzo dobrze przyjęto w Polsce.

Dla mnie jest bardzo ważna. Wystąpiłem w niej po raz pierwszy w roli producenta, nagrywaliśmy bez presji czasu i bez konkretnego planu. Zawsze będzie mi się kojarzyła z czasem, kiedy lockdowny trzymały nas w domu. Spędzaliśmy długie godziny z Rayem, nagrywając w moim domowym studiu. Ten projekt był też dla mnie okazją do dotknięcia kompleksu polskiego chłopaka, który dorastał w Wałczu w latach 90., w etosie muzyki amerykańskiej jako symbolu wolności i celu dążeń. Współpraca z Rayem była dla mnie ukoronowaniem tych nieświadomych dążeń, które towarzyszyły mi przez całe życie. A kiedy już się to stało, poczułem, że straciła dla mnie na atrakcyjności.

Czemu?

Bo ta muzyka jest wyrazem geopolitycznej dominacji Anglosasów na świecie, ale jako *lingua romana* jest dość uboga. Niestety, popularna muzyka polska naszych czasów też jest tylko kalką muzyki amerykańskiej z bardziej lub mniej udanym wszczepem języka polskiego. Na rynku niemieckim jest zresztą podobnie.

Czego się tam nauczyłeś?

Nauczyłem się pracować, bo wcześniej tylko grałem. Kiedy lockdowny się przedłużały i skończyły mi się pieniądze, pracowałem fizycznie przez kilka miesięcy. Potem zacząłem wykładać na uczelni muzycznej British & Irish Institute for Modern Music. Tam rozpocząłem wymarzony epizod, jako wykładowca w brytyjskiej wyższej szkole rock'n'rolla. No i, żeby było śmieszniej, moja praca polegała na pokazywaniu studentom, jak grać muzykę anglosaską – bluesa, funk, pop itd. W tym samym czasie urodziły mi się dzieci i miałem czas przerwy od aktywności koncertowej, bo najpierw dwa lata pandemii i restrykcji, a potem kolejne dwa lata powolnego powrotu do występowania i obserwowania zmian w Polsce i w Niemczech. Razem złożyło się to na rodzaj urlopu tacierzyńsko-pedagogicznego.

Stabilizacja?

Sprawdzenie podświadomego przeświadczenia, że prawdziwe życie jest jednak wyłącznie tam, na Zachodzie. ↦

↦ Konfrontacja z bardzo powszechnymi polskimi kompleksami: trzeba tam pojechać, bo tylko tam coś jest naprawdę. Berlin jest miastem marzeń, a raczej neoliberalnego polskiego snu. Nam się wydaje, że cały czas gonimy Europę Zachodnią z jej prawami człowieka, kulturą, wolnością, luzem i bogactwem.

I co? Nie jest tak?

Dopiero będąc tam, uświadomiłem sobie, jak bardzo te wyobrażenia, tendencje i narracje we mnie żyły i mną powodowały. Zrozumiałem też, że nie mamy się czego w Polsce wstydzić, bo jesteśmy kompletni. Największa siła tego, co jest w Polsce, to właśnie ludzie, talenty, eksperci i jakiś rodzaj żywotności, którego mi tam bardzo brakowało. Kiedy urodziły mi się córki, musiałem sobie zadać pytanie, czy chcę, żeby wzrastały w świecie berlińskim, czy w polskim. Podjęliśmy decyzję z ich mamą, że chcemy, żeby wyrastały w Polsce, w polskiej kulturze, bo w tej berlińskiej jednak jesteśmy gośćmi.

Do jakiej Polski wróciłeś jako muzyk? Kiedyś dla ludzi tworzących przemyślaną, ambitną muzykę, było studio Agnieszki Osieckiej, w którym zresztą grałeś. Piotr Metz, radiowa Trójka. Czy miejsca przyjazne artystom, w których każdy chciał być, teraz straciły dawną moc? Co jest współczesnym ekwiwalentem tamtych instytucji?

Trójka jest, studio Agnieszki Osieckiej jest i mam nadzieję, że nastąpi jakaś odbudowa, bo radio publiczne to dobro. W Trójce zawsze było kilku redaktorów, którzy decydowali o tym, co dostanie szansę u słuchaczy. Wadą było to, że byli tylko ludźmi i popełniali błędy, zaletą, że cieszyli się autorytetem i jednak mogli te szanse dawać. Ale teraz rola takich „gatekeeperów" jest coraz mniejsza, bo wszyscy mają dostęp do wszystkiego. Na Spotify dziennie pojawia się 120 tysięcy nowych premierowych utworów. Gatekeeperzy oddali władzę, ich autorytet i decyzyjność ma zastąpić algorytm mediów społecznościowych.

Czy to dlatego wymyśliłeś projekt „Tańczący z algorytmami", Twój kanał, na którym pojawiasz się codziennie?

Trochę dlatego, a trochę żeby zobaczyć, czy to rzeczywiście działa i czy mogę funkcjonować jako artysta w takim otoczeniu. Sam jestem przecież odbiorcą treści podawanych mi przez algorytm. Wiele z nich ma bardzo wysoką jakość. Nie chcę tylko narzekać, że oddaliśmy władzę nad sobą algorytmom i że jesteśmy zgubieni, bo sztuka sama się nie obroni. Powiedzmy, że eksperymentuję, tańczę z algorytmem. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Większość artystów, nawet tych światowego formatu, którzy zrezygnowali z mediów społecznościowych, po kilku miesiącach wracała tam z powrotem i to z podkulonym ogonem.

Niedawno powiedziałeś w „Tańczącym...", że gitara się skończyła, wyszła z mody. Czy to znaczy, że Michał Limboski się skończył?

Nie. Gitara powinna prędzej czy później wrócić do mody, bo jest odpowiedzią na dzisiejszy przerost formy nad treścią – przerost postprodukcji we współczesnej muzyce. Do tego dochodzi sztuczna inteligencja i muzyka tworzona przez nią. Musi nastąpić powrót do żywego człowieka, który gra na instrumencie, a na tym właśnie polega największa siła gitary. To jest deska z drutami, które brzdąkają, kiedy się je szarpie. Instrument jest bardzo niedoskonały, bo bardzo manualny.

Powiedziałeś też, że w muzyce wszystko już było i że wszystko jest cytatem. I sam sobie zadałeś pytanie: co jest twórcze?

Twórcze jest odkrywanie czegoś na nowo, czegoś, co najbardziej rezonuje z czasami i nastrojem epoki. Od wielu lat naprawdę nie ma nic nowego w muzyce. A jednocześnie co jakiś czas zdarzają się rzeczy, które stanowią nowe wcielenie tego, co już było, ale poraża swoją świeżością i adekwatnością.

Opowiadamy wciąż te same mity w zmieniającym się kontekście?

Tak. Myślę, że tak było zawsze i to jest naturalny proces, dobry. Zastanawiam się tylko, jak zmieniające się media, korporacje, platformy streamingowe, wytwórnie muzyczne zakłócają naturalny proces powstawania i odbierania twórczości. Nie wiem, czy w jakiś sposób nie usztuczniają tego procesu, sprawiając, że mody trwają za długo, albo zbyt krótko. Może rynek nie reaguje na potrzeby ludzi, tylko jest sterowany przez algorytmy, które są poza kontrolą.

Dziś decyduje umiejętność sprzedaży produktu, jakim jest artysta. Talent, wirtuozeria, kunszt instrumentalny, zostały zdewaluowane.

Zastanawiam się, czy artysta może dziś pozostać artystą i tworzyć, zamiast wypowiadać się na wszelkie podrzucane przez media tematy, żeby istnieć?

W moim wymarzonym świecie tak by właśnie było. Artysta mógłby robić to, co robi, po swojemu i nie wypowiadać się na inne tematy poza swoją sztuką. Ale ciężko mi teraz znaleźć takich artystów, przynajmniej na rynku muzycznym. To się zaczęło od czasów wielkich

JACEK TARAN

MICHAŁ LIMBOSKI jest wokalistą, gitarzystą i producentem muzycznym. Wydał dziewięć albumów, które przyniosły mu dwie nominacje do Fryderyków. Uważany jest za jednego z najbardziej oryginalnych polskich songwriterów. Jego utwory stale gościły na antenie radiowej Trójki. Koncertował m.in. w studiu im. Agnieszki Osieckiej i na festiwalu „Męskie Granie". W 2020 r. wyemigrował do Berlina, gdzie wykładał w instytucie BIMM (British & Irish Institute for Modern Music). W Niemczech wydał także płytę „Duality" nagraną z amerykańskim wokalistą gospel Rayem Thompsonem. W kwietniu ukaże się jego najnowszy album pt. „Wieloryb".

Na zdjęciu: nad Wisłą w Krakowie, 20 lutego 2025 r.

wytwórni i wielkich pieniędzy z lat 70. A teraz dominuje z powodu platform streamingowych i mediów społecznościowych. Wytwórnie patrzą po pierwsze na to, ilu followersów ma aspirujący artysta. A potem zajmują się głównie powiększaniem tej liczby...

A może to jest właściwy kontekst naszych czasów, w którym po prostu trzeba się odnaleźć?

Pewnie tak jest, brzmi to rozsądnie. Lecz algorytmy decydują o tym, co myślimy, robimy i o czym rozmawiamy. Żyjemy w odizolowanych bańkach informacyjnych i o rzeczach, które wydają nam się ważne, decyduje algorytm. Nie możemy zamienić gatekeeperów przeszłości i autorytetów kultury z przeszłości na media społecznościowe. I chyba ktoś to musi głośno powiedzieć.

To kiedy wyjdzie nowa płyta? Jaka będzie?

Będzie miała tytuł „Wieloryb" i wyjdzie prawdopodobnie w kwietniu, a wcześniej, co miesiąc, będą się ukazywały single. Ukaże się też film dokumentalny, nagrany podczas pracy w studiu. Pracowałem nad koncepcją brzmieniową tego albumu bardzo długo. Wkrótce ten rozdział będzie zamknięty i „Wieloryb" odpłynie, by żyć własnym życiem. Teraz robię ostatnie poprawki i akceptuję finalne miksy. Są na tej płycie piosenki o wojnie, o wolności, o duchach i o moich córkach. Mam poczucie, jakbym zbudował wielkie, piękne miasto z piasku na plaży, ale takie na kilka kilometrów długie, ogromne...

Z jednej strony nie chcesz się naginać i tworzysz rzeczy bezkompromisowe, z drugiej tańczysz z algorytmami. Dokąd zmierzasz, czego sobie życzysz?

Chcę stać na scenie, grać na gitarze. Śpiewać o rzeczach, które mają znaczenie dla ludzi, których w jakiś sposób rozumiem i odczuwam. Myślę, że tylko to, bo cała reszta już jest i poradzi sobie beze mnie. Ale jakieś przekazywanie energii bezpośrednio, tej energii, którą powoduje we mnie muzyka na scenie i która może być odbierana na żywo, to jest jedyna rzecz, która działa, istnieje i jest tylko i wyłącznie moja. Cała reszta to tylko nadbudowa, na którą nie mam wpływu ani jako człowiek, ani jako artysta.

© Rozmawiał MARCIN WÓJCIK

Lektor:
Ostatnie spotkanie

▪ *Maria Poprzęcka*
ŚMIERĆ PRZED OBRAZEM. O SZTUCE, STAROŚCI I ZNIKANIU
słowo / obraz terytoria, Gdańsk 2024, ss. 192

Co widzi trupa wyszklona źrenica, / Kiedy spokojnie, zda się, ciało leży – / A tylko oko – jak wielka krynica, / Na którą słońce ukosem uderzy – / Szkli się – a na nim tęcza – tajemnica / I światło w sporze z czasem, który bieży, / Z myślami, które na świecie się roją". Pytanie sformułowane przez Juliusza Słowackiego w jednym z wariantów „Króla-Ducha" Grzegorz Kowalski z inspiracji Jacka Sempolińskiego zadał w latach 80. grupie artystów. Najgłośniejsza z wystaw tego cyklu pokazana została w roku 2002 w warszawskiej Zachęcie – miejscu, gdzie 80 lat wcześniej umierał postrzelony przez zamachowca pierwszy prezydent Rzeczypospolitej.

Który obraz był dla Narutowicza tym ostatnim? I jak to było z „kawałkiem żółtej ściany" z „Widoku Delft", tym ze sceny śmierci Bergotte'a u Prousta? Wiele pytań jest w tej znakomitej książce, a wszystkie dotykają niepojmowalnej chwili spotkania śmierci i sztuki. Dzieł późnych czy wręcz zamykających twórczość – jak tajemnicze „Korzenie" Van Gogha albo „Victory Boogie-Woogie" Mondriana. Przedstawień sceny śmierci Holofernesa z rąk Judyty i roli, jaką w nich odgrywa służąca-niewolnica Abra. Punktem wyjścia bywa literatura – na przykład Georges Perec. Albo Zola. Albo wiersz Yeatsa.

Tematem jest także starość twórców, wola sprzeciwu i potrzeba zniknięcia („wolałbym nie" kancelisty Bartleby'ego z opowiadania Melville'a) jako dwie formy buntu. Tu pretekstem stało się przypadkowe spotkanie w tejże Zachęcie dwojga artystów, wspomnianego już Jacka Sempolińskiego i Louise Bourgeois, francuskiej rzeźbiarki, która największe triumfy odniosła i największą sławę zdobyła w bardzo późnym już wieku. Oboje, pisze Poprzęcka, trochę polemicznie wobec uwag samego Sempolińskiego, „w późnych latach są w epoce swojego »dzieła«" – dzieła prawdziwie dojrzałego, epoki „późnego rozkwitu". Gdy patrzymy na bieg ich życia i twórczości, najbardziej fascynuje, że „ich cudowny talizman życia się nie kurczył, lecz rozrastał".

Ta książka, tłumaczy autorka, historyczka sztuki i najwybitniejsza dziś zapewne u nas przedstawicielka tej dziedziny, „nie jest kolejnym przyczynkiem do rozległej historii starości i ludzi starych. Mówi o sztuce. O sztuce wobec starości, o ich wzajemnych relacjach. O sztuce, której w różnych okolicznościach starość niespodzianie staje na drodze". I o starości, która „odsłania niedoświadczane przedtem strony życia. Także niezauważane czy nieprzeczuwane strony sztuki". ©℗

ALINA MAŻOVETS / MATERIAŁY PRASOWE

Sw@ada i Niczos wystąpią w marcu w Krakowie, Wilnie, Poznaniu i Berlinie.

Po swojemu

MONIKA OCHĘDOWSKA

W finale polskich kwalifikacji do Eurowizji zajęli miejsce drugie, ale dzięki występom w telewizji wiele wygrali dla języka podlaskiego oraz – za jednym zamachem – nowoczesnej muzyki klubowej.

Źródła gościnnej dla kajakarzy rzeki Supraśl znajdują się ponoć w białostockich bagnach, leżących gdzieś na zachód od wsi Tylwica-Kolonia. Początkowo rzeczka płynie stamtąd na wschód, a następnie skręca na północ, zanurzając się w rosnącej z roku na rok – dzięki zalesianiu tamtejszych gruntów porolnych – Puszczy Knyszyńskiej. Dalej, duża i silna, biegnie Supraśl ponad północnymi dzielnicami Białegostoku, użyczając swoich bulwarów mieszkańcom.

To właśnie gdzieś w dolinie tej rzeki, o wschodzie słońca, Sw@da i Niczos (Wiktor Szczygieł i Nika Jurczuk) nagrali teledysk do elektryzującej jak otaczająca zieleń piosenki „Trava Murava". W swojej klasycznej wersji „Trava Murava", jedna z tzw. pieśni wiosennych tego regionu, dostępna jest w serwisach streamingowych w wykonaniu Studia Folkloru Podlaskich Białorusinów Żemerwa. Zespół działa od roku 2003 i ma w swoim repertuarze utwory zarejestrowane na Podlasiu i Polesiu. Z czasem w Żemerwie zaczęto uczyć także tradycyjnych, zaobserwowanych „w terenie" tańców. Dziś grupa uczy się także gry na popularnych w regionie skrzypcach, cymbałach, dudzie i dudkach.

„Po swojomu zaśpiwajut w Europi? Toho szcze nie było!" – kibicowała w mediach społecznościowych grupa miłośniczek i miłośników Żemerwy tuż przed występem w finałach Eurowizji jednej z Żemerwianek, Niki Jurczuk.

To właśnie w Żemerwie Jurczuk nauczyła się języka podlaskiego, w którym śpiewa i rapuje w duecie ze Sw@dą.

– W zespole wszyscy porozumiewają się w ten sposób, więc, chcąc nie chcąc, ja też przyswoiłam podlaski. Nie mówię żadną konkretną gwarą, charakterystyczną dla jednego miejsca, raczej łączę je ze sobą, operuję różnymi formami tutejszego języka – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Niczos.

– Czy to nie jest tak naprawdę *supercool*, że wyjeżdżasz zaledwie paręnaście kilometrów za Białystok i trafiasz na wioski, w których ciężko się dogadać? – dodaje Sw@da. – Oczywiście jeśli nie uprzedzisz, że będziesz chciała rozmawiać w języku polskim.

Oboje zwracają uwagę na inspirującą różnorodność regionu, w którym obok siebie stoją kościoły, cerkwie i osiemnastowieczne meczety.

Ale miejsca, w których Sw@da i Niczos nagrywają swoje teledyski, przypominają nie tylko o podlaskim krajobrazie, języku i historii. Wiele mówią też o tradycjach tamtejszej sceny klubowej, w szczególności imprezach zwanych z angielskiego „secretami". W charakterystycznych dla sceny techno zabawach w formule *secret location* udział wziąć mogą tylko wtajemniczeni goście, otrzymujący zaproszenie często w ostatnim momencie, tuż przed rozpoczęciem. Co ważne, „secrety" odbywają się w najdziwniejszych, opuszczonych albo zniszczonych, nierzadko postindustrialnych przestrzeniach. Kolorowy, tańczący tłum oraz pulsująca muzyka są w stanie choć na chwilę dać im drugie, zupełnie inne życie.

Bywały lata, kiedy jedna tylko ekipa, dziś organizująca w Białymstoku Electrum Up To Date Festival, potrafiła zorganizować nawet trzy edycje „secretów". Pierwszy odbywał się na wielkiej łące na obrzeżach miasta, na której dziś stoi osiedle domków jednorodzinnych. Kolejne edycje wykorzystywały przestrzenie starej kuchni przemysłowej, opuszczonego szpitala dermatologicznego albo hałdy odpadów z elektrociepłowni.

Sw@da i Niczos na szczęście nie są „secretem", choć ich misja także polega na przywracaniu do życia zapomnianych miejsc umieszczonych daleko poza głównym nurtem muzyki popularnej. Utwór „Lusterka", którym zdobyli ponad 20 proc. głosów telewizyjnej publiczności, to jeden z kawałków z ich debiutanckiej, tanecznej płyty „#INDAWOODS", łączącej język i tradycję Podlaszuków z muzyką rodem z brazylijskich faweli oraz baunce'em inspirowanym hip-hopem z południa USA. Naprawdę *supercool*. ©℗

Więcej niż polszczyzna

Anna Wotlińska, p.o. dyrektorki Instytutu Różnorodności Językowej Rzeczypospolitej:

Polszczyzna nigdy nie była jednolita – to mozaika dialektów, gwar i języków regionalnych. Coraz częściej widzimy w nich wartość i część naszej tożsamości.

TERESA GROTOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

ANNA WOTLIŃSKA – doktor nauk humanistycznych, polonistka (UW), badaczka prasy lat 20. i 30. XX w. Pracowała w MKiDN (2001–2020), zajmując się edukacją kulturową i medialną. Była członkinią Polskiej Rady Języka Migowego. Ekspertka Centrum Projektów Polska Cyfrowa. Kieruje Instytutem Różnorodności Językowej Rzeczypospolitej.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czy Polska jest językowo różnorodna? Skąd przekonanie, że istnieje tylko jedna, literacka polszczyzna?

ANNA WOTLIŃSKA: To błędny obraz. Polszczyzna nigdy nie była jednolita – to mozaika dialektów, gwar i języków regionalnych. Sama pochodzę z Kielc i słychać to w mojej mowie – są w niej świętokrzyskie ślady. Każdy z nas ma własny językowy bagaż. Problem w tym, że przez lata dialekty i gwary spychano na margines, kojarząc je niesłusznie z brakiem wykształcenia. Dziś to się zmienia – coraz częściej widzimy w nich wartość i część naszej tożsamości. Dodając do tego języki mniejszości narodowych i etnicznych, powstaje prawdziwy lingwistyczny kolaż.

Dobrym przykładem jest spektakl „Mianujom mie Hanka" w Teatrze Telewizji – w całości po śląsku. Grażyna Bułka stworzyła poruszającą postać Hanki, a śląski wybrzmiał w pełni swojej siły i wyjątkowości. Spektakl pokazuje, że języki regionalne i gwary nie są skansenem, ale żywą częścią kultury. Myślę, że wielu widzów, słuchając tej historii, mogło pomyśleć: „A jaka jest moja opowieść? Jakim językiem ją opowiem?" To siła sztuki.

Jak Instytut Różnorodności Językowej Rzeczypospolitej wspiera języki mniejszościowe i regionalne?

Jesteśmy młodą instytucją, ale już uruchomiliśmy program dofinansowania inicjatyw językowych. Nie ograniczamy się tylko do języków prawnie uznanych, jak kaszubski czy karaimski. Wspieramy każdą wspólnotę, która chce działać na rzecz swojej mowy – niezależnie od tego, jak ją nazywa. To dla nas nie tylko forma pomocy, ale i laboratorium wiedzy. Napływające wnioski to cenne źródło wiedzy, które pomoże nam rozwijać kolejne działania. Mamy wiele pomysłów, w tym planowany program stypendialny, który – mam nadzieję – ruszy wkrótce.

Różnorodność wymaga odpowiedzialności. Jak ją rozumieć w kontekście języka?

Odpowiedzialność za słowo jest fundamentalna. Niezależnie od tego, czy mówimy po polsku, śląsku, kaszubsku czy ukraińsku, musimy pamiętać, że język może budować porozumienie, ale i ranić. Istotne jest nie tylko to, co i jak mówimy, lecz także uważność na słuchacza.

Co Pani sądzi o debatach wokół terminów „gwara", „język", „dialekt"?

To skomplikowana kwestia. Pracując z wydawnictwem Dwie Siostry nad książką dla dzieci o różnorodności językowej – pierwszą taką w Polsce – najdłużej debatowaliśmy nad tym, czy użyć słowa „gwara". Ta jedna decyzja zdominowała całą dyskusję! To pokazuje, jak lęk przed „niewłaściwym" nazewnictwem może nas blokować.

Rozumiem, że dla części wspólnot, np. Ślązaków, termin „gwara" jest deprecjonujący, bo – również dla mnie – śląski to język. Jednak w Świętokrzyskiem czy Warszawie użytkownicy mówią o „gwarze" i nie widzą w tym nic złego. Podobnie jest na Podhalu.

Dla mnie ważniejsze od sporów definicyjnych jest to, by ludzie mieli przestrzeń do mówienia po swojemu, opowiadania swoich historii i tworzenia sztuki w języku, który czują jako własny. Uznanie różnorodności za wartość zobowiązuje do takiej otwartości.

Czy w tej przestrzeni jest miejsce na języki, które niemal zanikły?

Tak, choć dziś funkcjonują głównie poprzez ślady w kulturze, wspomnieniach i codziennych doświadczeniach. Sama to czuję, choć nie potrafię powiedzieć ani jednego zdania w gwarze świętokrzyskiej. Wiele osób odczuwa podobną stratę – nie zdążyli nauczyć się języka miejsca, z którego pochodzą, często będącego mową ich przodków. Stąd rosnące zainteresowanie różnorodnością językową – ludzie próbują odzyskać choć fragment utraconego dziedzictwa.

Jak widzi Pani przyszłość językowej różnorodności w Polsce?

Marzę o świecie, w którym sposób mówienia, wygląd czy tożsamość nie budzą lęku ani wstydu. Gdzie można mówić po śląsku, kaszubsku, niemiecku czy w polskim języku migowym i być wysłuchanym.

Czy to wizja utopijna? Może tak. Ale jeśli uda się zrealizować choćby 20 procent tej wizji, będzie to krok w dobrym kierunku.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

INSTYTUT RÓŻNORODNOŚCI JĘZYKOWEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Przyznajemy dotacje do 80 tys. zł w programie „Różnorodność Językowa".

Finansujemy projekty kulturalne i edukacyjne obejmujące języki mniejszościowe oraz lokalne odmiany językowe. Na wnioski czekamy do 10 marca. Więcej informacji na **stronie irjr.pl**

Piękna katastrofa

DOROTA KOZIŃSKA

Rodzima opera po raz kolejny proponuje realizowane ogromnym nakładem sił i środków widowisko. Szkoda, że jego twórcy nie mają pojęcia o muzycznej i dramatycznej materii dzieła, które próbują inscenizować.

Program bieżącego sezonu w Teatrze Wielkim-Operze Narodowej od początku zapowiadał się dziwnie. Pal sześć utyskiwania przywiązanych do żelaznego repertuaru operomanów, którzy nie mogli przeboleć, że wśród nielicznych premier nie znaleźli ani jednego pewniaka.

Mnie, niepoprawną wędrowniczkę po tak zwanych prowincjonalnych teatrach europejskich, które w nieporównanie szerszej ofercie potrafią zachować równowagę między operowymi przebojami, rarytasami wydobywanymi z mroków zapomnienia, premierami oper współczesnych i nieschodzącymi z afisza utworami kompozytorów przedromantycznych (często w zaskakująco dobrych wykonaniach), bardziej zaniepokoiły szumnie anonsowane produkcje oper, których przeciętny polski odbiorca w życiu nie widział na scenie i zapewne nigdy nie słyszał. A o których powinien mieć choćby blade pojęcie, zanim zetknie się z inscenizacją, której realizatorzy mogą okazać się równie jak on sam nieobeznani z muzyczną i dramatyczną materią dzieła.

Debiutanci

Przed nami dwa koncertowe wykonania z jakichś powodów niewystawianej po wojnie w Warszawie opery Gounoda „Romeo i Julia", wcześniej zaś premiera z zagadkowych przyczyn nieobecnej na polskich scenach „Ariadny na Naksos", jednego z największych arcydzieł Ryszarda Straussa.

Za nami inscenizacja „Simona Boccanegry", wyjątkowo problematycznej opery Verdiego, której reżyserię powierzono debiutującej w teatrze operowym Agnieszce Smoczyńskiej, znanej z niewątpliwych dokonań na polu sztuki filmowej, kierownictwo muzyczne zaś – Fabio Biondiemu, znakomitemu i uwielbianemu w naszym kraju skrzypkowi, który słusznie uchodzi za wybitnego specjalistę od repertuaru barokowego. Jego doświadczenie dyrygenckie w repertuarze Verdiowskim – jak rozbrajająco przyznał w wywiadzie do książki programowej – ogranicza się jednak do „kilku oper" (ściślej czterech). Za batutę w „Boccanegrze" chwycił w Warszawie po raz pierwszy.

Nie byłoby o co kopii kruszyć, gdyby Biondi – który jest naprawdę bardzo wrażliwym muzykiem – dostał do dyspozycji orkiestrę grającą Verdiego na co dzień i otrzaskaną z jego specyficznym idiomem, a reżyserka-debiutantka mogła skorzystać z rad doświadczonego dramaturga, który wprowadziłby ją w nieprawdopodobne zawiłości libretta „Boccanegry" i pomógł je przełożyć na nowoczesny język teatralny.

Tymczasem zaangażowany do tej roli Robert Bolesto jest w tej dziedzinie równie zielony jak Agnieszka Smoczyńska, więc oboje – wraz z liczną ekipą współrealizatorów – postanowili skorzystać z niezawodnego przepisu na sukces w TW-ON: urządzić spektakularne widowisko, tym razem w klimacie filmu bądź gry komputerowej postapo, naładowane mnóstwem odniesień do katastrofy klimatycznej i ogólnego kryzysu wartości, doprawione tyleż efektowną, ile niespójną, chwilami wręcz karykaturalną symboliką. Nie trzeba dodawać, że widowisko całkowicie oderwane od dramaturgii tekstu literackiego i muzycznego, i przy niewątpliwej, choć niezbyt oryginalnej (o czym za chwilę) urodzie – nieznośnie statyczne, pozbawione jakichkolwiek znamion reżyserii postaci.

Dekoracje

Ci, którzy spodziewali się na scenie skrzyżowania „Diuny" z „Gwiezdnymi wojnami" i „Equilibrium", dostali swoje z nawiązką. Ci, którzy wydali czterdzieści złotych na program i przeczytali streszczenie opery, być może uwierzyli, że w libretcie lud wybiera korsarza Boccanegrę (bądź co bądź, postać historyczną) nie na pierwszego dożę Genui, tylko na papieża, że Paolo zatruwa promieniowaniem wodę w kropielnicy (która, jak wiadomo, jest stałym elementem wyposażenia każdej papieskiej sypialni), a trzeci akt rozgrywa się na pustyni „z rosnącą morderczą radioaktywnością".

Adorno, ukochany Amelii i następca Boccanegry (znów postać historyczna), okazuje się Aniołem, zapewne dlatego, że ma na imię Gabriel; Szymon Boccanegra na szczęście nie okazuje się Słupnikiem, ale za to w finale zostaje zamknięty w szklanej trumnie – jak to papież – tyle że żywcem. Niewtajemniczonym wyjaśniam, że to, i wszystkie inne streszczenia koncepcji dramaturgicznych spektakli w TW-ON, jest podsuwane widzom nieuprzedzonym o braku jakiegokolwiek związku tychże koncepcji z librettem. Co jest ewenementem na skalę światową: w każdym innym teatrze widz ma przynajmniej szansę skonfrontowania wizji inscenizatorów z oryginałem.

W wywiadach przedpremierowych Smoczyńska wyliczyła cały korowód inspiracji – od malarstwa Giotta, Rafaela i Dalego aż po filmy Pasoliniego. Wspomniała też o instalacjach Olafura Eliassona, zapomniała jednak dodać, że pustynny krajobraz z gorejącym słońcem dziwnie przypomina jego scenografię do „Fedry" Henzego w berlińskiej Staatsoper. Podobnych natchnień jest w tym spektaklu więcej: niektóre pomysły scenografki Katarzyny Borkowskiej wyglądają jak żywcem wyjęte z „Inferna" Castellucciego albo (niespodzianka) z „Simona Boccanegry" w dekoracjach Anisha Kapoora.

Nieszczęsny Biondi – z którym realizatorom ponoć znakomicie się współpracowało – nie miał chyba innego wyjścia, jak poddać się tej statycznej wizji, chwilami sprawiającej wrażenie nie tyle spektaklu teatralnego, ile koncertu w kostiumach (projektu Katarzyny Lewińskiej). Niewiele pomogła subtelna choreografia Tomasza Wygody, bardzo dobra reżyseria świateł (Aleksander Prowaliński), efektowne projekcje Natana Berkowicza i całkowicie zbędna, banalna „muzyka to-

KRZYSZTOF BIELIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU WIELKIEGO

Scena ze spektaklu „Simon Boccanegra" Giuseppe Verdiego. Warszawa, 14 lutego 2025 r.

warzysząca" Baascha, na szczęście równie krótka jak dokonujące się przy otwartej kurtynie zmiany dekoracji. Soliści pałętali się po scenie bez ładu i składu, zachowując bezpieczny dystans nawet w epizodach domagających się bliższego kontaktu między postaciami.

Dialogi

Niestety, wszechobecna inercja udzieliła się także niektórym śpiewakom, zwłaszcza obdarzonej przepięknym, gęstym, świetnie prowadzonym sopranem Gabrieli Legun, której Amelia okazała się dziwnie chłodna, wyzuta z emocji, mało zróżnicowana wewnętrznie. Niewiele też zdołał zrobić z kompletnie nieprzemyślaną postacią Fiesca znakomity skądinąd Rafał Siwek, który już w prologu zaimponował piękną frazą i głębokim, nasyconym brzmieniem swego aksamitnego basu.

Gdyby jednak nie obiektywne walory muzyczne, jego początkowy dialog z Boccanegrą, w którym Fiesco od niechcenia bawi się paskiem, którym później, również od niechcenia, poddusza zdesperowanego korsarza – wypadłby wręcz groteskowo. Za to całkiem groteskowo wypadła scena autoagresji Anioła Gabriela, który w akcie II z rozpaczy podcina sobie skrzydło, po czym drze z niego pierze niczym skubaczka na pokazie folklorystycznym. Zarówno kostium, jak i zadania aktorskie wyraźnie przerosły amerykańskiego tenora Anthony'ego Ciaramitaro, świetnego technicznie, dysponującego jednak niezbyt urodziwym głosem – robił jednak, co mógł, by tchnąć choć odrobinę życia w swego bohatera, potraktowanego po macoszemu także przez samego kompozytora.

Najlepszy postaciowo i bardzo dobry wokalnie okazał się Szymon Mechliński, Paolo mroczny i odpychający niemal jak Jago z „Otella". Potencjału Sebastiana Catany w partii tytułowej można się było tylko domyślać – o niedyspozycji solisty poinformowano jeszcze przed rozpoczęciem spektaklu, rumuński baryton śpiewał jednak z doskonałym wyczuciem Verdiowskiego języka muzycznego i z godnym podziwu zaangażowaniem.

Dysonans

Na zakończenie wypada mi już tylko dodać, że reżyserka w większości epizodów wypchnęła osiemdziesięcioosobowy chór za kulisy albo w głąb sceny, przez co stracił energię, chwilami śpiewał pod dźwiękiem i często w niezgodzie rytmicznej z pozostałymi wykonawcami. Ogólny nastrój udzielił się także Biondiemu, który wprawdzie pozbierał we w miarę spójną całość nieruchawą orkiestrę TW-ON, nie zdołał jednak w nią tchnąć choćby odrobiny zapału, tak potrzebnego choćby w fenomenalnej scenie „Evviva il Doge!" z trzeciego aktu.

W innych miejscach – między innymi w preludium do aktu I – zabrakło z kolei subtelności i wyczucia niezwykłego kolorytu harmonicznego tej partytury: tym większa szkoda, że w zaprezentowanej w Warszawie drugiej wersji opery, zrewidowanej przez kompozytora niemal ćwierć wieku po nieudanej premierze, czai się już zapowiedź wirtuozerii warsztatowej „Otella". Mam wrażenie, że Biondi, mimo całej miłości do niesłusznie lekceważonego „Simona Boccanegry", nie ma jeszcze pomysłu na ten utwór, gubi się w meandrach jego skomplikowanej narracji, nie umie przekonująco opowiedzieć muzycznej historii korsarza, który zbyt późno zyskał przebaczenie. Inna rzecz, że w ujęciu Smoczyńskiej finałowe przesłanie opery pozostaje całkiem nieczytelne.

Niech czytelnicy nie myślą, że lekko pisało mi się tę recenzję. Dawno nie doświadczyłam tak dotkliwego dysonansu poznawczego – w starciu z niemal jednomyślnym zachwytem widowni, która po raz kolejny nagrodziła gromkimi brawami specyficznie warszawską „operę". Czyli pyszne, zrealizowane ogromnym nakładem sił i środków widowisko, w którego podziwianiu nie przeszkodziła jej nawet muzyka. ©

OLGA

Drenda:
Błąd i racja normalności

Historia z bliska jest odrażająca, błazeńska, głupia. Dopiero z odległości jest tragiczna, piękna i majestatyczna" – pisał niegdyś w „Małej apokalipsie" Tadeusz Konwicki. To zdanie wraca do mnie dość często, jeszcze z adnotacją, że niezależnie od tego, jak przełomowe, wstrząsające czy niezwykłe mogą dziać się rzeczy, nie eliminują zwyczajności codziennego trwania. W centrum wydarzeń bywa zapewne intensywnie jak u Konwickiego, który ze swoim życiorysem na pewno wiedział, co pisze – ale krok dalej może być co najmniej dziwnie: niebezpiecznie i zastanawiająco zwyczajnie zarazem.

Na powtarzane tysiące razy pytanie „co robiłaś, gdy usłyszałaś o ataku na World Trade Center?" mogę odpowiedzieć z całą pewnością: jak pewnie większość ówczesnych nastolatków wracałam ze szkoły. Bardziej znaczące wspomnienie dotyczy 12 września. Moja klasa, tyleż świadoma, że właśnie stało się coś bezprecedensowego i chwiejącego znanym nam porządkiem, co zdezorientowana tym, jak należy się zachować w tak doniosłej sytuacji, spodziewała się, że zamiast lekcji czeka nas jakaś Fundamentalna Rozmowa. Nic z tego – nasza wychowawczyni zachowywała się tak, jakby był to każdy inny 12 września. Nawet Osama bin Laden nie zwolnił nas z polskiego.

Wtedy byliśmy oburzeni tak, jak potrafią tylko nastolatki, którym odbiera się kawałek uczestnictwa w wielkiej historii. Dzisiaj w postępowaniu wychowawczyni widzę więcej racji. Zamach zamachem, a do matury to kto się nauczy? Wszystko jedno, czy dzieją się rzeczy tragiczne, czy wzniosłe, prędzej czy później rzeczy zwykłe upominają się o to, żeby do nich wrócić. Wyobrażam sobie, że scenarzysta komediowy mógłby spokojnie napisać scenę, w której słychać galop jeźdźców Apokalipsy, a zwyczajny pracownik biurowy denerwuje się, dlaczego musieli wpaść na ten pomysł właśnie teraz, kiedy zostało mu jeszcze dziesięć maili do wysłania, albo kogoś trąby anielskie dopadają właśnie w połowie smażenia naleśnika (a co, jeśli się przypali?).

A co, jeśli normalne są tylko bilety jednorazowe w gminie Wałbrzych?

OLGA DRENDA

To, że być może następuje właśnie gwałtowne przeprogramowanie międzynarodowego porządku w skali niewidzianej od dawna (a w dodatku pisząc te słowa, nie mam absolutnie pojęcia, w jakim świecie będziemy żyć, gdy wyjdzie kolejny numer „Tygodnika"), nie zmienia faktu, że nadal trzeba będzie chodzić do szkoły, pracy i płacić rachunki. Tak samo jak zamknięcie świata na cztery spusty w pandemii nie wyeliminowało istnienia transakcji pieniężnych, konieczności wywiązywania się z podpisanych umów oraz składania deklaracji podatkowych. To jest być może (z punktu widzenia mieszkańców raczej spokojnego kraju, oczywiście) najbardziej zdumiewające podczas oglądania amatorskich nagrań wideo z miejsc ogarniętych wojnami i kataklizmami – w piekłach tej ziemi, z których docierają wiadomości przekraczające granice wyobraźni, wiszą reklamy napojów chłodzących, ludzie jeżdżą samochodami tych samych marek co wszędzie i noszą bezprzewodowe słuchawki, a straszliwe wydarzenia jakby naturalnie wplatały się pomiędzy te obojętne bez stopklatek, spowalniania czasu, reżyserskich gestów.

Psychologia poznawcza wprowadziła pojęcie „błędu normalności" – skrzywienia percepcji polegającego na przywiązaniu do zwyczajnego stanu rzeczy, przez co łatwo przegapić lub niedoszacować niebezpieczeństwo. Ten błąd zazwyczaj prowadzi do zbyt późnych ewakuacji z pożarów czy powodzi – ludzie są skłonni zakładać, że nie może się stać nic aż tak nadzwyczajnego, dopóki nie okaże się, że już nie ma wyjścia. Nie dotyczy to jedynie katastrof, ale też pomniejszania potencjalnego zagrożenia ze strony ekstremistycznych ugrupowań czy wybujałych ambicji tyranów, o czym nieraz całe społeczeństwa przekonują się, gdy wpadają już w zbyt poważne kłopoty.

Ale ten błąd ustawień umysłu ma też swoje zalety, bo zapobiega działaniu chaotycznemu i pochopnemu, oślepieniu przez strach. Prawdopodobnie po prostu nie da się funkcjonować na co dzień bez ignorowania w jakimś stopniu zagrożeń i przy podkręconej do maksimum czujności. Nawet gdy dookoła trwa absolutne szaleństwo, życie samo wymusza kalibrację normalności. Na rozregulowaniu tej właściwości opiera się wszak terroryzm, w którym chodzi o wywołanie w ludziach niepewności co do tego, czy mogą spokojnie przejść doskonale znaną ulicą, czy przeżyją jazdę tym samym co zwykle tramwajem. A przecież zawsze jest coś do przejścia, do przejechania, jakieś jedzenie do ugotowania, dziecko do przytulenia, rachunek do zapłacenia, lekcja do powtórzenia. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo:
Kawiarka doskonała

Dziewięćdziesiąt milionów euro to nie jest wygórowana suma za ikonę. Tanio wręcz – przecież mości książę Mohammed ibn Salman, faktyczny władca Arabii, musiał wydać tych milionów aż czterysta na obraz Leonarda, który nosi odtąd nazwę „Zbawiciel świata z Abu Zabi". Ta zbitka słowna dotyczy miejsca przechowywania cennej deski, ale spróbujcie przeczytać te słowa na głos, powoli, zapominając na moment o rynku sztuki i długowłosej postaci z przejrzystą szklaną kulą w dłoni. Dreszczyk, co?

Za skromniejszą sumę, jak ta wspomniana wyżej, też da się coś zdziałać na małą skalę. Oto niebawem tytuł zbawiciela kawy powędruje do Hong Kongu. Fundusz inwestycyjny rodziny Pao-Cheng (dziedzice imperium armatorskiego z czasów brytyjskich jeszcze) dopina właśnie zakup splajtowanej włoskiej firmy Bialetti. Producenta kawiarki, jednej i tej samej od prawie stu lat – jedyne, co się troszkę przez ten czas pozmieniało, to kształt rączki.

Piję kawę prawie tak długo jak wino, od trzynastego roku życia, dziś moim rodzicom groziłby za to kryminał, ale mój mózg – mam nadzieję, że zgodzicie się ze mną – działa nie najgorzej. A może to dzięki kawie? Codziennie rano budzę go jednym krótkim bodźcem. Zanim nos poczuje aromat jak z tej reklamy ze snującą się po domu mgiełeczką, całe moje jestestwo już wie, że dostałem kolejny dzień do przeżycia, kiedy zmysł dotyku rejestruje zimny ośmiokąt kawiarki wymacanej gdzieś przy zlewie. Nigdy nie doszedłem, dlaczego inżynier Alfonso Bialetti w 1933 r. wybrał akurat tę formę. Może to jakieś techniczne względy związane z obróbką aluminium? Natomiast powód wyboru materiału znam – Mussolini kazał poddanym dążyć do autarkii, do samodzielności w produkcji wszystkiego (Włochy poczyniły wtedy ogromne postępy np. w energetyce i tworzywach sztucznych). Aluminium z lokalnych surowców promowano jako „metal narodowy", w przeciwieństwie do stali.

Prostota konstrukcji, niezawodność i niezniszczalność na miarę kałasznikowa (trzeba tylko czyścić i wymieniać uszczelki) bardziej mnie interesuje od piękna tej „ikony designu". Piękno można niestety zdeptać, co udowodniła firma Bialetti, gdy uganiała się bezskutecznie za masowym konsumentem maszynek na kapsułki. Malowano ośmiokąt na niemożliwe kolory, tworzono fikuśne kształty, a szczytem wszystkiego była seria pokryta szczerym złotem albo deseniami sygnowanymi przez luksusowy dom modowy.

Może więc plajta była słuszną karą za niezrozumienie tego, o co chodzi w tym życiodajnym wynalazku. Inż. Bialetti wykopiował go, patrząc na żoniny kociołek do prania z wewnętrznym obiegiem pary w dziurkowanej rurce. Używano takich w domach Francji i Włoch od końca XIX w. Ten praprzodek pralki pozwalał uniknąć poparzeń wrzątkiem i ługiem. Nowa kawiarka z dziurkowanym lejkiem należała do podobnego porządku – kultury materialnej mas, instrumentarium czyniącego znośniejszym życie zwyczajnych ludzi.

Nawet gdyby nowi właściciele ozdobili go diamentami, to zasada działania kociołka zostanie. A może porzucą ten model, którego zgubą stała się doskonałość formy, której nie da się ulepszyć, zrobić plus, premium, nakleić kolejny numerek. Wykorzystają dobrze kojarzący się brand, by na rynkach azjatyckich sprzedawać luksusowe urządzenia na kapsułki. Niezależnie od ergonomii, kawiarkę trzeba nabić, potem umyć, trochę się pobabrać. A niechęci do babrania się nic już nie zatrzyma – od jedenastu lat narzekamy na to w tej rubryczce poplamionej fusami i zupą. Dlatego na wszelki wypadek kupiłem sobie na zapas dwie sztuki. Bo jednak co dziesięć lat warto wymienić, kiedy już niemożliwe staje się porządne domycie aluminium. A co potem? Renato, syn inż. Achillego odpowiedzialny za rozwój firmy po wojnie, kazał swoje prochy pochować w pięknej urnie o kształcie kawiarki. Nie chciałbym swoich dzieci obarczać tak kosztownym kaprysem, ale gdyby zebrać wszystkie maszynki, jakie zgromadziłem (bo żal wyrzucać), to może by mnie pomieściły...

Kawa na widelcu

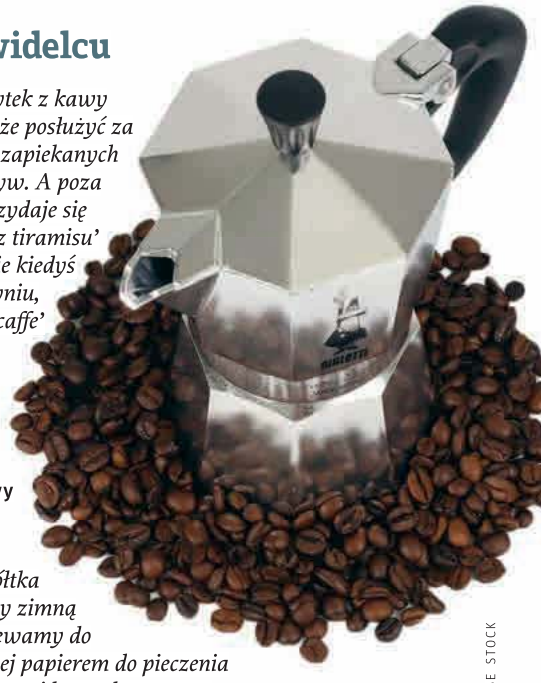

ADOBE STOCK

Niewielki jest pożytek z kawy w kuchni, choć może posłużyć za przyprawę np. do zapiekanych słodkawych warzyw. A poza tym, wiadomo, przydaje się tylko do deserów, z tiramisu' na czele. Spróbujcie kiedyś zrobić rodzaj budyniu, który nazywa się caffe' in forchetta, czyli kawa na widelcu.

Składniki: 3 jajka
2 żółtka
80-100 g cukru
250 ml zimnej kawy
250 ml mleka

Miksujemy dokładnie jajka, żółtka i cukier. Dolewamy zimną kawę i mleko. Wlewamy do keksówki wyłożonej papierem do pieczenia albo wcześniej pokrytej karmelem z paru łyżek cukru. Wstawiamy do dużej brytfanki wypełnionej wodą (do 2/3 wysokości keksówki), pieczemy w 150 st. C przez 40-50 minut, aż deser będzie zwarty. Można wzbogacić, dodając do masy pokruszone ciasteczka migdałowe. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

ZMYSŁY

BYŁO SOBIE ŻYCIE

Dokładnie 25 lat temu jedna z najbardziej osobliwych gier w historii stała się nieoczekiwanym przebojem. „The Sims" – symulator całkiem zwyczajnego życia – podbił serca milionów graczy i raz na zawsze udowodnił, że gry nie muszą wcale być krwawe.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Wszystko, co oni robią, to jedzą i (tu padło mało eleganckie określenie czynności fizjologicznych)! Ile razy muszę uśmiercać tę grę, zanim naprawdę umrze?!" – Tak właśnie pewien wyższy rangą członek zarządu korporacji EA Games miał wybuchnąć pod koniec lat 90., gdy po raz kolejny musiał oglądać wersję roboczą „The Sims". W czasach, w których dominowały bombastyczne i krwawe gry akcji, menadżerowie nie wiedzieli, co myśleć o czymś pomiędzy komputerowym sitcomem, ludzkim tamagotchi i domkiem dla lalek dla nieco starszych dzieci.

Gra ostatecznie nie tylko nie umarła, ale stała się światowym przebojem. W ciągu 25 lat, które minęły od wydania jej pierwszej części, cztery kolejne wersje „Simsów" i przeszło 75 dodatków sprzedało się w ponad 200 mln kopii. I to mimo tego, że faktycznie z perspektywy lat 90., kiedy powstawała pierwsza część serii, trudno było w ogóle nazwać ją „grą". Nie ma punktów, nie ma zwycięstwa, w zasadzie nie ma nawet przegranej, choć symulowanych ludzi mogły czasem spotkać nieszczęśliwe wypadki. Jest symulacja życia wirtualnego ludzika lub całej rodziny, w której, jak to w życiu, małe radości, tryumfy i katastrofy przeplatają się ze sobą każdego dnia.

I trudno winić anonimowego prezesa, który nie rozumiał, dlaczego ludzie w zasadzie mieliby poświęcać swój czas i pieniądze na komputerową zabawę w podlewanie kwiatków, płacenie rachunków i sprzątanie, skoro i tak muszą to wszystko nieodpłatnie robić w realu. Okazuje się jednak, że eskapizm nie potrzebuje hollywoodzkiego sztafażu. A komputerowy dom dla lalek stał się nie tylko centralnym punktem ogromnej, internetowej społeczności, ale też przedmiotem całkiem poważnych badań kulturoznawców, psychologów, a nawet teologów.

Miasta, mrówki, wybuchy

Założenie Simsów jest banalnie proste i – z perspektywy 2025 r., gdy gry „casualowe", w których uprawiamy ogródek, jeździmy kosiarką czy malujemy dom, sprzedają się w milionach kopii – dość oczywiste. Dostajemy pod opiekę wirtualnego człowieczka i mamy sprawić, by wiódł on szczęśliwe, owocne życie. Jedyne cele w grze to te, które gracz wymyśla sobie sam. Jedyna historia to ta, którą gracz opowiada sobie we własnej głowie. Jedyne ograniczenie – konieczność upewnienia się, że nasz podopieczny jest najedzony, wyspany, umyty i ma z czego zapłacić rachunki. Gra – synonim optymistycznej, pozytywnej strony przemysłu gier – narodziła się jednak z osobistej tragedii.

MATERIAŁY PRASOWE ELECTRONIC ARTS

Aby stworzyć przekonujący język ciała postaci, zaproszono do studia zespół mimów, który miał odgrywać scenki z odpowiednim ładunkiem emocjonalnym.

Gdy w drugiej połowie lat 90. zaczęła się produkcja „The Sims", ich twórca, Will Wright, był już uznanym autorem gier komputerowych i specjalistą od światów, w których zadaniem gracza było tworzenie, a nie niszczenie.

Jego pierwsza gra, „Raid on Bungeling Bay" z 1984 r., była co prawda na pierwszy rzut oka dość klasyczną strzelanką, której celem było zniszczenie za pomocą helikoptera pięciu fabryk wypuszczających w stronę gracza coraz nowocześniejsze maszyny wojenne, ale nawet tam, pod spodem, działo się o wiele więcej. Wrogie fabryki prowadziły badania, rozbudowywały się, handlowały. Wright szybko przekonał się, że ta strona gry pociąga go o wiele bardziej niż rakiety i wybuchy.

Już pięć lat później przekształcił ją w coś zupełnie innego, czyli w legendarne „Sim City" – grę, w której gracz miał od zera wybudować nowoczesne, przyjazne dla mieszkańców miasto. Mimo ograniczeń ówczesnych komputerów gra była zaskakująco złożoną symulacją, biorącą pod uwagę przestępczość, korki i opiekę zdrowotną. Stała się też inspiracją dla całej serii gier z „Sim" w tytule – od symulującej biosferę Ziemi SimEarth, przez SimAnt, stanowiące symulację mrowiska. Ambicji Wrightowi nie brakowało. Kolejnego sukcesu na miarę „Sim City" jednak nie odniósł.

Kim oni w ogóle są

Gdy był na szczycie, stracił niemal wszystko. Wielki pożar w rejonie Oakland w Kalifornii strawił w 1991 r. ogromny obszar i zniszczył kilka tysięcy domów, w tym ten należący do twórcy gry. Inni ucierpieli jeszcze bardziej – w ogniu zginęło 25 osób, ale utrata całego z trudem zdobytego majątku zmusiła Wrighta do refleksji: czy szczęście można kupić?

Postanowił stworzyć grę o zaczynaniu od zera. Od położenia pierwszej cegły pod nowy dom. O budowie życia, relacji, o emocjach i codziennych czynnościach. Choć pierwsze prototypy nie przypominały jeszcze bogatego świata ostatecznej ↦

↦ wersji. Gra, która miała stać się „The Sims", początkowo była, jak nazywał to Wright, „symulatorem architektury" – próbą zbudowania domu idealnego.

„Ludzie początkowo nie stali w centrum rozgrywki" – wspominał w rozmowie z portalem „Vice" autor warstwy graficznej gry, Charles London. „Pomysł Wrighta polegał na tym, że ludzie w grze mieli być wskaźnikiem efektywności wyborów, jakie podejmujesz w kwestii rozmieszczenia obiektów i projektowania pomieszczeń. Nazywał to »pinballem z ludźmi«".

Dopiero projektantka Roxy Wolosenko przekonała go, że skupiając się na budowaniu, przegapia to, co potencjalnie w tej grze jest najciekawsze. „Pamiętam, że patrzyłam na to i pomyślałam: »Fajne, ale kim w ogóle są ci ludzie? Jakie są między nimi relacje?«. Od razu zaczynasz przypisywać tym małym stworzonkom cechy ludzkie. I to uruchomiło cały nowy tok myślenia" – wspomina programistka.

Jedyne cele w grze to te, które gracz wymyśla sobie sam.

Jedyna historia to ta, którą gracz opowiada sobie we własnej głowie. Jedyne ograniczenie – konieczność upewnienia się, że nasz podopieczny jest najedzony, wyspany, umyty i ma z czego zapłacić rachunki.

Uniwersalny język simlish

Pomysł to jedno, wprowadzenie go w życie to jednak coś zupełnie innego. Produkcja „The Sims" trwała niemal cztery lata, podczas gdy typowe gry w latach 90. powstawały w kilkanaście miesięcy. Dlaczego tak długo? Bo okazało się, że przekonujące odtworzenie całej złożoności pozornie banalnego życia jest zadaniem o wiele trudniejszym niż stworzenie symulatora imperium czy realistycznego samolotu.

„Starałyśmy się wyabstrahować interakcje międzyludzkie tak, żeby dało się je zamodelować w grze" – wspomina programista Jamie Doombos. „To było ogromne wyzwanie. Nikt wcześniej tego nie robił". Problemem było nawet coś tak pozornie prostego jak mowa czy gesty Simów. „Po jakimś czasie uświadomiliśmy sobie, że humor jest naszą drogą ucieczki z wielu trudnych sytuacji", mówi London. „Jeśli pojawiały się skomplikowane sprawy lub tematy tabu, upraszczaliśmy je symbolicznymi zachowaniami".

Aby stworzyć przekonujący, emocjonalny język ciała dla maleńkich postaci, zaproszono do studia na dwa dni zespół mimów, który miał odgrywać scenki z odpowiednim ładunkiem emocjonalnym. To stało się podstawą animacji w grze. Jeszcze większym wyzwaniem okazała się mowa. Założeniem Wrighta było to, by emocje w głosie Simów były jasne dla każdego odbiorcy, ale jednocześnie by nie mówili niczego konkretnego.

Ostatecznie postaci mówią w *simlish* – języku bez słów, opartym na dźwiękach zaczerpniętych m.in. z języka ukraińskiego. A to nie tylko dodało lekkiego komizmu, ale też sprawiło, że gra stała się dostępna dla graczy z każdego kręgu kulturowego. Co prawda, zwłaszcza w pierwszej części gry domy Simów wyglądają tak, jak klasyczne, amerykańskie suburbia, ale ich zachowania, ich emocje – te udało się przekazać w sposób uniwersalny.

Dzięki temu, że gra „uciekła" od języka, stała się grą interpretacji. Wszystko, co mówią i robią bohaterowie, ich każda interakcja, wszystkie ambicje i marzenia – jest dekodowane, przetwarzane, opowiadane przez samego gracza. To gracz tworzy historie Simów. Oni sami są dla nich tylko inspiracją. A *simlish* zaczął żyć własnym życiem – Lily Allen i Katy Perry nagrały piosenki w wyimaginowanym dialekcie.

„Prawdziwa magia »The Sims« polega na tym, że gracz jednocześnie staje się narratorem i odbiorcą tej historii, płynnie przechodząc z jednej roli w drugą" – podkreśla London. „Przez ponad 20 lat nikt nie stworzył gry, która mogłaby z tym konkurować. To cały gatunek z jedną grą".

Dziewczyny też chcą grać

Gdy pierwsza wersja „The Sims" trafiła do sklepów na początku 2000 r., szybko stała się fenomenem. Nie dlatego, że w samych USA do końca tego roku sprzedało się 1,7 mln kopii, ale przede wszystkim przez to, kto je kupował. W czasach, w których gry były wciąż przede wszystkim zabawą dla chłopców, Simsy zdobyły ogromną popularność wśród grup, które wcześniej były wyrzutkami gamingu. Dziewczyn, kobiet oraz członków społeczności LGBTQ.

„Grę kupowała ogromna grupa zupełnie nowych ludzi, którzy wcześniej w ogóle nie sięgali po gry komputerowe" – wspomina w „Washington Post" projektantka Claire Curtin. „Wcale nie planowaliśmy stworzyć gry popularnej wśród dziewczyn", dodaje Wolosenko. „Po prostu robiłyśmy to, co nas interesowało, a dziewczyny same to odkryły. Ta gra miała głębię, której brakowało w innych tytułach". Od samego początku pozwalała na przykład na tworzenie związków jednopłciowych, co w 2000 r. było niespotykane. Od czwartej edycji z 2016 r. pozwala też dowolnie kształtować tożsamość płciową bohaterów.

To właśnie Simsy otworzyły drogę do wielkiej przemiany całej branży. Dziś już 45 proc. wszystkich graczy to kobiety (w gry gra 72 proc. kobiet w USA), a przedstawiciele społeczności LGBTQ stanowią 17 proc., czyli niemal dwukrotnie większy odsetek niż w całym społeczeństwie.

Nie tylko zabawa w dom

Jak każda gra, Simsy są przede wszystkim eskapizmem, pozwalającym wyrwać się z rzeczywistości i przenieść do bardzo podobnej, ale lepszej. Młodzi dorośli, często zmagający się z brakiem stabilności finansowej i nikłymi perspektywami na własny dom, mogą tworzyć swoje *alter ego*, które nie ma takich problemów.

Ale eskapizm Simsów już od pierwszej edycji miał też inny wymiar. Wokół gry wyrosła ogromna, licząca miliony użytkowników społeczność – może największa spośród wszystkich gier dla jednego gracza. Społeczność, która ma reputację wyjątkowo otwartej i pomocnej.

Gracze nie tylko tworzą modyfikacje, pozwalające tradycyjny dom zastąpić czymś rodem z „Gwiezdnych Wojen" czy „Star Treka". Nie tylko korzystają z gry do tworzenia własnych, fabularnych filmów i komiksów zwanych machinimami (kul-

MATERIAŁY PRASOWE ELECTRONIC ARTS

Simsy otworzyły drogę do przemiany całej branży. Dziś 45 proc. wszystkich graczy to kobiety, w gry gra 72 proc. mieszkanek USA.

turolożka Ludovica Price stwierdza, że zachęceni możliwością modyfikowania kodu i dodawania własnych zasobów gracze stali się współautorami, a nie konsumentami gry). Stworzyli też nieformalną sieć nauki, w której doświadczeni użytkownicy uczą początkujących, jak wykorzystać grę do realizowania własnych kreatywnych projektów.

Nie uciekniesz od siebie

Eskapizm ma jednak swoje granice. Okazuje się bowiem, że nawet w grze, która pozwala graczowi przybierać dowolną rolę, zachowywać się w sposób zupełnie odmienny niż w rzeczywistości, większość graczy chce po prostu być... sobą.

W 2006 r. psycholog Thaddeus Griebel przeprowadził eksperyment, którego celem było sprawdzenie tego, na ile gracze w „The Sims 2" projektują na tworzone przez siebie postaci własną osobowość i wartości, a na ile przyjmują postawy odbiegające od realnych. Okazało się, że dla przytłaczającej większości graczy Simsy nie służą wcieleniu się w kogoś innego, a odtwarzaniu lepszej wersji własnej rzeczywistości.

Aż 70 proc. badanych przyznawało, że odwzorowywało w grze aktualne aspekty swojego życia, takie jak hobby, rodzina czy relacje towarzyskie. Natomiast 80 proc. wybierało postać, która fizycznie ich przypominała. Osoby, dla których w realu ważne było bogactwo, mocniej dążyły do wzbogacenia ich postaci. Osoby ceniące kreatywność częściej rozwijały artystyczne umiejętności awatarów, takie jak gra na pianinie czy malowanie. Gracze, którzy bardziej cenili niezależność i ekscytujące życie, mieli Simów z większą liczbą przyjaciół, a respondenci lubiący flirtować w rzeczywistości, częściej robili to w grze. Z drugiej strony ci, którzy uważali zdradę w realu za niedopuszczalną, o wiele rzadziej zdradzali swoich wirtualnych partnerów.

Korelacja między zachowaniami rzeczywistymi a ich wirtualną reprezentacją była tak wysoka, że Griebel zaproponował, by grę wykorzystywać jako pomocniczy test osobowości. Wysoka neurotyczność korelowała z chaotyczną organizacją w grze, otwartość – z poszukiwaniem wrażeń i spontanicznością w wydatkach Simów, a sumienność – z porządkiem i kontrolą. Zdaniem psychologa gra może być praktycznym narzędziem w psychoterapii i diagnozie pacjentów.

Nuda kosmicznych imperiów

Paradoksalnie jednak wielki sukces gry mógł doprowadzić do porażki człowieka, w którego wyobraźni się narodziła. Choć seria „The Sims" nadal przynosi wydawcy, firmie EA Games, około 400 mln dolarów rocznie i osiągnęła w 2024 r. liczbę 85 mln aktywnych graczy, Will Wright odszedł z firmy już w 2009 r.

Odszedł, bo po latach tworzenia jednych z najbardziej ambitnych i niezwykłych gier na świecie, wreszcie znalazł temat, który przerósł nawet jego. Chodziło o, drobnostka, całe życie we Wszechświecie. Gra „Spore" miała pozwalać graczowi prowadzić za rękę ewolucję od jednokomórkowych organizmów po kosmiczne imperia. Mimo bardzo dobrych recenzji i sprzedania 2 mln kopii w ciągu pierwszych dwóch tygodni, gra szybko straciła fanów. Okazała się zbyt błaha, płytka i powtarzalna – zwłaszcza w porównaniu z niemal nieskończonymi możliwościami oferowanymi przez Simsy.

Wright od 16 lat nie stworzył żadnej dużej gry. Ale jego najważniejszy tryumf, gra, która nie mogła się udać, która nie przypominała niczego innego, na co odważyłby się ktokolwiek przed nim, gra w której liczy się nie refleks czy umiejętność strategicznego myślenia a empatia, wyobraźnia i zdolność do tworzenia relacji z innymi, ma się doskonale. I kto wie, może dociągnie do półwiecza.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *Komplement*

Z POWODU NASTROJÓW LOKALNYCH I SYtuacji globalnej, z powodu drobnego choć głośnego zdarzenia, zadaliśmy sobie pytanie, które w zasadzie mogłoby być tematem ogólnonarodowych rozważań. Oto postanowiliśmy porządnie odpowiedzieć na pytanie, czy my – jak tu ponuro siedzimy – umiemy mówić komplementy.

Wiadomo przecież, że choć jesteśmy znani na planecie Ziemia jako nacja szalenie gościnna, wręcz najgościnniejsza, to gościnność owa – każdy badacz to wie – jest tylko zmyłkowym wstępem. Wygląda to tak mianowicie, że owszem, na pierwszy ogień witamy serdecznie, co podać – pytamy, może śledzika, a może cwibak, może kieliszeczek tego, albo tamtego, może piwo, może na drugą nóżkę, a może i na trzecią, czy małżonka też raczy itd. W ten sposób, demonstrując naszą tradycyjną gościnność, dochodzimy powoli do stanu euforii, endemicznej nadgościnności, do najszaleńszych uścisków, do obejmowań i długich pocałunków. Towarzyszą temu pieśni, rymowane wyznania, daleko idące uzgodnienia dotyczące przyszłości, podobieństwa, zgodności genetycznej i innych szalenie intymnych kwestii. Następują obietnice spędzenia razem wakacji *all inclusive* w Egipcie, przyrzeczenia dotyczące współżycia i stuprocentowej nierozerwalności więzów. Gdy goście wreszcie pójdą, następuje krótkotrwały stan – jakby to rzec – *plateau*, co znaczy, że krzywa nastroju się wypłaszcza. Aż do momentu, gdy usłyszymy, że nasi goście trzasnęli drzwiami uberka i pojechali w siną dal w sensie dosłownym.

Wtedy precyzja widzenia bliźnich osiąga ostrość żyletki i idziemy po nich – chciałoby się powiedzieć słowami klasyka. Jest to dobry przyczynek do odpowiedzi na pytanie, które padło na początku: czy umiemy mówić komplementy. Otóż wydaje się, że nie. Szczery komplement nie ma prawa wyjść z ust prawdziwego Polaka. Mówiąc „komplement", mamy na myśli mówienie rzeczy miłych bliźnim. Albo takoż ogłaszanie jakichś przyjemnych opinii o innych nacjach, o rasach, o zwierzętach obcych naszemu terytorium, czy o potrawach innych ludów, bądź o niepolskich napojach zarówno otumaniających, jak i orzeźwiających. Generalnie komplement może być też próbą sprawienia komuś przyjemności bez względu na fakty.

I to akurat wydaje się w Polsce szalenie trudne, bowiem o wiele łatwiej mówi się tu rzeczy przykre. Też dlatego, że każdy Polak jest szczery do bólu i do bólu prawdomówny. Polak po prostu nie kłamie i jest twardy. Gdy jesteś głupi, Polak nie powie ci, że jesteś mądry. Jesteś ładny? Polak ci tego na wszelki wypadek nie powie, raczej, że jesteś brzydki. Konkluzja zatem brzmi jednoznacznie i ostatecznie – nie umiemy, jak Polska długa i szeroka, prawić komplementów. A może wolimy ich nie mówić. W polityce mamy podobnie. Komplementów nie ma. Że ich nie słychać, gdy ktoś mówi o konkurencji, to oczywiste, ale – popatrzmy uważnie – gdy politycy mówią o swoich, też są raczej oszczędni. Naturalnie, są wyjątki, ale nieliczne – tylko wodzowie są objęci rytuałem totalnego komplementowania. A więc mamy, zdaje się, opisane bez wdawania się w nadmierne detale, życie komplementu na ziemiach polskich.

I to by było w zasadzie na tyle, gdyby nie nowość. Rozczulająca, bo może oznaczać, że obyczaj prawienia komplementów wszedł tu na inny poziom. Parę dni temu, akurat po rozmowie z prezydentem Ukrainy, p. A. Duda napisał te słowa: „nie ma wątpliwości, iż prezydent Trump kieruje się głębokim poczuciem odpowiedzialności za globalną stabilność i pokój". D. Trump się zrewanżował i o p. Dudzie powiedział publicznie: „Fantastyczny facet". ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

REKLAMA

LIVE IN CONCERT

ANDREA BOCELLI

6 CZERWCA 2025

ENEA Stadion, Poznań

8 CZERWCA 2025

Tarczyński Arena, Wrocław

BILETY: BILETSERWIS.PL

ALMUD · MAVERICK · UNIVERSAL MUSIC GROUP · KMM Klassics Music Management

ANDREABOCELLI.COM

Prestige MJM · BILET SERWIS · Enea Stadion · Tarczyński Arena · onet · Newsweek · VIXON · proart

REKLAMA

SUBARU SOLTERRA JUŻ OD 999,78 zł netto miesięcznie*

MOŻLIWOŚĆ DOFINANSOWANIA DO 40 000 zł Z PROGRAMEM „NASZEAUTO”

Zapytaj o ofertę dealera Subaru. Listę autoryzowanych salonów Subaru znajdziesz pod adresem: **dealerzy.subaru.pl**

*Cena w promocyjnej ofercie leasingu. Propozycja nie jest ofertą w rozumieniu kodeksu cywilnego i może ulec zmianie. Liczba samochodów ograniczona. Dotyczy rocznika 2023.

SUBARU

SUBARU ZALECA PRODUKTY

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU

KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS

warta.

Santander Leasing

ENEOS MOTOR OIL

YOKOHAMA